Łódź

Odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny

NUMER 6 (1297) ROK XXVI 5 LUTEGO 1983 ROKU CENA 15 ZŁ

Rock and Roll — mity i rzeczywistość

Uzdrowiciel Harris

PGR na luzie

Czy „LYRICAL" to jest to?

EWA PANKIEWICZ

Do narzekań naszych teatrów muzycznych na brak współczesnego repertuaru polskiego przyzwyczailiśmy się tak bardzo, że ów rzeczywisty niedostatek dawno już przestał być dla polskiego widza szczególnie dotkliwy, co stało się zapewne za sprawą tej samej umiejętności godzenia się z losem, która ocaliła nas przed palącą tęsknotą za świeżymi ananasami czy ostrygami. Że jednak losowi nie poddaliśmy się zupełnie, dowodnie świadczy fakt, iż choć ostrygi nie śnią nam się wcale, to przecież senne wizje musicali jawią się i teatrom, i rodzimym twórcom, i publiczności.

Sceniczne realizacje owych nieczęstych niestety wizji teatry i twórcy serwują nam rzadko, za to zawsze w mniej czy bardziej oględnie wyrażonym, a nie zawsze odpowiadającym naszemu, przekonaniu, że „to ostrygi, żabie udka", a mówiąc mniej metaforycznie „subtelne dania dla smakoszy". Henryk Czyż właśnie takie własne przekonanie o skomponowanym przez siebie „lyricalu" pt. KSIĘŻYCOWY POEMAT, w którym tekstami Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego opowiada o fascynacji polskiego poety osobowością i losami Inge Bartsch, niemieckiej aktorki „po przewrocie zaginionej wśród tajemniczych okoliczności", wyraził zupełnie nieoględnie, wprost, dosłownie i bez cienia wątpliwości, co jeszcze przed sformułowaniem mojej opinii o tym dziele każe mi pogratulować twórcy odwagi i godnej pozazdroszczenia pewności siebie.

W ocenie swego dzieła kompozytor i współtwórca scenariusza w jednej osobie (a w łódzkim Teatrze Muzycznym także inscenizator i kierownik muzyczny spektaklu) nie pozostawił widzom żadnego właściwie wyboru stwierdzając z całą pewnością, „że „Inge" będzie się bardzo podobała, ale tylko ludziom bardzo inteligentnym. Tym średnio — będzie średnio, zaś nieinteligentnym — wcale". Na pozornie tylko podobnej, zaś w gruncie rzeczy odmiennej zasadzie z całą powagą stwierdzam, że jest to najlepszy dowcip „Księżycowego poematu" i nim przejdę do omówienia i

8

JACEK BINKOWSKI

Kto nie chce kultury?

W każdym z nas tkwi potrzeba dostępu do kultury w szerokim pojęciu. Chcemy w kulturze uczestniczyć, tworzyć albo też korzystać z niej. Takie możliwości daje nam książka, teatr, kino, telewizja oraz jak sama nazwa wskazuje domy kultury.

Jeszcze dzisiaj wielu osobom dom kultury kojarzy się z dużą salą, rzędami krzeseł, gdzie siedzą słuchacze z prelegentem. Bo dom kultury kojarzy się z prelekcją lub jakimś spotkaniem autorskim (modne określenie — spotkanie z ciekawym człowiekiem). Tak było jeszcze do niedawna. Do domu kultury przychodziło się li tylko na prelekcję, na ten przykład, raz w tygodniu.

Mnie dom kultury kojarzył się z możliwością spędzenia wolnego czasu. Jakoś ciekawiej niż w domu, inaczej. Kojarzył mi się taki dom z kilkoma przynajmniej różnymi propozycjami na wieczór, z których mógłbym wybrać sobie jedną.

Ludzie o domach kultury mówią różnie, raczej bez sentymentu. Ano, psioczą, jak to ludzie. Zbierając materiał do tego reportażu pogadałem trochę z młodymi ludźmi. Młodzi ludzie najczęściej mają wolne wieczory, więcej czasu i podobno największą potrzebę uczestniczenia w masowej kulturze.

Mówi Ewa — licealistka:

— *Do teatru, kina to i owszem chodzę. Do domu kultury? Po co? Tam się nic nie dzieje, nie mają nic ciekawego do zaproponowania. Na przynależność do jakiegoś zespołu wokalnego albo tanecznego nie mam czasu, w końcu muszę się uczyć. A kółka zainteresowań i takie różne zespoły to mam na miejscu, w szkole.*

Do domu kultury poszłabym chętnie od czasu do czasu na jakąś imprezę. Pamiętam, ostatnio w Domu Kultury na Polesiu był Maciej Zembaty i śpiewał ballady Leonarda Cohena. Oczywiście byłam z koleżankami z klasy. Ale takich imprez jest bardzo mało, raz na jakiś czas. Po co więc chodzić. Na spotkania radiestetów, kiedy to mnie absolutnie nie bawi i nie interesuje...

Wojtek — maturzysta — też ma podobne refleksje. Za mało imprez. Bo Wojtek sądzi, że wszelkiego rodzaju, jak to określa, kółka zainteresowań — to powinny być tylko w szkole. W domu kultury powinny być spotkania lub występy ludzi, na zaproszenie których szkoły nie stać, ani też jego, żeby zapłacić dwie stówy w Estradzie. Tanio i najciekawiej — wtedy młodzież będzie chodzić.

Takie sobie dwa głosy, wcale nie wybrane. Najlepiej jednak samemu sprawdzić co w tej trawie piszczy. Czy

8

Ludzie, zwierzęta i ziemia

JERZY WAWRZAK

1 Godzina jazdy od Kijowa, i już miasteczko Browary. Tu, w Komitecie Miejskim KPZR, bo najłatwiej go odnaleźć, pytamy o sowchoz „Płaskiwskij" i po dalszych kilkunastu minutach jesteśmy na miejscu.

Rozglądam się z zaciekawieniem. W tym miejscu, przed budynkiem dyrekcji, sowchozowa wieś przyjmuje charakter osady. W stosunkowo bliskiej odległości, na poboczach krzyżujących się dróg widzę szkołę, dom kultury, niewielkie pomniki Lenina i idących do ataku żołnierzy, trochę dalej drewniana cerkiew, przystanek autobusowy, kilka jednopiętrowych bloków mieszkalnych, dwa wiejskie sklepiki z żywnością i konfekcją — i to wszystko plus bardziej wyczuwalna niż widoczna z tego miejsca obecność rozległych po horyzont pól uprawnych.

Szpalerem przywiędłych malw i tablic z przodownikami pracy gospodarze prowadzą nas do środka. Trzeba się wpierw poznać i ustalić jakiś plan działania.

Siedzimy więc w gabinecie dyrektora i rozmawiamy o wszystkim po trochu, bardziej się obserwując niż słuchając. Konkrety mieszają się z ogólnikami, ale pierwsze zakłopotanie mija szybko, mamy już za sobą wzajemne prezentacje. 43-letni Piotr Fiedosiejewicz Wołocha jest dyrektorem sowchozu od początku, tzn. od 1966, kiedy to sowchoz-gigant „Zoria" rozdzielono na dwa gospodarstwa. Dyrektor jest wysoki, mocno zbudowany, z otwartą twarzą i ciepłym uśmiechem. Przy atletycznym dyrektorze sekretarz partii, Piotr Iwanowicz Pogorielyj, sprawia wrażenie uśmiechniętego chłopca z czarną czupryną, ale wkrótce stuknie mu czterdziestka. On zresztą, zapewne z tytułu funkcji, obejmuje pieczę nad całym naszym pobytem. Dziś dyrektor śpieszy się na posiedzenie egzekutywy Komitetu Rejonowego w Browarach, a na popołudnie ma zaplanowaną kontrolę jednej z brygad. Zresztą, wbrew pozorom, pora roku wcale nie jest ulgowa.

— *Urodzaj jest dobry* — mówi dyrektor — *ale jak nam podpowiada doświadczenie i ostrze-*

10

Przegląd prasy

Uzdrowiciel Harris

W ostatnich latach coraz częściej spotykamy się z ludźmi uprawiającymi inne od oficjalnie uznawanych metod terapii: przez dotyk, nakładanie rąk, uciskanie lub masaż określonych okolic ciała, itp. Ludzie ci, zwani znachorami, uzdrawiaczami lub uzdrowicielami, działali od wieków i zawsze cieszyli się ogromną popularnością. Mimo tak szerokiego zasięgu zjawisko to było wstydliwie przemilczane przez świat medyczny, a co najwyżej kwitowane pagardliwym wzruszeniem ramion. Dopiero od kilku lat pojawiać się zaczęły publikacje, których autorzy podejmują próby poważniejszego spojrzenia na pozamedyczne systemy leczenia. Zainteresowali się tym zagadnieniem także niektórzy lekarze oraz przedstawiciele innych dziedzin nauki. Można przyjąć, że w pewnym stopniu przyczyniły się do tego wizyty w Polsce kanadyjskiego uzdrowiciela, Clive'a Harrisa. O fenomenie Harrisa piszą w numerach od 34 do 40 z 1982 roku oraz 1, 2 z roku bieżącego „Tygodnika Kulturalnego" Marek Kański i Stanisław Wasilewski.

„Jak dotychczas, kompetentni przedstawiciele nauk medycznych nie próbowali określić jednoznacznie lub nazwać jego właściwości psychofizycznych. Wielokrotna obecność Harrisa w Polsce i wszystko, co się wokół niego dzieje, jest zjawiskiem tak niecodziennym z socjologicznego i psychologicznego punktu widzenia, iż zasługuje na to, by się nim zająć, nie tropiąc jednocześnie cudów medycznych, które — być może — są również jego udziałem. Nasze wysiłki zmierzały właśnie w tym kierunku. Pragnąc przedstawić Clive'a Harrisa jako zjawisko społeczne, pomijamy aspekty fizykalno-medyczne. Chcemy rozważać zagadnienie, jakie potrzeby społeczne i jakie warunki zaistniałe w naszym kraju w drugiej połowie lat 70-tych XX wieku, spowodowały, że znalazły się wielosettysięczne tłumy chorych, żądnych spotkania z Harrisem.

PRZEDSTAWIAMY UZDROWICIELA

Clive Harris urodził się w Kanadzie, 21 listopada 1943 roku. O jego edukacji brak wiarygodnych informacji. Prawdopodobnie ukończył jakąś zakonną szkołę jezuicką. Sam uważa, że wykształcenie nie ma w jego healingu (uzdrawianiu) żadnego znaczenia. Obecnie mieszka wraz z rodzicami w Londynie, tam również ma swoje biuro. Jego jedynym i wyłącznym zajęciem jest uprawianie leczenia spirytualnego, które — jak twierdzi — stanowi cel i sens jego życia.

Praktykę uzdrowiciela spirytualnego Harris rozpoczął prawdopodobnie w 15 roku życia, lecz po raz pierwszy jego zdolności i możliwości uzdrawiania wykryto w wieku lat 3. Przebywał wówczas w szpitalu. Podczas zabawy dotykał rówieśników. Szybko dostrzeżono, że w związku z jego osobą dzieje się coś dziwnego. Dzieci przebywające blisko niego lepiej się czuły i szybko wracały do zdrowia. Jak długo trwał okres upewniania się Harrisa i lekarzy o jego właściwościach nie wiadomo. Młody Clive rozpoczął intensywne ćwiczenia maksymalnej koncentracji, która miała mu być potrzebna w celu oddziaływania na inne organizmy. Ćwiczył m.in. jogę.

Leczeniem spirytualnym Harris zajmuje się od przeszło 20 lat. Choć mieszka razem z rodzicami — sam nie założył rodziny — to widuje ich, jak twierdzi, dwa lub trzy razy w roku, resztę czasu poświęcając na wykorzystywanie swych zdolności terapeutycznych. Życie jego zawiera się w schemacie od lat powtarzanych czynności. Od rana do wieczora spotyka się z pacjentami. Robi to bez przerw na odpoczynek i jedzenie. Dopiero późnym wieczorem je kolację — jego jedyny dzienny posiłek — dość obfitą i zakrapiana winem. Następnie jedzie na kolejne spotkanie z pacjentami. Jego sen to praktycznie kilkugodzinne medytacje w samolocie lub samochodzie.

Do naszego kraju Harris przyjechał po raz pierwszy zimą 1971 roku, na prywatne zaproszenie państwa C. Przebywał wówczas w Zakopanem. Przyjeżdżając ponownie, znów do Zakopanego, przyjmuje większą liczbę pacjentów. Za którymś z kolei przyjazdem Harrisa powstała konieczność zorganizowania wielkiego spotkania (big meeting). Był to warunek przyjazdu Harrisa do Polski. Jak sam stwierdził, jego działania terapeutyczne są najskuteczniejsze właśnie na wielkich spotkaniach, to znaczy na seansach, w których bierze udział duża liczba pacjentów.

W Polsce odbywały się one dotychczas zawsze w kościołach lub klasztorach zakonnych. Reczą charakterystyczną jest to, że są one prowadzone przy współudziale różnych organizacji religijnych. Kościół stanowi naturalne miejsce skupienia, co z kolei jest istotne w działaniach wszelkich uzdrowicieli duchowych. Osoby oczekujące na przyjęcie przez Harrisa w takim miejscu, miały ulegać osobliwemu stanowi oczekiwania, napięcia i koncentracji, które może trudno byłoby osiągnąć w innym miejscu.

Harris, jak wynika z jego wypowiedzi, mógłby leczyć także w innych miejscach, niekoniecznie o religijnym charakterze, np. na stadionach czy w parkach. Sam twierdzi, że tam właśnie spotyka się ze swymi pacjentami w wielu krajach.

NIE WSZYSCY MOGĄ BYĆ PACJENTAMI

Przedmiotem obserwacji M. Kańskiego i S. Dobrowolskiego były spotkania pacjentów z Harrisem w kilku miastach polskich, które odbyły się jesienią 1978 roku i wiosną roku następnego, a zwłaszcza spotkania w kościele o.o. Dominikanów w Warszawie. Jako metodę badań zastosowali oni obserwację uczestniczącą, angażując się bezpośrednio przy organizacji i przebiegu wielkiego spotkania. Chętnych do uczestnictwa w nim były dziesiątki tysięcy — znacznie więcej, niż mógł przyjąć Harris, który sam wyznacza liczbę pacjentów na dany dzień i żąda ścisłego jej przestrzegania. Stąd też powstała konieczność selekcji.

„W karcie zgłoszenia należało określić rodzaj i miejsce występowania choroby oraz podać swój wiek i płeć. Radzono, przed wypełnieniem karty, skonsultować się z lekarzem (Wielu lekarzy miało różnego rodzaju opory przed opisywaniem choroby swpich pacjentów. Zdarzały się przypadki zdecydowanych odmów takich konsultacji przez lekarzy). Tak wypełnioną kartę należało złożyć w zaadresowanej do siebie kopercie w kościele, w którym się ją otrzymało. Karty te podlegały weryfikacji dokonywanej przez studentów medycyny, lekarzy oraz głównych organizatorów. Przy weryfikacji zgłoszeń pierwszeństwo przyjęcia mieli ci chorzy, którzy dołączyli do kart zaświadczenia lekarskie. W organizacji przyjęć przez Harrisa w Łodzi, również jesienią 1978 roku, tylko chorzy z zaświadczeniami lekarskimi otrzymywali karteczki przyjęć do Harrisa.

Drugim podstawowym kryterium selekcji zgłoszeń była choroba nowotworowa. Następnie brano pod uwagę choroby długotrwałe i nieuleczalne (z wyjątkiem takich, jak ślepota, głuchota, brak kończyn itp.) oraz wiek. Preferowano głównie dzieci i młodzież. Pozytywną odpowiedź stanowiła karteczka przyjęcia, na której było podane w języku angielskim miejsce występowania choroby, godzina przyjęcia oraz prośba, aby nie przychodzić przed czasem.

Przed rozpoczęciem spotkania musiała być zapewniona nieprzerwana ciągłość kolejki. O jakichkolwiek przestojach w stałym strumieniu ludzi nie mogło być mowy. Wzdłuż tej kolejki, już w pomieszczeniach kościelnych, stali organizatorzy, których bezpośrednim zadaniem było kierowanie tempem przyjęć narzuconym przez Harrisa. Jedna z tych osob odbierała od chorych karteczki z wypisanym miejscem, które Harris miał dotykać, druga odczytywała tę nazwę na głos. Harris czasami powtarzał ją sobie po cichu. Bezpośrednio za nim znajdowała się inna osoba, która w momencie, gdy Harris zwalniał dotyk, przesuwała pacjenta delikatnie do przodu. Te trzy osoby musiały być doskonale zgrane z Harrisem. On sam wybierał taką trójkę, która stanowiła stałą ekipę. Ekipy zmieniały się po kilku godzinach tej wyczerpującej pracy. Podczas spotkania działały 3-4 trójki współpracujące z Harrisem.

W bramie oraz wzdłuż kolejki na ulicy odbywała się kontrola karteczek przyjęć. Ludzie zgromadzeni przed wejściem informowani byli przez głośniki co kilka minut o sposobie zachowania się na terenie kościelnym oraz o tym, że nie można pod żadnym pozorem dotykać Harrisa, mówić do niego, zatrzymywać się, rozmawiać w sali. Musiała być absolutna cisza i spokój, inaczej mogłoby nastąpić przerwanie działań Harrisa. Przed wejściem należało zdjąć cięższą biżuterię (duże łańcuszki, wisiorki, itp) ze względu na bezpieczeństwo Harrisa.

23 listopada 1978 roku Harris zjawił się w sali, gdzie miał dotykać chorych, około godziny 6.20. Do godziny 18 gdy zakończył się big meeting, Harris przyjął 10.000 osób. Nie robił żadnej przerwy — stał i dotykał pacjentów przez ponad 12 godzin.

W czasie spotkania z pacjentami całe ciało Harrisa jest lekko pochylone do przodu. Po paru godzinach nakładania rąk, Harris jest już zmęczony i mokry od potu. Twarz ma niezwykle skupioną, oczy zawsze szeroko otwarte, jak gdyby nie widzące nic z boku. Podczas działań terapeutycznych trzyma ręce stale uniesione, lekko zgięte w łokciach. Dotyka pacjentów delikatnie, miękko muskając głowy, piersi, brzuchy czy nogi. Widać, że podczas dotyku dłońmi zatraca się w tej pracy. Jest jakby wyizolowany ze świata zewnętrznego. Działa z jakąś wewnętrzną determinacją, niezależnie od tego, czy dotyk trwa dwie czy kilkadziesiąt sekund."

Podczas trwania spotkań ludzie, mimo apelu organizatorów, przybywali znacznie przed wyznaczoną godziną, nie mogących poruszać się samodzielnie dowożono samochodami, w tym także karetkami pogotowia ratunkowego. Niekiedy byli to ludzie w stanie bardzo ciężkim. Na miejscu spotkania, obok służb porządkowych, dyżurowali lekarze i pielęgniarki, udzielające pomocy głównie przy omdleniach i zasłabnięciach.

„W czasie wszystkich spotkań obowiązywała zasada, że przyjmowane były tylko osoby mające karteczki wstępu. Jednak organizatorzy dysponowali kilkudziesięcioosobową rezerwą, zawsze bowiem w tłumie pod bramą zdarzali się ciężko chorzy. Gdy rezerwy karteczek wyczerpywały się, organizatorzy apelowali do osób stojących w kolejce o odstąpienie swojego numerka np. dla ciężko chorego dziecka z nieuleczalnym nowotworem. Zdarzało się, że ludzie odstępowali bezinteresownie swe miejsce w kolejce.

Pod koniec dnia przyjęć, pod bramą kłębił się kilkusetosobowy tłum ludzi bez karteczek, usiłujący wejść do środka. Nie wierzyli, że spotkanie dobiegło końca, i szturmowali bramy jeszcze przez kilka godzin.

RAZEM Z „NORMALNYM" LEKARZEM

Ze względu na brak materiałów nie jest możliwe systematyczne przedstawienie, co Harris twierdzi o teorii chorób. On sam, jak wynika z jego różnorodnych wypowiedzi, nie jest zainteresowany wiedzą o pochodzeniu i przyczynach chorób. W różnych rozmowach i wywiadach podkreśla konieczność nieprzerywania przez jego pacjentów dotychczasowych terapii medycznych. W tym punkcie nie różni się od innych uzdrowicieli spirytualnych, którzy podkreślają konieczność komplementarności leczenia duchowego i medycznego.

Harris podkreśla często ogromną skuteczność nowoczesnej nauki i techniki medycznej. Pozostawiają one jednak pewien margines potrzeb nie zaspokojonych (nie tylko zdrowotnych), które on stara się zaspokoić swoją terapią. Nie wymaga od swoich pacjentów wiary w skuteczność tego leczenia. Jest ona obojętna dla przebiegu i efektów jego działań terapeutycznych.

Jednym z wymiarów społecznej roli uzdrowiciela spirytualnego jest kwestia finansowa. Twaddle i Hessler, na podstawie obserwacji działań kilku uzdrowicieli duchowych, stwierdzają, iż finansowo spodziewają się oni wkładu do ich dochodów nie zaś zapłaty za swoją działalność. Podobnie działa Harris, całkowicie bezinteresownie, z pełnym poświęceniem dla innych. Jego leczenie jest bezpłatne."

Bezinteresowność cechuje także porządkowych i organizatorów. Ludzie, w większości przypadków, wiedzą o tym i akceptują taką postawę. Zdarzały się jednak przypadki prób przekupienia porządkowych, odpłatne odstępowanie innym miejsca w kolejce lub handel kartkami przyjęcia na wolnym targu. Wielu ludzi składało w kościele dobrowolne ofiary w intencji uzdrowiciela.

Pewne właściwości Harrisa, umożliwiające mu pełnienie roli uzdrowiciela, w naszych warunkach nabrały cech legendy. Zdaniem autorów, sprawiły to w głównej mierze środki masowego przekazu, które niemal od jego pierwszej wizyty w Polsce tworzyły wokół osoby i działalności uzdrowiciela specyficzną atmosferę, publikując wywiady, reportaże ze spotkań, opisując przypadki uzdrowień. W wielu artykułach występowały elementy tajemniczości i sensacji. Stanowiło to swego rodzaju reklamę dla instytucji Harrisa i przyczyniało się do wzrostu społecznego zainteresowania i zapotrzebowania na działalność uzdrowicieli. Przede wszystkim Harrisa, ale także innych, żyjących na terenie kraju.

Dopiero niedawno, w drugiej połowie XX wieku, metody stosowane przez uzdrowicieli i znachorów, wzbudziły zainteresowanie świata naukowego, także lekarskiego. Dotyczy to nie tylko Polski, ale także wielu krajów wszystkich kontynentów. W większości z nich (m.in. w ZSRR) to oficjalne zainteresowanie, próby szukania odpowiedzi na pytanie, czy są to jedynie sztuki magiczne, czy też cenne metody terapeutyczne, podjęto znacznie wcześniej, niż w Polsce.

„Obecnie, w latach 70-tych i 80-tych XX wieku, motorem zmiany zdecydowanie negatywnego nastawienia do teorii i technik systemu lecznictwa, rozwiniętych poza tradycją zachodnią, jest Światowa Organizacja Zdrowia. Tendencję tę analizuje prof. dr M. Sokołowska w eseju dotyczącym interpretacji socjologicznego zjawiska Clive'a Harrisa, przedstawiając jednocześnie program badań podjętych już lub planowanych przez WHO. Tu pragniemy przedstawić tylko fragment z raportu dyrektora generalnego WHO na temat stosunku medycyny oficjalnej do medycyny tradycyjnej w Europie: „postawy oficjalne i profesjonalne w stosunku do tradycyjnych uzdrowicieli są nadal ostrożne. Oczekuje się, że tradycyjni uzdrowiciele otrzymają nowoczesne przeszkolenie naukowe. Jednakże ceni się ich identyfikację z ludnością i metody postępowania z zaburzeniami psychologicznymi. Uważa się, że nowoczesna medycyna może się od nich wiele nauczyć w tej dziedzinie."

CZY TYLKO PO NADZIEJĘ!

Dlaczego jednak, mając nieskrępowany dostęp do wszelkich instytucji medycznych, tak wielu ludzi korzysta z pomocy uzdrowiciela? Odpowiedź na to jest skomplikowana. „Przystępując do analizy czynników psychologicznych gwarantujących powstanie w Polsce instytucji Harrisa, należy rozpatrzyć naturalne skłonności ludzkie do przyjmowania postaw irracjonalnych, które to postawy prowadzą pacjentów do nienaukowej medycyny. Sytuacja choroby wyzwala takie naturalne tendencje do przyjmowania postaw irracjonalnych. Choroba jako taka może stwarzać stan zagrożenia sprzyjający przejawianiu się w myśleniu elementów magicznych, szczególnie w przypadku choroby nieuleczalnej na danym etapie rozwoju medycyny, braku widocznych i szybkich efektów w trakcie leczenia podejmowanego przez lekarzy, a także przy niemożności zagwarantowania przez lekarzy, skutecznych wyników leczenia, lub obawy przed bólem u chorych, których leczenie polegać ma na operacyjnym, ewentualnie innym bolesnym zabiegu." Nie tłumaczy to jednak w pełni zainteresowania chorych uzdrowicielami.

„Często, w czasie naszych sondaży wśród pacjentów Harrisa padał argument, iż ich wizyta u tego uzdrowiciela spirytualnego to terapia (a raczej próba terapii inna od dotychczas im aplikowanej. Często podkreślaną zaletą tego sposobu leczenia jest to, że nie wymaga on przerwania dotychczasowej terapii medycznej. Innym argumentem pacjentów Harrisa jest również fakt, iż ten sposób leczenia nie pociąga za sobą formalnie kosztów finansowych.

Często wśród motywów, jakimi kierowali się pacjenci Harrisa, wymieniany był fakt, iż jego terapia nie ma negatywnych oddziaływań na organizm. Chorzy byli, jak się wydaje, powszechnie przekonani o braku ubocznych skutków oddziaływania tego uzdrowiciela na organizm pacjenta.

Wśród motywów kierujących ludzi do różnego rodzaju znachorów, ciekawość i zainteresowanie ich metodami występują dość często. Aspekt ten, w odniesieniu do instytucji Harrisa wydaje się też odgrywać pewną rolę".

Nie bez znaczenia są zapewne również przemiany zachodzące we współczesnej medycynie — postępująca technicyzacja i specjalizacja. W określony sposób odbija się to w sferze psychiki pacjentów, a co za tym idzie — ich orientacji medycznych, kierujących chorego w stronę medycyny innej, niż oficjalna.

„Terapia, jaką proponuje Clive Harris, jest w tym kontekście bardzo prosta, a zarazem atrakcyjna. Kilkusekundowe dotknięcie stwarza w świadomości pacjenta nadzieję na uniknięcie bolesnej i długotrwałej kuracji. Takie leczenie staje się dla chorego bardzo wygodne. Pacjent, który miał możliwość uczestniczenia w spotkaniu z uzdrowicielem, podczas oczekiwania na przyjęcie przez Harrisa spotyka się ponadto ze specyficzną atmosferą stworzoną przez organizatorów, z przejęciem się jego cierpieniem. Jest to, co również wymaga podkreślenia, przejęcie się bezinteresowne zarówno ze strony Harrisa, jak i organizatorów.

Istotną rolę odgrywa tu technika terapii Harrisa — dotyk, który dla cierpiącego człowieka ma bardzo duże znaczenie.

Czy więc kontakt Harrisa z chorym ograniczą się do terapii przez autosugestię? Czy leczenie spirytualne w wydaniu Harrisa zapewnia choremu uwzględnienie jego subiektywnej perspektywy, czy stanowi ono bezpośredni skutek nieufności w metody i proces leczenia medycyny? Czy leczenie spirytualne nie rozwinęło się jedynie z powodu kryzysu i bolączek trapiących współczesne nauki medyczne, będąc prostą konsekwencją sytuacji w tych naukach? Odpowiedź na te i wiele innych pytań nie jest możliwa na obecnym etapie wiedzy. Konieczne są badania interdyscyplinarne w dziedzinie nauk medycznych, fizyki, psychologii, socjologii oraz innych nauk.

Kolejną grupę czynników, wpływających na popularność Clive'a Harrisa, stanowią warunki społeczno-kulturowe. Sprawą w tym wypadku zasadniczą, jak nam się wydaje, jest analiza owego związku z kościołami. Chodzi tu nie tylko o relację: skuteczność działania uzdrowicieli spirytualnych a czynnik mistyczny. Istotny jest również związek między zasięgiem oddziaływania uzdrowiciela duchowego a jego powiązaniami z określonym kościołem, także zależność między bezpośrednim wpływem religii, z jaką się uzdrowiciel wiąże a światopoglądem potencjalnych pacjentów.

Można przypuszczać, że wśród pacjentów Harrisa światopogląd religijny odzwierciedlał światopogląd wyznawany przez większość społeczeństwa. Dla ilu jednak, spośród tych chorych, motywem decydującym było to, iż big meeting odbywał się na terenie kościoła, nie wiadomo. Nie jest również możliwe do ustalenia, w jakiej mierze do popularności Harrisa przyczynił się fakt, że wiadomości o jego wizycie otrzymać można było praktycznie tylko w kościele. Przypuszczać można, iż autorytet księży, którzy również byli pacjentami Harrisa, w wielu przypadkach zadecydował ostatecznie o potrzebie wizyty u tego uzdrowiciela.

Jednym z istotnych czynników społeczno-kulturowych wpływających na powstanie instytucji Harrisa jest pojawienie się zbiorowego zapotrzebowania społecznego na leczenie tego typu. Pod pojęciem „zapotrzebowanie społeczne" rozumiemy przede wszystkim powstanie pewnego rodzaju mody na Clive'a Harrisa i masowego pędu do niego zarówno ludzi chorych jak i tych, którym nic nie dolega. Zjawisko to w Polsce można uznać za egzemplifikację ogólnego spadku zaufania do instytucji biurokratycznych.

Jak wynika z analiz Illicha, (Iwan Illich, autor książek „Medical Nemezis", „Społeczeństwo bez szkół" i „Celebration of Awareness"), dotyczących współczesnych problemów zachodniej służby zdrowia, jednym z głównych jego postulatów jest deprofesjonalizacja praktyk terapeutycznych, na przykład scedowanie niektórych pełnionych przez medycynę funkcji na nieprofesjonalistów. (Mogą nimi być właśnie uzdrowiciele spirytualni).

Zjawisko Clive'a Harrisa trzeba traktować jako egzemplifikację faktu społecznego, z którym zarówno lekarze, jak i badacze życia społecznego muszą się liczyć. Wielosettysięczne tłumy pragnące wizyty u tego uzdrowiciela nie muszą jednak oznaczać nieufności czy niechęci do naukowej medycyny i państwowej służby zdrowia. Ludzie przychodzący do Harrisa traktują jego terapię jako lek.

Podczas kolejnych wizyt w Polsce Harris nie wywołał już swoją obecnością ożywionych dyskusji. Można odnieść wrażenie, że został zaakceptowany przez ludzi. Wszędzie czekały na niego tłumy, lecz nie tak rozentuzjazmowane i żadne sensacji. Czyżby jego działalność terapeutyczna została uznana w świadomości społecznej za jedną z dodatkowych możliwości leczenia się?"

Opracowała:
TERESA JERZYKOWSKA

Dotrzeć do każdego

Piotrkowska wojewódzka konferencja sprawozdawczo-programowa była tym forum, na którym dokonano oceny minionych niełatwych miesięcy, rozpatrzono możliwości dnia dzisiejszego i nakreślono założenia wychodzenia z kryzysu w latach 1983—85. Znalazło to swoje odzwierciedlenie zarówno w referacie Egzekutywy KW PZPR, jak w wystąpieniach delegatów, a także, w podjętej na zakończenie obrad, uchwale.

Oceniając czas po sierpniu 1980 r., stwierdzono, że partia nie była przygotowana do walki politycznej, bowiem uległa naruszeniu jedność szeregów partyjnych, wśród poważnej części członków, a dokonane zmiany personalne w wyniku kampanii sprawozdawczo-wyborczej wpłynęły na osłabienie siły podstawowych ogniw partii. *„Był to czas wielkiego egzaminu każdego z nas* — czytamy w referacie Egzekutywy KW. — *Egzaminu z patriotyzmu, odwagi, zaangażowania i wierności sprawie socjalizmu. Setki, a nawet tysiące członków i kandydatów partii nie wytrzymało presji i odeszło z naszych szeregów. Jest nas dziś w województwie o kilkanaście tysięcy mniej niż dwa i pół roku temu. Najwięcej odeszło robotników".*

Z zestawień statystycznych wynika, że wojewódzka organizacja piotrkowska zmniejszyła się o ponad 10 tys. członków i kandydatów. Dziś skupia ona ogółem 43.745 osób. Na terenie województwa działa 1.110 grup partyjnych, 378 OOP, 1.442 POP i 32 Komitety Zakładowe. Są 2 Komitety Miejskie PZPR, 8 Komitetów Miejsko-Gminnych, 42 Komitety Gminne oraz 5 Rejonowych Ośrodków Pracy Partyjnej. W okresie sprawozdawczym (tj. od IV Konferencji, która miała miejsce w lipcu 1981 r.), skreślonych zostało 9.680 osób, w tym 1.643 kandydatów. Wydalono w tym czasie 184 osoby.

Komitet Wojewódzki wspólnie z władzami Urzędu Wojewódzkiego i Wojewódzkim Komitetem Obrony dokonał oceny kadry kierowniczej we wszystkich jednostkach gospodarczych. W wyniku tego odwołano ze stanowisk 19 prezydentów i naczelników miast i gmin, 88 dyrektorów, prezesów i kierowników jednostek administracyjnych i gospodarczych, 15 sekretarzy instancji i organizacji partyjnych. Sporo osób z kadry kierowniczej pozostawiono na stanowiskach warunkowo. Jest to w sumie bardzo słuszne posunięcie, bowiem wiele osób nie posiadało merytorycznego przygotowania do pełnienia odpowiedzialnych funkcji ani zdolności kierowniczych.

Dziś wojewódzka organizacja pracuje nad scementowaniem swoich szeregów, nad przywróceniem autorytetu partii, nad skupieniem wokół partii wszystkich postępowych i patriotycznych sił dla umacniania idei porozumienia narodowego.

W ciągu minionych 19 miesięcy miał miejsce niebywały spadek produkcji, która w przypadku woj. piotrkowskiego zmalała o blisko 4 mld zł, obniżył się eksport, pogorszyła się jakość wyrobów, katastrofalnie zmalały przewozy, nie były realizowane inwestycje, wzrósł czas nieprzepracowany, rozluźniła się dyscyplina społeczna... Tylko w roku 1981 w porównaniu do 1980 produkcja przemysłowa spadła o 9 proc., skup żywca obniżył się o 41 proc., skup mleka o 6,7 proc., wartość produkcji przedsiębiorstw budowlano-montażowych obniżyła się o 22 proc., a ich zdolność produkcyjna była wykorzystana zaledwie w 65 proc. Dopiero wprowadzenie stanu wojennego, położyło tamę temu regresowi. Poczynając od września 1982 r., wskazówka na wykresie „produkcja" zaczęła powoli iść w górę; dotyczy to szeroko pojętego przemysłu i rolnictwa. Powstała możliwość dokonania rejestru nie tyle potrzeb, bo te są znane, ile możliwości. *„Wchodzimy w kolejny etap naszej walki* — czytamy w referacie Egzekutywy — *etap działania partii w warunkach zawieszenia stanu wojennego".* Jest to istotne stwierdzenie, bowiem od tego, jak poszczególne instancje partyjne będą rozwiązywać podstawowe dla społeczeństwa sprawy, będzie zależał autorytet partii w środowisku. Jednocześnie: *„Powinniśmy w naszych instancjach i organizacjach partyjnych bliżej przyjrzeć się tym, którzy jeszcze tak niedawno chcieli mordować, wieszać komunistów, a dziś przylepiają się do nas na nowo, a my niejednokrotnie cieszymy się, że oni chcą z nami rozmawiać. Popatrzmy głębiej co się za tym kryje. „Czekaczy" na lepsze, spokojniejsze czasy nie brakuje. Pomóżmy im w wyborze życiowej drogi, niech nie zaśmiecają naszych szeregów".* Otóż jest to ważne stwierdzenie. Nie pójdziemy dalej dźwigając ten balast. Stąd potrzeba skutecznej pracy ideologicznej, która będzie uzbrajać aktyw w ważkie, przekonujące i nieodzowne argumenty. Dlatego tak ważnym czynnikiem jest *„konsolidacja wszystkich sił społecznych, stojących na gruncie socjalistycznej odnowy".* Ruch odrodzenia narodowego jest ruchem stymulującym aktywność obywatelską.

Wychodzenie z kryzysu, plan na lata 1983—85, rosnące z dnia na dzień potrzeby, nadrabianie, bodaj w części, zaległości — zajmowały istotne miejsce w czasie obrad. Zarówno w referacie Egzekutywy KW, jak i w dyskusji temu zagadnieniu poświęcono wiele uwagi, zgłaszając postulaty i propozycje, które znalazły swoje odzwierciedlenie w przyjętej uchwale. Wiadomo powszechnie, a specjaliści od planowania i ekonomiki obliczyli to dokładnie, że plan 3-letni nie jest i być nie może planem intensywnego rozwoju. Jest to plan przetrwania, przeżycia w najtrudniejszej sytuacji. Przeżycia z możliwie najmniej odczuwalnymi skutkami.

W Piotrkowskiem lista potrzeb jest niezwykle długa: pomocy potrzebuje oświata, służba zdrowia, kultura, budownictwo, gospodarka komunalna. Piotrków otrzymał 1.780 mln zł dla inwestycji rad narodowych. Jest to sporo, a zarazem niewiele. Jak mówiono na konferencji, będą przede wszystkim kontynuowane inwestycje już rozpoczęte, co pochłonie ok. 85 proc. przyznanych funduszy i posiadanych nakładów. Dlatego też podejmowanie nowych zadań jest ograniczone i zawęzi się je jedynie do uzbrajania terenu.

Doinwestowania wymaga także rolnictwo. W dyskusji nad tezami referatu wielu rolników mówiło o źle funkcjonujących urzędach, o tym, że chłop chce czy nie musi należeć do kilku organizacji i związków rolniczych: jeden do siedmiu, inny aż do czternastu. Są to różne zrzeszenia hodowców, plantatorów itp. Każdy z tych związków zabiera rolnikowi 1 proc. jego dochodów, ale pomocy okazują dla swoich członków niewiele. Narzekano na kłopoty z melioracją, na braki w zaopatrzeniu w maszyny i urządzenia... Rolnik z Kleszczewa mówił, że nim powstał Zespół Górniczo-Energetyczny w Bełchatowie, ówczesna propaganda przyrzekała, że w okolicy wyrosną giganty szklarniowe, że rozwinie się hodowla ryb w ciepłej wodzie itp. Dziś prawda jest taka, że zostały naruszone prawa ekologiczne i wielkie obszary rolne praktycznie są pozbawione wody, a co za tym idzie, zmniejszyły się plony, marnieją lasy, gwałtownie zmniejsza się hodowla trzody i bydła. A przecież jest uchwała Rady Ministrów z września 1982 r., dotycząca dalszej budowy Zespołu Górniczo-Energetycznego i regulująca te sprawy...

Sprawy wsi zajęły sporo miejsca w dyskusji. Nie ma nadal synchronizacji pomiędzy GS a zagrodą, gdyż jakże często chłop wraca z żywcem z punktu skupu, bo go tam nie przyjęto, bo punkt zamknięty, bo nie ma nikogo, kto mógłby wyhodowaną przez chłopa sztukę odebrać. Często, mówiono, wprowadza się nowe metody pracy zapominając o usuwaniu starych nawyków. I tu partia ma wiele do zrobienia, musi ona przekonać rolników, że jest zgodność słów z czynami.

Wiele miejsca poświęcono wychowaniu młodego pokolenia, jego awansowi i udziałowi w życiu gospodarczym i politycznym kraju. Młodzież musi być wychowana w poczuciu odpowiedzialności za kraj, musi czuć się współgospodarzem socjalistycznej Polski.

Celowo nie wymieniam mówców, bo istotne są głosy w dyskusji, a nie nazwiska. Natomiast nie mogę nie przytoczyć kilku zdań z wypowiedzi obecnego na konferencji członka Biura Politycznego, sekretarza KC, Mirosława Milewskiego. Mówiąc o powrocie do pryncypiów IX Nadzwyczajnego Zjazdu PZPR, stwierdził, że wszędzie tam, gdzie następuje naruszenie norm marksistowsko-leninowskich, wchodzi wróg, by siać zamęt, destrukcję, niezgodę. Jednak zaangażowanie aktywu, ludzi oddanych bez reszty partii złożyło się na dzisiejsze dokonania. Coraz więcej mamy przykładów, że ludzie chcą być z nami, a idea porozumienia narodowego stwarza szansę na budowanie lepszego jutra. Stąd bierze swój początek Patriotyczny Ruch Odrodzenia Narodowego, stąd, choć ostrożnie, rodzą się nowe związki zawodowe.

Mówiąc o wdrażaniu reformy gospodarczej, mówca powiedział m.in.: *„Proszę pokazać kraj, który by w tak krótkim czasie i w tak trudnych warunkach wprowadził reformę? Stąd też są niezbędne korekty dokonywane w marszu, stąd biorą się wszystkie poprawki w trakcie jej wprowadzania".*

Oceniając konferencję wojewódzką, sekretarz KC z uznaniem podkreślił rozwagę i krytyczne podejście, z jakim wojewódzka organizacja partyjna w Piotrkowie ocenia własne dokonania i kreśli zadania na najbliższe lata.

Na zakończenie pragnę pokusić się o drobne résumé. Otóż z przebiegu konferencji, z atmosfery panującej na sali obrad i w kuluarach, wynikało jedno: partia rozpoczęła kampanię zmierzającą do odzyskania zaufania i autorytetu wśród społeczeństwa. Nie będzie to sprawa łatwa ani szybka. Kampania sprawozdawcza stała się także przeglądem stanu partii i raz jeszcze potwierdziła znaną prawdę, że partia jest jedynie tam silna, gdzie żyje na co dzień sprawami środowiska, gdzie dociera bezpośrednio do ludzi, do załóg, gdzie występuje jako współtwórczyni i organizatorka społecznie ważnych inicjatyw. A przy tym partia musi być wrażliwa na sprawy jednostkowe, osobiste, nawet na te najdrobniejsze. Musi się zmienić język, którym posługuje się aktyw partyjny; ma to być język prosty, komunikatywny, zrozumiały, zarówno dla chłopa, jak i dla robotnika. Muszą to być słowa, które przekonują i zachęcają do współdziałania i współtworzenia tego wszystkiego, co nazywamy socjalistyczną odnową.

(EUG)

Przede wszystkim rozmawiać...

27 stycznia 1983 r. odbyła się w Skierniewicach Wojewódzka Konferencja Sprawozdawczo-Programowa PZPR. W obradach, którymi kierował I sekretarz KW PZPR Janusz Kubasiewicz, wzięło udział 197 z 216 delegatów, którzy zachowali swoje mandaty od wyborów przed IX Nadzwyczajnym Zjazdem partii.

Gośćmi konferencji byli m.in. zastępca członka Biura Politycznego, sekretarz KC PZPR — Włodzimierz Mokrzyszczak, przewodniczący Centralnej Komisji Kontroli Partyjnej — Jerzy Urbański, wicemarszałek Sejmu PRL — prof. dr Zbigniew Gertych, kierownik Wydziału Społeczno-Zawodowego KC PZPR — Stanisław Gabrielski, prezes WK ZSL — Adam Marzec, przewodniczący WK SD — Jan Jarota, przewodniczący WRN — Ludomir Goździkiewicz, wojewoda skierniewicki — Kazimierz Borczyk oraz wiceministrowie z kilku resortów gospodarczych. Obradom przewodniczyli: Janusz Kubasiewicz, Krystyna Zuchowicz, Jerzy Słomiński i Marian Piecho.

Dopiero od siedemnastu miesięcy obowiązuje Uchwała IX Zjazdu, tyleż mniej więcej czasu realizują swoje programy wojewódzkie organizacje partyjne. Wobec skali naszych zamierzeń i oddalenia horyzontów jest to okres dość krótki. Może właśnie dlatego nie odosobniony (choć w zdecydowanej mniejszości) był pogląd, że partia nie powinna działać, jak niedoświadczony ogrodnik, który, nie mogąc doczekać się upływu normalnego okresu wegetacji, niecierpliwie wyciąga roślinki z ziemi, przyglądając się, jak też im rosną smakowite korzonki, ale nie bacząc, że na ogół roślinki źle znoszą taką operację i więdną. Ale przecież program działania to nie rzodkiewka, której wystarczy słońce, podlewanie i nawożenie. Program to przede wszystkim ludzie, gotowi go realizować, a nadto warunki materialne i polityczne.

W okresie tych siedemnastu miesięcy wszystkie czynniki decydujące o realizacji programu zmieniały się nieustannie. Odchodzili ludzie, kryzys ekonomiczny osiągnął kulminację, a ostra walka polityczna z przeciwnikami socjalizmu, a potem stan wojenny, mogły zakłócić dochodzenie do wytyczonych w lipcu 1981 roku celów. Tym bardziej, więc należało sprawdzić, w którym miejscu się znajdujemy, co należy uzupełnić, przyspieszyć bądź zrewidować. A bez „wyciągnięcia korzeni" nie da się tego zrobić...

Wojewódzka organizacja partyjna w Skierniewickiem stanęła do tej konfrontacji z literą i duchem własnego programu bez obaw. Wiele bowiem osiągnięto w niezwykle trudnych warunkach — przede wszystkim wzmocniły się jakościowo szeregi partyjne, uniknięto destrukcyjnych napięć społecznych, obywatele województwa zachowali spokój i okazali wolę narodowego porozumienia w najtrudniejszych okresach stanu wojennego, a osiągnięcia przemysłu w przezwyciężaniu kryzysu — siedmioprocentowy wzrost produkcji — stawiają go w czołówce krajowej.

Z partii w woj. skierniewickim odeszło w tym czasie ponad 6 tys. ludzi. Jeden z uczestników dyskusji na konferencji, rolnik z podłowickiego Bochenia *Stanisław Kurczak*, wyraził pogląd, że może tych ludzi kiedyś zabraknąć, że przecież w większości nie byli winni, ani temu, co się stało, ani temu, że odeszli. Nikt nie podjął dyskusji z tą tezą, pozwalam więc sobie wyjść z roli komentatora. Otóż członkostwo partii wiąże się na ogół z dorosłością, dojrzałością polityczną i obywatelską, ze świadomością wyboru i odpowiedzialności. Jeżeli ktoś świadomie opuszcza partię w trudnym czasie walki, nie potrafiwszy odróżnić idei od wynaturzeń, za które przecież też jest w jakimś stopniu (na ogół minimalnym) odpowiedzialny — to nie jest to może od razu dezercja i zdrada, ale obu stronom wychodzi na dobre; partia zwiera i wzmacnia szeregi, a odchodzący delikwent nie musi dźwigać ciężaru odpowiedzialności przekraczającej jego kondycję psychiczną. Dlatego nikogo nie żal mi, że nie pozostał z nami.

W referacie Egzekutywy KW i w trakcie konferencyjnej dyskusji wiele miejsca poświęcono osiągnięciom ujawnionym w kampanii sprawozdawczej — konsolidacji partii i wzmożeniu aktywności jej członków, sukcesom partyjnej inspiracji w administrowaniu i zarządzaniu gospodarką, w budowaniu ładu i porządku publicznego, w reaktywowaniu samorządności i ruchu zawodowego. Ale konferencja nie utonęła w powodzi optymistycznych relacji i wzajemnych komplementów — jeszcze więcej bowiem było szczerej rozmowy o trudnościach, barierach i słabościach partii, niedostatkach w rozwiązywaniu najistotniejszych kwestii drażniących społeczność województwa.

O najważniejszych wśród tych ostatnich obszernie mówił w swym wystąpieniu wojewoda *Kazimierz Borczyk*. W centrum uwagi dyskutantów znalazły się dwa z tych problemów — mieszkania i niedostatki rolnictwa.

Jeden z uczestników dyskusji — *Antoni Berdychowski* z Sochaczewa wskazał na jedyną, zdaniem wielu, szansę poprawy kwestii mieszkaniowej wobec pogłębiającej się z roku na rok luki między możliwościami budownictwa a kolejką oczekujących. Szansą tą mogą być małe spółdzielnie mieszkaniowe i wykorzystanie lokalnych źródeł materiałów budowlanych. Ale z odbudową tradycyjnego przemysłu ceramicznego trzeba się spieszyć — za rok rozlecą się ostatnie cegielnie, a rdza zeżre ostatnie maszyny. W imię istotnej poprawy warunków mieszkaniowych partia musi wspierać tendencję do przełamania monopolu wielkiej płyty i budowlanych gigantów.

Jan Leśniak, rolnik z gminy Głuchów, wspomniany tu już Stanisław Kurczak i przewodniczący RSP w Kamionie *Benedykt Suchecki* przybliżyli zebranym najistotniejsze problemy skierniewickiego rolnictwa. Wprawdzie osiągnięto nie najgorsze wyniki, ale kiepskie wyniki skupu zbóż oznaczają, że województwo nie może wyżywić się samo — są tu gminy, gdzie zjada się wielokrotnie więcej chleba niż wynoszą najoptymistyczniejsze prognozy skupu. Zdaniem Jana Leśniaka podstawową przyczyną słabości rolnictwa jest postępujące rozwarstwienie wsi — 10 proc. gospodarstw jest rzeczywiście bardzo dobrych, kosztem dotacji i kredytów, ale pomiędzy nimi a pozostałymi stale pogłębia się przepaść; słabsi już nigdy nie dogonią przodujących, do czego zresztą przyczynia się przemysł, nie podejmując na szerszą skalę produkcji prostszych i tańszych narzędzi, mogących ułatwić gospodarowanie średniakom.

Stanisław Kurczak wspomniał o zbyt liberalnym i filantropijnym stosunku władz do niegospodarności rolników. Słabi i leniwi zawsze mogli liczyć na ulgi, pracowici tymczasem dostawali „w kość". Jednocześnie te i inne błędy polityki rolnej przyczyniały się do spadku aktywności społecznej rolników — dziś najwyżej jedna trzecia uczestniczy w życiu wsi; to też może być symptomem zniechęcenia i braku wiary w skuteczność programów.

S. Kurczak i następny po nim mówca, *Henryk Wrzesiński* z Puszczy Mariańskiej, mówili też o wiejskiej oświacie, decydującym czynniku postępu w rolnictwie. Tymczasem coraz gorsza jest sytuacja kadrowa wiejskiego szkolnictwa. Warunki egzystencji i płace odstraszają ludzi — zaczyna ich brakować w miastach, a co dopiero na wsi...

Pogorszający się stan szkolnictwa jest jednym tylko przyczynkiem do sytuacji młodego pokolenia na wsi, o czym mówili m.in. *Ryszard Szmajdziński* — przewodniczący ZW ZSMP i *Ireneusz Kobus* — przewodniczący ZW ZMW. Ich zdaniem tendencje do wyludniania się wsi uległy wprawdzie spowolnieniu, a życie w miastach okazało się też trudne, ale ucieczki młodych z ojcowskich zagród długo jeszcze będą określały przyszłość (a raczej jej brak) wielu wsi. Dlatego niezwykle cenne stałoby się upowszechnianie inicjatyw partyjnych organizacji w gminach, zmierzających do rozbudzania społecznej i kulturalnej aktywności młodego pokolenia, o czym mówił *Zygmunt Drążykowski* z Domaniewic, relacjonując budowę wiejskiego domu kultury w jednej z wsi swej gminy.

Sporo uwagi uczestników dyskusji zajęły sukcesy i mielizny reformy gospodarczej. *Jerzy Lewandowski* ze skierniewickiego „Fumosu" i *Jan Abramczyk* z Zakładów Lniarskich w Żyrardowie wskazali na niezłe wyniki gospodarowania w reformie, czego dowodem jest wykonanie przyjętych zadań, nawet przed terminem. Ale o wiele istotniejsze w ich wypowiedziach były wskazówki co do przeszkód i nonsensów na drodze reformy — ciągle dużej ilości nakazów i ograniczeń oraz osłabienia motywacji do dobrej pracy. Nadmiar funkcji socjalnych państwa skłania do nadużywania przywilejów ponad istotne potrzeby przez wielu, a tracą na tym mechanizmy reformy, bo nie wyzwala się zachęt do lepszej pracy, tylko akurat przeciwnie.

Zdaniem Jana Abramczyka niezbędne jest wzmożenie wysiłków i pomocy organizacji i instancji partyjnych dla samorządów pracowniczych, gdyż bez tych ostatnich o powodzeniu reformy nie ma co mówić. Podobny pogląd, tylko w odniesieniu do tworzenia związków zawodowych, wyraziła *Halina Jordan* z sochaczewskiego „Chemitexu". Pojawiają się w tej mierze opinie, że partia winna nie wtrącać się w zakładanie związków zawodowych, by uniknąć posądzenia o manipulację. Mimo to trzeba inspirować i pomagać, bo partii nie może być obojętne, czy na terenie związków będzie miała do czynienia z wymagającym, twardym partnerem, czy wrogiem.

W ten sposób wracamy do zagadnień fundamentalnych, ideologicznych, którym całe swe wystąpienie poświęcił *Włodzimierz Mokrzyszczak*. Powołując się na twierdzenie jednego z dyskutantów, że partia powinna przede wszystkim rozmawiać z obywatelami — nie apelować i przemawiać — zaapelował on o kształtowanie przez wszystkich członków partii umiejętności słuchania najpierw; umożliwia to dokonywanie korekt różnych decyzji, zaś umiejętny dialog pozwala wybrać wspólną dla wszystkich drogę rozwoju. Chodzi o to, używając obrazowego skrótu myślowego — powiedział W. Mokrzyszczak — byśmy teraz byli mądrzy przed szkodą.

Być może jest to oklepany frazes, ale zawartego w nim przesłania nie należy lekceważyć. Zwłaszcza w sytuacji, gdy nie ustały przyczyny, dla których należy analizować nasze przeszłe niepowodzenia — przeciwnik bowiem broni nie złożył.

Szczególny nacisk — stwierdził W. Mokrzyszczak — trzeba teraz położyć na samodzielność w podejmowaniu tej walki i rozwiązywaniu problemów; skończył się czas bombardowania „góry" postulatami i żądaniami. Jeżeli nie nauczymy się polegać na własnych siłach, wyzyskiwać lokalnych możliwości, wyzwalać inicjatyw w podstawowych organizacjach partyjnych i najniższych instancjach, to długo poczekamy na sukces w tej walce. A idzie nie tylko o pokonanie przeciwnika politycznego, ale o przezwyciężenie kryzysu i narodowych kompleksów. To najtrudniejsze zobowiązanie w programie partii.

TOMASZ SAS

KTÓRĘDY DO PRZODU?

Na jaki socjalizm nas stać?

Pytanie sformułowane w tytule postawiła dwójka młodych dziennikarzy — Maja Zawadzka i Józef Węgrzyn — w programie telewizyjnym zaprezentowanym skąpej raczej widowni oglądającej we wtorkowe popołudnia drugi program. Sprawa zaś wydaje się na tyle ważna, że zasługuje na podjęcie i kontynuowanie zbiorowego myślenia na ten właśnie temat. Tym bardziej, że indagowani na tę okoliczność różnorodni rozmówcy — robotnicy, młodzi rolnicy, studenci, a i profesor specjalizujący się w tej problematyce w osobie niżej podpisanego — potwierdzili niepokój kryjący się w podtekście tytułowego pytania.

Bowiem praktyka ostatnich dziesięcioleci zdaje się świadczyć, że socjalizm na jaki stać Polaków, okazuje się dlań nie najbardziej satysfakcjonujący i wygodny. Nadto często nasycony konfliktami politycznymi i kryzysami gospodarczymi. Ze zbyt rażącym rozziewem między programowymi zapowiedziami a ich praktyczną realizacją.

Fakt, że nie zawsze tak było, że w zaraniu przeobrażeń ustrojowych w naszym kraju oraz industrializacji socjalistycznej saldo korzyści i niedogodności okazywało się absolutnie dodatnie dla olbrzymiej większości upośledzonej w uprzednim ustroju — aczkolwiek bezsporny, niezbyt przydaje się do rozgrzeszenia niedostatków współczesności. Głusi na tego typu argumenty okazują się szczególnie młodzi Rodacy, których doświadczenie życiowe związane jest nie z uprzednimi pozytywami socjalistycznych przeobrażeń, ale z powtarzalnymi okresami błędów i wypaczeń. I którzy tym dotkliwiej odczuwają niedogodności sytuacji kryzysowej, im skuteczniej wychowanie oficjalne i propaganda wpoiła im przekonanie, że w socjalizmie wszyscy i wkrótce będą mieć dostatek dóbr i sprawiedliwości społecznej.

Stąd żywotność pytania, czy skazani jesteśmy na kiepski socjalizm? I w podtekście, a niekiedy i wprost: czy nie lepiej by nam było pożyć jeszcze w kapitalizmie?

Nie wolno tych pytań młodych Polaków zbagatelizować i przemilczeć. Zbyć twierdzeniem, że zostały już rozstrzygnięte bezapelacyjnie przez historię, zaś wątpienie źle świadczy o postawie pytających. Każde pokolenie musi samo dochodzić do zasadności prawd oczywistych dla ich ojców, czego lapidarnym dowodem przysłowie, że niezależnie od tego jak duży jest twój tata — urosnąć musisz sam. Urosnąć także ideologicznie, w sensie opowiedzenia się za takim czy innym ustrojem i racjonalnego wytłumaczenia tego wyboru.

Otóż powiedzmy otwarcie, że byłoby lepiej tylko dla sporej części z nas, gdyby w Polsce był kapitalizm — ale wysoko rozwinięty, o tożsamym poziomie jak w USA, Japonii czy Francji. Byłoby zaś nieporównanie gorzej olbrzymiej większości, gdyby przyszło nam żyć nadal w kapitalizmie peryferyjnym, zależnym, wyzyskiwanym podwójnie, bo nie tylko przez rodzimy, ale i obcy kapitał. Napisałem „nadal", bowiem taki właśnie był charakter kapitalizmu polskiego do 1944 roku. I nic nie zapowiadało, by miała się dokonać jakościowa zmiana naszego miejsca w kapitalistycznym szeregu.

Potwierdzeniem raczej dostatecznie dosadnym fakt, iż Japonia była ostatnim z krajów, który wybił się skutecznie na partnerskie wobec innych potęg kapitalistycznych pozycje, pozwalające skutecznie bronić się przed eksploatacją z ich strony oraz efektywnie konkurować z innymi w podporządkowywaniu ekonomicznym słabszych nacji. Zdarzyło się to na przełomie XIX i XX wieku. Od tego czasu wiele innych państw podejmowało dramatyczne próby dorównania wysoko rozwiniętym w kapitalizmie, niekiedy nawet ze spektakularnymi początkowo skutkami „cudów gospodarczych" w Iranie, Brazylii, Meksyku, Nigerii. Dość szybko kończyło się to jednak krachem, kryzysem, zwiększeniem zadłużenia i zależności od mocniejszych w kapitałowej grze. Potwierdzało to po raz kolejny żelazną regułę, że kapitalistyczny sposób awansu cywilizacyjnego jest wprawdzie bardzo efektowny — ale dostępny nie dla wszystkich narodów. Bogactwo mniejszości krajów świata — zamieszkałych wedle najszczodrzejszych rachub przez mniej niż jedną ósmą ludzkości — okupione było, jest i być musi eksploatacją, a zatem i utrzymywaniem, w gorszej sytuacji olbrzymiej większości narodów słabiej i średnio rozwiniętych.

Obiektywna wymowa faktów świadczy, że nie kwalifikujemy się na potencjalnych kapitalistycznych rekinów czy szczupaków — przypadałby nam tak jak i uprzednio los płotek przegrywających na rzecz bardziej mocnych i sprawnych w międzynarodowej bezwzględnej grze o to, kto kogo zdominuje. Tyle argumenty. Do kogo nie przemawiają, bo wierzy, że mogłoby być inaczej, nie sposób przekonać, bowiem ta wiara jak każda inna nie liczy się z faktami.

O tym jednak, że wiara w możliwość kapitalistycznego cudu nad Wisłą nie jest dominującą, świadczy powszechność hasła sformułowanego przez strajkujących stoczniowców w sierpniu '80: „socjalizm tak — wypaczenia nie". Zawarta jest w nim istotna wiedza, że socjalizm może być lepszy — wolny od wypaczeń, i gorszy — z wypaczeniami. Zaś doświadczenie innych nacji pokrewnych nam ustrojowo dowodzi, że możliwy jest rozwój wolny od wypaczeń i kryzysów — czego przykładem z krajów o podobnych nam gabarytach choćby Bułgaria. Bądź możliwe jest przezwyciężenie wypaczeń w sposób uwalniający od powtórek dzięki stawce na ciągłe reformowanie systemu ekonomicznego i politycznego — jak np. na Węgrzech.

To więc, że socjalizm polski okazał się w ostatnich dziesięcioleciach kiepskawy, że kryzysy polubiły nas — acz bez wzajemności — nie jest czymś nieuniknionym, zdeterminowanym, inamanentnym dla tego ustroju. Mogło być i u nas inaczej. A jako, że nie da się powtórzyć czasów dokonanych, może być lepsza, wolna od kryzysów i konfliktów przyszłość polskiego socjalizmu.

Może, ale nie musi! Bowiem nie nastąpi to samoczynnie. Sądzę, że to właśnie winno być podstawową nauką z negatywnych doświadczeń przeszłości. Pozytywna przyszłość wymaga przezwyciężenia zakorzenionego szczególnie w polskim socjalizmie deterministycznego, mechanicystycznego traktowania tego ustroju jako doskonałości absolutnej — niczym królestwo niebieskie. Było to sprzeczne z elementarną wykładnią marksistowską, zakładającą, że każdy ustrój — a więc tak samo socjalizm, jak kapitalizm, feudalizm czy niewolnictwo — jest każdorazowo tylko i aż szansą lepszego niż uprzednio zorganizowania życia społecznego. Historia dostarcza aż nadto ewidentnych dowodów, że z szans postępu ustrojowego właściwych swoim czasom jedne społeczności potrafiły skorzystać znakomicie, inne umiarkowanie, a były i takie co w nieudolny sposób i z byle jakimi skutkami. I tak jak były świetne, średnie i kiepskie wydania niewolnictwa, feudalizmu i kapitalizmu, tak niczym nieoczekiwanym i sprzecznym z zapowiedziami marksizmu jest fakt różnorodności nie tylko form, ale i jakości socjalizmu w różnych krajach.

Ta różna jakość bywa uzależniona od wielu czynników. W znacznej mierze obiektywnych, w tym i zewnętrznych. W istotnym jednak stopniu od subiektywnych właściwości danej społeczności. Od świadomości, woli i konsekwencji w działaniu sił zainteresowanych w tworzeniu nowej formacji społeczeństwa. Ich gotowości i zdolności pełnego wykorzystania szans postępu, głównie przez zorganizowanie się i zyskiwanie przewagi nad siłami stagnacji i regresu. Powstanie i funkcjonowanie nowego ustroju było, jest i będzie każdorazowo uzależnione od dostatku świadomej i zorganizowanej aktywności ludzkiej.

Tym się właśnie różni historia ludzka od przyrodniczej. Ta ostatnia bowiem dzieje się niezależnie od świadomości i woli minerałów, roślin i zwierząt — jest absolutnie zdeterminowana. Ludzie natomiast odłączyli się od zwierząt przez to właśnie, że korygowali wpływ czynników obiektywnych przez świadome i zorganizowane działania. I o tyle dokonywał się postęp cywilizacyjny społeczeństw, o ile aktywizm sił postępowych przeważał nad determinizmem obiektywnych czynników i aktywizmem sił zainteresowanych w utrzymaniu status quo bądź przywracaniu stosunków właściwych dla przeszłości.

Polaków stać było na znakomity feudalizm — budzący podziw i zazdrość, a i postrach innych nacji w tamtych czasach. Nie potrafili natomiast nasi przodkowie wykorzystać w pełni szans postępu stwarzanych przez kapitalistyczny szczebel rozwoju. Zaczętego w sposób satysfakcjonujący proletariacką większość naszego narodu socjalizmu, nie potrafiliśmy kontynuować dostatecznie konsekwentnie, zgodnie z regułami tego ustroju, a zatem i zadowalająco. W niedostatkach aktywizmu — świadomości, woli, zorganizowania — sił prosocjalistycznych w naszym kraju należy upatrywać głównie przyczyn naszych powtarzalnych zaplątań kryzysowych. I w mobilizowaniu tegoż aktywizmu — skutecznych środków naprawy socjalistycznej Rzeczypospolitej. Od nas głównie zależy, czy nas będzie stać na doskonalszy niż dotychczas socjalizm. Nikt i nic za nas takiego postępu nie sprawi.

MARIUSZ GULCZYŃSKI ■

1.

W połowie roku 1981 podjęto próbę zmodernizowania systemu ekonomiczno-finansowego w PGR. Stosowany od wielu lat system nakazowo-rozdzielczy był już mało sprawny, sprzyjający angażowaniu nieproporcjonalnie wysokich nakładów w stosunku do osiąganych rezultatów produkcyjnych. W jego działaniu ujawniło się wiele negatywnych zjawisk, odbijających się niekorzystnie na wynikach i warunkach działalności PGR. A oto niektóre z nich:

— ogromny rozrost nakazowych form zarządzania, wyrażający się między innymi w narzucaniu struktury produkcji, stwarzaniu nacisku na przejmowanie ziemi itd., bez należytego uwzględniania możliwości produkcyjnych gospodarstw i opłacalności poszczególnych kierunków produkcji,

— stosowanie w szerokim zakresie dotacji, ulg, umorzeń itd., podważających zasadę samofinansowania przedsiębiorstw;

— nieprawidłowości w sferze inwestycyjnej (silna centralizacja decyzji, inwestycje pozaplanowe, umorzenia kredytów inwestycyjnych), prowadzące do oderwania procesów inwestycyjnych od możliwości finansowych przedsiębiorstw i skali ich bieżącej działalności gospodarczej.

Nic dziwnego zatem, że system ten stał się w ostatnich latach przedmiotem ostrej krytyki, tak ze strony specjalistów, jak i szerokiej opinii publicznej. Odpowiedzią na nią i wyrazem tendencji reformatorskich w sferze gospodarczej była właśnie podjęta 1 lipca 1981 roku próba oparcia funkcjonowania PGR na nowych zasadach. Generalnie biorąc założone wówczas zmiany można uznać za zgodne z liniami kierunkowymi rozwiązań przewidywanych następnie do rozszerzenia na inne działy gospodarki w ramach ogólnej reformy gospodarczej. Podstawę tego systemu, konkretyzowaną w rozwiązaniach szczegółowych, stanowić bowiem miały dziś powszechnie znane zasady: samodzielności, samorządności i samofinansowania przedsiębiorstw. Mówiło się nawet w swoim czasie, że PGR będą poligonem doświadczalnym, na którym sprawdzać się będzie praktyczna wartość tych zasad.

Mija obecnie niespełna półtora roku od momentu wejścia nowego systemu w życie. Jest to okres zbyt krótki, aby mógł on ujawnić w pełni swoje walory i słabości. Tym bardziej, że jego wdrażanie przypadło na czas destabilizacji gospodarczej i społeczno-politycznej, co nie mogło pozostać bez wpływu również na warunki funkcjonowania PGR. Mimo to, jest to okres, w którym nagromadziły się już pewne doświadczenia, wystarczający dla dokonania pewnych interesujących i istotnych obserwacji dotyczących zarówno działania samego systemu, jak i warunków, w jakich był on wprowadzany. Warunki te modyfikowały działanie poszczególnych kategorii i mechanizmów systemu i odcisnęły niewątpliwie swoje piętno na wynikach działalności PGR.

W publicystyce ostatnich miesięcy można było spotkać wycinkowe próby pokazania reformy w PGR w działaniu, zasygnalizowania pojawiających się tu problemów. Natomiast brak było dotąd kompleksowego ujęcia tego tematu — choćby na ograniczonym polu badawczym. Do wypełnienia tej luki zmierza właśnie niniejsza publikacja. Jej celem jest próba oceny skutków działania zreformowanego systemu ekonomiczno-finansowego PGR, a zwłaszcza uzyskania odpowiedzi na następujące pytania:

1. Jak zmieniła się sytuacja produkcyjno-finansowa przedsiębiorstw, jakie przekształcenia i tendencje ujawniły się w tej dziedzinie po roku działania nowego systemu.

2. Jak funkcjonują główne elementy nowego systemu, jak ocenia się ich działanie w przedsiębiorstwach i czy stymulują one podnoszenie racjonalności działania?

Przedstawione tu wnioski i obserwacje opieramy na wynikach kompleksowego badania tych zagadnień w trzech wielozakładowych przedsiębiorstwach, prowadzących wielokierunkową działalność gospodarczą (przy czym bazę porównawczą stanowiły wielkości roku gospodarczego 1978/79). Wnioski te — mimo stosunkowo niewielkiego pola badań — uznać można w dużym stopniu za reprezentatywne dla całej zbiorowości PGR.

2.

Badane przedsiębiorstwa bez obawy popełnienia poważniejszej nieścisłości zaliczyć możemy do przeciętnych PGR w Polsce. Gospodarstwa te pod względem obszaru posiadanych użytków rolnych, klasy gleb, technicznego uzbrojenia pracy, zatrudnienia na jednostkę powierzchni użytków rolnych, a także wielkości i struktury produkcji nie odbiegają od średniej krajowej.

W produkcji roślinnej przedsiębiorstw (poza produkcją szklarniową charakterystyczną dla jednego z nich) dominuje uprawa zbóż. Mimo spadku plonów, przedsiębiorstwa wyprodukowały w roku gospodarczym 1981/82 o 30 proc. zbóż więcej, niż w roku 1978/79. Jednak w ślad za wzrostem produkcji zbóż nie wzrosłą ich sprzedaż. Przeciwnie, nastąpił spadek towarowej produkcji zbożowej, tak ogółem — tu zmniejszenie sprzedaży wyniosło 21 proc., jak i w stosunku do globalnej ich produkcji. W roku gospodarczym 1978/79 na własne potrzeby przeznaczono 15 proc. wyprodukowanego zboża, a w roku 1981/82, aż 48 proc. globalnej produkcji zbożowej stanowiło spożycie wewnętrzne.

Zmniejszenie towarowej produkcji zbożowej spowodowane było koniecznością zastąpienia pasz dostarczanych z zewnątrz, paszami własnymi. Przykładowo w jednym z przedsiębiorstw aż szesnastokrotnie wzrosło zużycie zbóż na potrzeby własne, ale też dostawy pasz dla tego przedsiębiorstwa w roku gospodarczym 1981/82 wynosiły tylko 3 proc. dostaw z roku 1978/79. Tylko w jednym przypadku zanotowano 42-proc. spadek zużycia zbóż na własne potrzeby. Powstrzymywanie się od ich sprzedaży wynikało także z przewidywanej tendencji wzrostu cen, chęci nagromadzenia zapasów, ogólnej niepewności rynkowej panującej w roku gospodarczym 1981/82.

Wahania poziomu i struktury pozostałej produkcji roślinnej (zarówno globalnej, jak i towarowej) nie odbiegają od trendów długookresowych wynikających z zasad agrotechnicznych i zmian warunków klimatycznych.

Niekorzystnie zarysowały się natomiast tendencje w produkcji zwierzęcej. Jeszcze raz potwierdziła się znana opinia, iż produkcja zwierzęca w PGR opierała się w decydującym stopniu na dostawach pasz z zewnątrz. Trzody chlewnej produkowano w roku gospodarczym 1978/79 3,06 sztuki na 1 ha użytków rolnych, a w roku gospodarczym 1981/82 1,75 sztuki na ten sam hektar. W latach tych sprzedano na rzeź z jednego hektara użytków rolnych odpowiednio 101 kg i 41,5 kg żywca wieprzowego, co oznacza spadek o 60 proc. Mniejszy spadek zanotowano w produkcji żywca wołowego. W roku gospodarczym 1978/79 sprzedano 0,2 tony żywca wołowego z 1 ha użytków rolnych, a w roku gospodarczym 1981/82 0,14 tony — co oznacza zmniejszenie o 31 proc. Należy przy tym dodać, iż tendencja ta nie była wywołana jedynie ograniczeniami paszowymi, ale i sygnalizowaną przez dyrekcje przedsiębiorstw nieopłacalnością produkcji bukatów. W pierwszym analizowanym okresie produkcja mięsa wołowego była przedsiębiorstwom narzucona odgórnie, obecnie uzyskana przez nie samodzielność, konieczność szerszego stosowania rachunku ekonomicznego skłania dyrekcje do stopniowego wycofywania się z jego produkcji. Najbardziej stabilną spośród produkcji zwierzęcej okazała się produkcja mleka, ale i tu zanotowano czternastoprocentowy jej spadek.

Pochopnym byłby jednak wniosek, że w ślad za ograniczeniem rozmiarów produkcji sprzedanej w ujęciu rzeczowym postępują wskaźniki produkcyjne w ujęciu wartościowym (w zł). Wartość sprzedanej produkcji zbożowej wzrosła o 120 proc. (wzrost wartości całej sprzedanej produkcji roślinnej wyniósł 145 proc.). Dochód ze sprzedaży żywca wieprzowego zwiększył się o 32 proc. (przypomnijmy, że dokonało się to przy spadku rzeczowej sprzedaży o 60 proc.), że sprzedaży żywca wołowego wzrósł o 92 proc. (przy rzeczowym spadku o 31 proc.), wartość sprzedanej produkcji mleczarskiej wzrosła o 118 proc. (przy rzeczowym obniżeniu sprzedaży o 14 proc.). Porównanie powyższe nasuwa oczywisty wniosek, że przyczyną rozbieżności między wskaźnikami rzeczowymi i wartościowymi jest wzrost cen — czynnik niezależny od przedsiębiorstwa. Czyli zanotowanego w badanym okresie 144-proc. wzrostu produkcji końcowej netto (która w normalnych warunkach najpełniej informuje o wkładzie danego przedsiębiorstwa do ogólnonarodowego koszyka dóbr żywnościowych) nie możemy uznać za sukces badanych przedsiębiorstw.

3.

Analiza kształtowania się wielkości decydujących o wyniku finansowym przedsiębiorstw pozwala stwierdzić, że:

— we wszystkich gospodarstwach nastąpił w ostatnim roku (w stosunku do 1978/79) wyraźny wzrost dochodów ze sprzedaży, wahający się od 127 proc. do 214 proc. W zestawieniu ze zdecydowanie słabszą dynamiką produkcji w ujęciu rzeczowym i pogarszaniem się wielu wskaźników produkcyjności gospodarstw, wskazuje to na podwyżkę cen produktów rolnych jako główne źródło wzrostu tej wielkości;

— koszty produkcji wykazują zbliżoną dynamikę w stosunku do przychodów ze sprzedaży, chociaż jest ona zróżnicowana w poszczególnych przedsiębiorstwach;

PGR —

— po uwzględnieniu czynników korygujących (zyski i straty nadzwyczajne oraz różnica wartości zapasów na początek i koniec roku) akumulacja finansowa przedsiębiorstw wykazała bardzo silną dynamikę dodatnią; w jednym z nich wzrosła (w porównaniu z rokiem 1978/79) o 57 proc., w drugim o blisko 316 proc., a w trzecim nastąpiło przejście od akumulacji ujemnej w wysokości ponad 16 mln zł do dodatniej, wynoszącej ponad 25 mln zł;

— czynnikiem wpływającym w istotny sposób na ostateczny wynik finansowy były zwiększenia akumulacji finansowej (przede wszystkim dotacje), chociaż przyznać trzeba, że na tym odcinku dokonały się w ostatnim roku poważne zmiany. Zmniejszona została wyraźnie wielkość dotacji (wahały się one od 43 proc. do 15 proc., ich poziomu z roku 1978/79). Ograniczony został ich zakres rzeczowy i nastąpiło zdecydowane przesunięcie na korzyść dotowania działalności pozaprodukcyjnej;

— w rezultacie wszystkich tych zmian ostateczny wynik finansowy — patrząc formalnie — był we wszystkich gospodarstwach zdecydowanie dodatni, chociaż jego dynamika była zróżnicowana, wahając się od zera (brak wzrostu) do 340 proc. Zauważyć jednak należy, że te korzystne wyniki finansowe nie znajdują potwierdzenia w podobnej dynamice ilościowych wskaźników produkcji, bądź radykalnej obniżce kosztów wytwarzania. Głównym ich źródłem były: wzrost cen skupu produktów rolnych, niedokonanie w roku 1981/82 przeszacowania wartości środków trwałych po przeprowadzonej z początkiem bieżącego roku podwyżce cen zaopatrzeniowych oraz dotacje. Czynnikiem zniekształcającym w pewnym stopniu te wyniki było przeszacowanie w trakcie roku gospodarczego 1981/82 wartości środków obrotowych, głównie inwentarza żywego. Biorąc to wszystko pod uwagę, trudno uznać osiągnięte wyniki finansowe jako adekwatną miarę rzeczywistego wkładu pracy przedsiębiorstw i poprawy efektywności ich gospodarowania. Wyniki te — nie pomniejszając w niczym wysiłków załóg — są bowiem w przeważającej mierze od przedsiębiorstw niezależne lub też są rezultatem odpowiednich manipulacji o charakterze buchalteryjnym;

— niepokoi ponadto zwiększenie się w całości wynagrodzeń udziału elementów niezależnych od pracy (świadczy to o wadliwości rozwiązań motywacyjnych) oraz wzrost stopnia zadłużenia przedsiębiorstw.

4.

Należy podkreślić, że nowe rozwiązania ekonomiczne wpłynęły aktywizująco na działalność gospodarczą w przedsiębiorstwach, a przede wszystkim w zakładach. Otrzymały one większą samodzielność w zakresie planowania, jak również doboru środków i metod, przy pomocy których pragną realizować swoje zadania. W przeszłości, gdy wszystkie istotne decyzje zapadały poza zakładami, nie były one zainteresowane wypracowaniem tych efektów. W ocenie kierownictwa poszczególnych jednostek obserwuje się wprawdzie powolny, lecz stały wzrost zainteresowania ludzi tymi zagadnieniami. Coraz wyraźniej na szczeblu zakładu widać, że od osiągniętych wyników załogi zależał będzie jej fundusz premiowy (dawniej takiej zależności nie było). Wszystko to napawa ostrożnym optymizmem. Ostrożnym, ponieważ muszą zajść jeszcze duże przewartościowania w mentalności i w sposobie myślenia ludzi pracujących na różnych stanowiskach w rolnictwie.

Państwowe gospodarstwa rolne odczuwają permanentny brak rąk do pracy. W związku z tym takie kryteria, jak staż pracy, wykształcenie, opinia z poprzedniego miejsca nie-

rok po reformie

wiele się liczą przy przyjęciach. Nie ma więc obiektywnych podstaw do prowadzenia jakiejś określonej polityki kadrowej. Uważa się, że dopóki kadra kierownicza nie uzyska pewnych preferencji w sensie finansowym, dopóty trudno będzie mówić o możliwościach kreowania racjonalnej polityki kadrowej w gospodarstwach rolnych.

Inne zagadnienie, to problem zaopatrzenia i zbytu w przedsiębiorstwach rolnych. Wprawdzie rozdzielnictwo środków leży częściowo w gestii Urzędu Wojewódzkiego, a częściowo zrzeszenia, są to jednak ilości niewystarczające dla prowadzenia normalnej działalności gospodarczej. W związku z tym poszczególne gospodarstwa rolne szukają własnych możliwości i źródeł zaopatrzenia. Jednocześnie wiele przedsiębiorstw wycofuje się ostatnio z zaopatrzenia rolnictwa. Z powodu braku masy towarowej w hurtowniach zamówienia są obcinane w 80 proc., dokonuje się ich świadomie na wyrost wiedząc, że i tak centrale obetną te wielkości. Wprowadza to niesamowity bałagan. Przykładowo paliwa w całości pochodzą z rozdzielnika, środki chemiczne w 70 proc., a materiały budowlane zaledwie w 10 proc. są rozdzielane. Pozostałe środki produkcji za pośrednictwem central obrotu towarowego i w niewielkim zakresie bezpośrednio z jednostek handlu. Jeżeli chodzi o zbyt produkowanej w PGR masy towarowej to reforma nie wprowadziła tu specjalnych zmian. Przedsiębiorstwa korzystają w zbycie z pośrednictwa central obrotu towarowego, a także innych jednostek państwowych i spółdzielczych. W ich ocenie jest to współpraca na warunkach „wymuszonych", bardzo korzystnych dla tych ostatnich. Dlatego też przedsiębiorstwa rolne widziałyby możliwości zbytu przynajmniej części produkcji na wolnym rynku, a także poszukiwania innych form, które pomijałyby pośredników.

W przedsiębiorstwach rolnych dominuje pogląd, że dotacje do działalności produkcyjnej powinny być w ogóle zniesione. Dotacje tworzą błędne koło. Relacje pomiędzy kosztami a cenami powinny być ustalone tak, aby zapewniały opłacalność. Tylko wówczas uruchomiony zostaje konsekwentny mechanizm stymulujący poprawę gospodarności, a tak dotacje zawsze prowadzą do podważania zasady samofinansowania, rozrachunku gospodarczego i rachunku ekonomicznego. Jeżeli chodzi o dotowanie działalności pozaprodukcyjnej to w tej kwestii nie ma zastrzeżeń. Obowiązujące obecnie zasady kredytowania wiążą się ściśle z polityką inwestycyjną prowadzoną w przedsiębiorstwach rolnych. Przyjmują one warunki narzucone przez bank, w umowie zawarte są obowiązki, a nie uprawnienia tych pierwszych. W związku z powyższym nie może być tu mowy o stosunkach partnerskich. Odejście od obligatoryjnego kredytowania inwestycji w ocenie badanych jednostek rodzi określone trudności w ich podejmowaniu. Przedsiębiorstwa z reguły nie posiadają własnych środków, co prowadzi do ograniczeń inwestycyjnych. Brak środków wynika głównie z tego, że poszczególne jednostki spłacają kredyty i ich oprocentowanie zaciągnięte na inwestycje w okresie poprzednim (na dodatek inwestycje, które bardzo często były i są nie chcianym dzieckiem). W dodatku przy inwestycjach kontynuowanych podniesiono oprocentowanie z 3 do 6 proc., bez możliwości umorzenia.

Uważa się jednak, że są to trudności przejściowe. W ocenie badanych przedsiębiorstw należy dążyć do takiego ukształtowania systemu inwestycyjnego, aby generalny wykonawca zajmował się całością spraw związanych z jej przygotowaniem i realizacją. Inwestor w tej sytuacji zapewniałby jedynie pokrycie finansowe i ogólny nadzór nad całością. Za pozytywny element systemu należy uznać to, że w zakresie inwestycji rozwojowych wnioski idą ze strony przedsiębiorstw. Mają one swobodę oceny czy są one ekonomicznie uzasadnione. Dlatego też trudniej niż poprzednio jest narzucić przedsiębiorstwom inwestycje nie chciane.

Z poruszonym wyżej zagadnieniem wiąże się ściśle inny problem. W okresie powstawania struktury państwowych gospodarstw rolnych przy każdym zespole PGR istniał silny warsztat mechaniczny i zakład remontowo-budowlany. Później te jednostki uległy likwidacji, a na ich miejsce powołano do życia Państwowe Ośrodki Maszynowe i Przedsiębiorstwa Budownictwa Rolnego. Pomimo formalnego oddzielenia, były one w dalszym ciągu silnie związane poprzez swoje funkcje usługowe z rolnictwem. Obecnie jednostki te uzyskując w ramach reformy pełną samodzielność wybierają sobie partnerów. Ich niechęć do świadczenia usług dla rolnictwa PGR odczuwają i będą jeszcze silniej odczuwały, jeżeli nic w tej materii się nie zmieni. Przy takiej postawie przedsiębiorstw, które w swoim założeniu miały świadczyć usługi dla rolnictwa, podjęcie jakichkolwiek prac remontowych, modernizacyjnych czy budowlanych musi napotykać na określone trudności. Przedsiębiorstwa rolne widzą możliwość rozwiązania tego zagadnienia poprzez włączenie jednostek usługowych do Zrzeszenia PPGR. Jest to propozycja na pewno dyskusyjna, niemniej warta przemyślenia.

5.

Najsłabszym ogniwem nowego systemu ekonomiczno-finansowego działającego od ponad roku w PGR jest problematyka motywacyjna. W ostatnim roku gospodarczym przedsiębiorstwa działały w sprawach wynagradzania w oparciu o zbiorowy układ pracy, który pozostawiał im niewielkie pole manewru na dokonywanie jakichkolwiek zmian. Wzrost płac, jak na razie, nie jest faktycznie powiązany z osiągniętymi wynikami finansowymi. Formalnie jest on związany tylko poprzez fundusz nagród (od zysku), ale ponieważ wyniki w ostatnim roku gospodarczym nie są obiektywnym wskaźnikiem oceny, trudno więc mówić i tu o istnieniu powiązania. Proponowane zmiany w systemie motywacyjnym sprowadzają się do zwiększenia udziału części ruchomej w płacach (nawet do 40 proc. funduszu wynagrodzenia), wypłacanej na bieżąco w trakcie roku na podstawie dyspozycji kierownictwa, za wykonanie konkretnych zadań. Uważa się powszechnie, że należy radykalnie zwiększyć udział w całkowitym wynagrodzeniu części zależnej od pracy. Dotychczas jest on zbyt niski i waha się w przedziale od 30 do 45 proc. Uważa się powszechnie, że dopiero wchodząca w życie uchwała dotycząca kwestii motywacyjnych otworzy przed gospodarstwami rolnymi nowe możliwości.

ANDRZEJ BIEŃKOWSKI
WIESŁAW ŁYCZEK
WŁODZIMIERZ PULIŃSKI

Foto: M. Zajdler

PGR na luzie

RYSZARD BINKOWSKI

Gdy wybuchła nowa bomba w pegeerach, na których teraz wszyscy się znają, posypały się głosy niewiary i zwątpienia, przestrogi i pouczenia. A to, że nie może być cudów w państwie, gdzie siłą przewodnią nie jest bynajmniej partia ministrantów, a to, że nowe pegeerowskie zrzeszenia to prywatna inicjatywa, która wspiera tylko bogatych, a jednocześnie chce się przekształcić w dawne zjednoczenia.

Inni twierdzą, że nic z tego, bo teraz pegeerami władają niepodzielnie wojewodowie, rządzą, narzucają produkcję, czyli nic się nie zmienia. A poza tym cudów nie ma, gdyż w reformie PGR sprzedawały drożej swoją produkcję wytworzoną przy pomocy tanich środków produkcji, zawyżając przy okazji ceny inwentarza żywego, tzn. stosując jedynie księgowy wzrost jego wartości.

Sceptycy uważają, że nadmierne i wprost zaskakujące zyski w PGR nie stanowią motywacji do pracy, lecz dają załogom jedynie prawo domagania się funduszu premiowego, którego zasadniczość jest co najmniej wątpliwa. No i jak te zyski osiągnięto, skoro nie było zaangażowania pracowników w poprawę wyników ekonomicznych? W pierwszym roku reformy nie pracowała nawet połowa samorządów.

A jednak mamy ten cud nad Wisłą. Nasze pegeery, które pod presją nakazów w roku gospodarczym 80/81 zrobiły 22 mld strat, skoczyły do przodu o 50 mld, ponieważ po wprowadzeniu reformy w roku gospodarczym 81/82 osiągnęły 28 mld zysku.

Idąc tym tropem trzej łódzcy naukowcy, panowie A. Bieńkowski, W. Łyczek i Wł. Puliński wzięli pod lupę trzy nieźle prosperujące przedsiębiorstwa rolne, należące do Zrzeszenia Państwowych Przedsiębiorstw Gospodarki Rolnej w Łodzi, które obejmuje swym zasięgiem pięć województw: łódzkie, piotrkowskie, sieradzkie, skierniewickie i płockie. Panowie zbadali skutki reformy w tych pegeerach, wyszły im same zyski i opisali to w „Odgłosach", zaznaczając, iż wyniki *„uznać można w dużym stopniu za reprezentatywne dla całej zbiorowości PGR"*. Publikacja ma tytuł: „PGR — rok po reformie".

Otóż nie, proszę panów! Choćby z tej przyczyny, że w pierwszym roku reformy w Polsce ponad 25 proc. państwowych gospodarstw przyniosło deficyt w wysokości 7 mld zł, szczególnie na północnym wschodzie kraju i w rejonach podgórskich.

Z publikacji dowiadujemy się, że *„mimo spadku plonów przedsiębiorstwa wyprodukowały w roku gospodarczym 81/82 o 30 proc. zbóż więcej niż w roku 78/79"*. Coś tu nie gra. Miniony rok był wyjątkowo urodzajny, głównie dzięki Panu Bogu, czyli wspaniałej pogodzie. Mimo to zadałem sobie morderczy trud, posprawdzałem i wyszło, że na terenie pięciu województw tylko w Babsku plony były bardzo niskie, a w Korytach spadły. Poza tym jedno gospodarstwo w Ziembakowie (woj. płockie) jest nierentowne, może za trzy lata wyciągnie się z deficytu. Ale, jak powiada wicedyrektor Zrzeszenia, Jan Filas, są gospodarstwa tak zaniedbane, z taką lichą ziemią, że żadne motywacje i reformy nie pomogą, można się zatyrać, a lepszych efektów się nie osiągnie.

Autorzy twierdzą, że mimo wzrostu produkcji zbóż, trzy badane PGR sprzedały państwu znacznie mniej zboża, niż w latach minionych, przy czym wstrzymywały się od sprzedaży czekając m.in. na podwyżkę cen skupu. W jednym z przedsiębiorstw aż szesnastokrotnie wzrosło zużycie zboża na potrzeby własne, czyli na pasze. To by oznaczało, iż dotąd pegeery korzystały wyłącznie z pasz państwowych.

Niestety, takie dane i stwierdzenia nie mogą być reprezentatywne dla całej zbiorowości PGR. Dlatego, że w kraju w roku gospodarczym 81/82 pegeery zwróciły chłopom 90 tys. ha gruntów, a jednocześnie zwiększyły areał zasiewów, głównie zbóż i roślin strączkowych na ziarno. I z 18,4 proc. powierzchni gruntów w skali kraju sprzedały 34 proc. zboża, a więc kilkakrotnie więcej niż gospodarka chłopska. Natomiast roślin oleistych sprzedały aż 72 proc.!

Dyrektor Filas:

— *Nikt nie czekał na podwyżkę cen skupu. PGR nie łudziły się co do cen swoich produktów. Gdy były przydziały paszy, zboże spod kombajnów szło prosto do magazynów państwowych, i był spokój. A teraz, bez przydziałów, nikt nie był pewny, czy coś dostanie. Jak by sprzedał zboże, musiałby wyrżnąć inwentarz.*

— Gospodarstwo może odmówić sprzedaży zboża?

— *Jeśli udowodni, że potrzebuje je na utrzymanie inwentarza.*

— A jak wojewoda zarządzi, że trzeba odstawić 40 proc. zboża?

— *Proszę pana! Każdy sprzedaje, ile może. Ostatecznie jest samorządność.*

— To najlepiej siać samo zboże. Zimą można spokojnie spać.

— *Fakt, to najbardziej opłacalna produkcja* — włącza się dyrektor naczelny Zrzeszenia, Edmund Niewiara. — *Hodowla zwierząt to istna męczarnia. Ale mięso i mleko też są potrzebne. Tylko niech pan nie wierzy w te badania na małym poletku doświadczalnym. Przed reformą gospodarstwa miały zawsze 70 proc. zboża na własne potrzeby. Kupowały pasze, bo prowadziły produkcję nasienną, za którą dawniej nie dostawało się paszy. Myśmy nie zabierali chłopom ziemi, ale obiecywano nam, że będzie jej coraz więcej, i stawiano wielkie obory. Teraz ta ziemia nie wyżywi licznego stada zwierząt.*

— Więc jak sobie radzicie?

— *Różnie. W Ligocie, na przykład, są wolne stanowiska w oborze. Gdzie indziej do cielętnika wprowadza się kury. Ludzie jeżdżą jak opętani po wysłodki lub wywar gorzelniany. Budynki inwentarskie nie mogą stać puste. Dlatego sieje się więcej zbóż, często kosztem roślin pastewnych, a jednocześnie mniej zbóż sprzedaje się państwu. Ale tego nie można generalizować, bo są gospodarstwa, które odstawiają więcej zboża.*

W publikacji „PGR — rok po reformie" znajdujemy takie zdanie: *„W czarnych barwach zarysowały się natomiast tendencje w produkcji zwierzęcej"*. A przecież w skali kraju PGR z 18,4 proc. zajmowanych gruntów sprzedaży 22 proc. żywca. To dużo, chociaż stan pogłowia trzeba było dostosować do możliwości paszowych. Owszem, nastąpił spadek, ale nie niższy niż w całym rolnictwie polskim. Faktem jest natomiast, że nieopłacalna stała się hodowla bukatów. Byk I klasy musi ważyć 400 kg, wtedy idzie po 116 zł za kilo. Gdy waży mniej, płaci się 80 zł. Ile trzeba paszy, żeby wykarmić potwora, co waży ponad cztery kwintale? Bukaciarnie zamienia się więc na chlewnie lub tuczarnie. Hodowla świń, a także innych zwierząt, opłaca się w cyklu zamkniętym. Dlatego PGR nie kupują już do chowu jagniąt, prosiąt i cieląt.

Czy prawdą jest, że czynnikiem wpływającym w istotny sposób na ostateczny wynik finansowy były zwiększenia akumulacji finansowej, przede wszystkim dotacje?

Dyrektor Jan Filas:

— *Dotacje w zasadzie nie istnieją. Mamy pewne dopłaty do mieszanek paszowych i przetwórstwa spożywczego, tak jak inni w kraju, np. Bacutil. Jak w całym rolnictwie stosuje się dotacje, np. do nawozów, ale tego się nie odczuwa, tyle że ceny są niższe niż koszty produkcji, tę samą cenę płaci chłop i pegeery. Dobry, bogaty PGR poradzi sobie z inwestycjami, w większości jednak konta są puste. Dlatego pegeerom przydałyby się dotacje do budownictwa mieszkaniowego.*

Panowie autorzy stwierdzają: *„Czynnikiem zniekształcającym w pewnym stopniu te wyniki* (finansowe — przyp. RB) *było przeszacowanie w trakcie roku gospodarczego 1981/82 wartości środków obrotowych, głównie inwentarza żywego"*.

Czy tak było istotnie? I czy PGR mogły zarobić, produkując tanio i sprzedając drożej? Dopłata do cen skupu obowiązywała od 1 listopada 1981 r. (jak w całym rolnictwie) i wyprzedziła podwyżkę cen zaopatrzeniowych, która nastąpiła w lutym 1982 r. Ale przez pół roku PGR płaciły więcej za węgiel i energię niż pozostałe sektory rolnictwa. Ponadto ceny paliw wzrosły już w listopadzie 81, a ceny skupu dopiero w lutym 1982 r.

Dyrektor Jan Filas:

— *Istniała konieczność urealnienia zapasów do poziomu kosztów produkcji. Pasze wzrosły o 80 proc., opłaty weterynaryjne o 90 proc., a my w dodatku musimy utrzymywać własną służbę zootechniczną i agrotechniczną. Wzrosły płace, energia skoczyła o 80 proc., paliwa o 131 proc., uprawy agrotechniczne o 28,5 proc. Ceny skupu nie mogły tego zrekompensować. Na lewo nic nie kupimy, ale i nic nie sprzedamy. Środki produkcji kupujemy z ograniczonej puli, po różnych wysokich cenach jakie ustala sobie producent. Nasze produkty możemy sprzedać po jednej cenie, państwowej.*

Tak więc PGR-y nie pohandlują sobie na wolnym rynku. Litr spirytusu ma kosztować w sklepie prawie trzy tysiące złotych, a PGR dostaje zań niecałe dwieście złotych. Może nie najlepszy przykład, wiadomo — monopol, ale wystarczy porównać cenę jabłek w sklepie i tę, jaką oferuje się PGR. A w minionym roku na dodatek Centrala Ogrodnicza nie chciała kupować jabłek od pegeerów.

Dyrektor Edmund Niewiara:

— *Cielęta, prosięta, jagnięta zjadały droższą paszę, obsługiwali je ludzie pobierający wyższe pensje, itp. Musiał nastąpić wzrost wartości zwierząt w odchowie, bo wzrosły koszty produkcji. Gdyby tego nie uwzględniono, nastąpiłoby pogorszenie wyników finansowych, straty, a stąd niezadowolenie załóg i ujemny wpływ na system motywacyjny.*

Nie da się ukryć, że poprawa wyników nastąpiła dzięki zabiegom buchalteryjnym. Ale to wcale nie znaczy, że PGR-y nie dokładały wysiłków, żeby osiągnąć lepsze efekty. Nie można się też zgodzić ze stwierdzeniem autorów „PGR — rok po reformie", że w przeszłości pegeery nie były zainteresowane wypracowaniem efektów produkcyjnych. Fundusz premiowy zawsze był uzależniony od wyników. A jak jest dzisiaj?

Dyrektor Edmund Niewiara:

— *Im wyższy zysk, tym wyższa premia. Ale taka pogoń za zyskiem to pójście na łatwiznę, na najbardziej opłacalną produkcję. Jedni twierdzą, że można produkować wszystko, ale w małym gospodarstwie, gdzie dyrektor wszystko dojrzy, wtedy są efekty.*

— Ale w dużym gospodarstwie dyrektor ma zastępców, kierowników, brygadzistów. Oni winni pilnować roboty.

— *Zależy, co z tego mają. Płace i premie powinny być zróżnicowane. Jak brygadzista wie, że za dobre wyniki otrzyma sowitą zapłatę, to przypilnuje, pogoni do roboty. A myśmy zlikwidowali kominy płacowe. W PGR trudno o motywację, to nie fabryka, gdzie efekty pracy można dokładnie wymierzyć. Często w ciągu dnia ludzi przerzuca się do pięciu różnych prac. Często zacznie lać, albo wyłączą prąd i robota leży, nie ma motywacji do głębszego zaangażowania.*

6

Polemiki • Opinie • Poglądy

Na nowym osiedlu

W dalekich przedmieściach Łodzi powstała w ostatnich latach zupełnie nowa urbanistyka, architektura zabudowy takich osiedli jak: Retkinia, Radogoszcz, Widzew-Wschód, a ostatnio znajdujące się jeszcze w budowie osiedle — Chojny-Zatorze. Budowę tego nowoczesnego osiedla zaplanowano na lata 1980—87. Ogółem ma być wybudowanych 250 bl. mieszkalnych dla około 33 tys. mieszkańców.

Pierwszy blok mieszkalny został wybudowany i oddany do użytku w czerwcu 1980 roku przy ul. Społecznej nr 3. Od tego czasu oddano w użytkowanie mieszkańców 85 bl. mieszkalnych, co stanowi 1/3 zaplanowanych i oddanych w chwili obecnej bloków. Zamieszkuje je około 12 tys. mieszkańców, którzy są mocno zaniepokojeni brakiem postępu w jednoczesnym budowaniu tzw. obiektów towarzyszących. Dwa sklepy, z czego jeden spożywczy i drugi warzywno-owocowy — niewiele w porównaniu do zamieszkałych ludzi. Wprawdzie istnieją jeszcze trzy sklepy usytuowane w starym budownictwie, ale to i tak nie rozwiązuje żadnego problemu w skali zaopatrzenia.

A chyba najbardziej odczuwalny jest brak żłobków, przedszkoli i szkół, obiektów kulturalnych, których nawet nie zaplanowano na osiedlu. Na cele przedszkoli zostały adaptowane dwa pomieszczenia parterowe w kondygnacji bloków mieszkalnych, co stanowi zaledwie kropię w morzu istniejących potrzeb mieszkańców. Natomiast żłobka nie udało się wygospodarować w ogóle. Istniejące dwie stare szkoły nr 107 i 110, które jeszcze nie tak dawno zabiegały o uczniów z pobliskich wsi jak Starowa Góra — obecnie pękają w szwach. Przewidziana modernizacja szkoły nr 110, nie doszła do skutku, a nowej na razie jeszcze nie wybudowano. Plany są i owszem, ale budowy nie widać. A nowa szkoła potrzebna jest już dziś, od zaraz. Zakupu art. spożywczych i przemysłowych od biedy dokonać można w mieście. Ale kto zajmie się małymi dziećmi. Nie sposób ich przecież dowodzić do miasta.

Są to problemy istotne, ważkie, nurtujące mieszkańców, spędzające sen z powiek, niejednej rodziny, zamieszkałej we wszystkich nowych osiedlach i myślę, że nie tylko w Łodzi. Dlaczego obiekty towarzyszące nie są równomiernie budowane z obiektami mieszkalnymi? Zasadnicze pytanie.

W szkole przystosowanej na przyjęcie 400 uczniów, obecnie uczy się ich aż 850, a przybywa ich jeszcze coraz to więcej i więcej z każdym tygodniem, z każdym miesiącem i rokiem w miarę oddawania do użytku nowych bloków mieszkalnych. W szkole nr 110 i 107 nauka odbywa się na dwie zmiany, a jednak w dalszym ciągu poszczególne klasy są przeładowane. Np. w szkole nr 110 istnieją ogółem 34 oddziały, w tym: osiem kl. I, siedem kl. II, sześć kl. III, i tyle samo kl. czwartych. Dalsze nauczanie w szkole nr 107, położonej w przeciwnym końcu danego osiedla.

Zachodzi zasadnicze pytanie: jak w takich warunkach można sprostać nałożonym zadaniom solidnej edukacji, wychowania młodzieży? Trafić indywidualnie do każdego ucznia w myśl nowego programu nauczania? Kadra pedagogiczna dwoi się i troi, aby w miarę swych możliwości oraz istniejących warunków, utrzymać należyty poziom edukacyjno-wychowawczy młodzieży.

— Z kadrą nauczycielską nie mamy żadnego kłopotu — mówi dyr. Stanek — natomiast gorzej jest z samym nauczaniem, wypełnianiem należytą treścią i formą samego programu nauczania w obecnych warunkach lokalowych. Karta nauczyciela rozwiązała wiele istotnych i nabrzmiałych problemów, takich, jak nauczanie w godzinach nadliczbowych, zapłata według osobistego zaszeregowania i inne sprawy, dotyczące samych nauczycieli.

Sądzę, że problem ten był i będzie istniał, narastał z każdym dniem dokąd będziemy go ukrywać i chować „głowę w piasek" jak struś. Odczuwają to nasze dzieci w szczególności i my sami, ich rodzice, nie mniej przeżywamy.

Ciężko się robi człowiekowi na duszy i sercu, patrząc codziennie, analizując tę, przecież nie normalną sytuację w naszym szkolnictwie. Istnieje ona nie tylko w mieście, ale i na wsi. Swego czasu wybudowanych zostało tysiące szkół w ramach obchodów „Tysiąclecia Państwa Polskiego". Szkoły te obecnie straszą pustkami. Są częściowo zdewastowane, zaniedbane i zapomniane. A być może znów za lat kilkanaście będziemy narzekać jaka to mamy młodzież. Ano cóż, będziemy ją taką mieli, jaką sobie sami wychowamy, w tych jakże ciężkich i trudnych warunkach powszechnego kryzysu. To wprost przerażająca perspektywa dalszej edukacji, wychowania naszej młodzieży pod koniec XX wieku, ery sputników i komputerów.

WŁADYSŁAW BISZEWSKI
(Łódź)

Trudne sprawy Służby Zdrowia

Nawiązując do artykułu redaktora Edwarda Bryla pt.: „Podzwonne tragedii słubickiej" (Odgłosy nr 3 z dn. 15.01.83 r.) komunikujemy uprzejmie, że cały ten tragiczny splot wypadków przepaja nas bólem.

Pisząc do Redakcji mamy mieszane uczucia, czy sprawa ta powinna być dyskutowana na łamach prasy. Niezależnie od motywacji opublikowanego artykułu Ochrona Zdrowia jest coraz częściej przysłowiowym „chłopcem do bicia". Ochrona Zdrowia w ostatnich latach przeżywała także kryzys organizacyjny i swoje wzloty i upadki, a tylko jej najwyższa odpowiedzialność rzuca ją w splot nieszczęśliwych wypadków. Niezależnie od treści zawartej w artykule i niewłaściwej wypowiedzi Dyr. ZOZ sądzimy, że na tragedię niewątpliwy wpływ miał bałagan panujący w tamtejszej Ochronie Zdrowia.

To, że kontrole nie znajdowały niczego, znaczy, że nie były prowadzone lub były prowadzone niechlujnie. Tam gdzie się pracuje zdarzają się zawsze niedopatrzenia, a tam gdzie się nie pracuje nigdy. Trzeba stwierdzić, że wynajdywanie drobnych pomyłek ostrzega i zapobiega dużym.

Nie sądzimy, że aparat Zespołu Opieki Zdrowotnej kontrolował działalność inspektorów, a inspektorzy poszczególnych jednostek. Przecież apteczki powinni kontrolować pracownicy apteki jak i ordynator lub osoba, która upoważnił.

Być może, że winę ponosi pośrednio jeszcze znacznie więcej osób, które starają się tylko obciążyć za tragedię osoby pierwszego styku. Dyskutując w Oddziale o przyczynach i podzwonnym tej tragedii sądzimy, że w codziennej pracy medycznej niezbędna jest drobiazgowość i właściwa dokumentacja. Nasuwa się również stwierdzenie, że zarządzają czasem Ochrona Zdrowia ludzie przypadkowi, których jedynym atutem są tzw. „plecy" lub aktualna koniunktura.

Pisząc te swoje krytyczne uwagi i przesyłając je do Tygodnika mamy nadzieję, że nigdy już nie dojdzie do takiej tragedii.

Łączę wyrazy szacunku i poważania.

Lek. RAFAŁ MINICH
Ordynator Oddziału
Chorób Wewnętrznych
w Głownie
z asystentami Oddziału
Głowno, 13.01.1983 r.

Kontakt z rakarzem

„Dziennik Łódzki" donosi o perypetiach hodowców zwierząt futerkowych. „Nie przewiduje się dużych zmian w liczbie hodowców, choć w ich szeregach zajdą pewne zmiany". W związku z tym Barbara Loba oświadcza bez zastanowienia, że nadal będzie prowadzić hodowlę lisów. „Wprawdzie p. Loba pozytywnie ocenia swoje kontakty z rakarzem (którym jest kobieta — Genowefa Golec z Bądkowa), ale fakt, że cena padliny jest droga".

Przychodzi baba do rakarza, a rakarz też baba. I po takim pozytywnym stosunku padlina drożeje, w związku z czym maleje stado hodowców zarodowych. Ale oni się nie dają! Stanisław Doliński np. tanim kosztem przerabia klatki i upiększa futro u nutrii, a ich mięsem karmi hodowane niejako ubocznie tchórzofretki. „A przecież bywało, że niegdyś przeznaczał je na wyrób cieszących się dużym zbytem smacznych kiełbasek".

Kiełbasa z karmionej nutrią tchórzofretki to jest to! Na szczęście w naszym okręgu powstają pierwsze hodowle jenotów. Zapowiada się wielkie ostrzenie zębów, gdyż nutriarzy jest więcej, a podstawowe stado przekroczyło 500 matek. Gazeta stwierdza, że „większa jasność w tej sprawie spodziewana jest w lutym, po światowych aukcjach skór".

Daj nam, Boże, trochę słońca na wiosnę.

(rb)

75 lat temu powstało Towarzystwo „Uczelnia"

Znana łódzka szkoła średnia, I LO im. M. Kopernika przygotowuje się do uczczenia 75 rocznicy powstania Towarzystwa „Uczelnia". Absolwenci i uczniowie tej zasłużonej szkoły mają szczególne powody, aby godnie uczcić tę rocznicę. Działalność „Uczelni" bowiem wiąże się ściśle z dziejami męskiego Gimnazjum Polskiego, którego kontynuację stanowi dzisiejsze I LO.

Gimnazjum to powstało w 1906 roku. Fakt ten pozostawał w ścisłym związku z walką o szkołę polską w okresie rewolucji 1905 roku, kiedy to młodzież szkolna solidaryzując się z walczącym proletariatem, przystąpiła do strajku i bojkotu carskich gimnazjów.

Na terenie Łodzi wytrwałością w staraniach o polską szkołę średnią szczególnie wyróżnili się inżynier Leon Koźmiński, lekarze: Ludwik Fankanowski i Józef Koliński oraz rejent Konstanty Mogilnicki. Weszli oni następnie w skład Rady Opiekuńczej Gimnazjum Polskiego. Działaczom tym wywodzącym się z patriotycznych kręgów społeczeństwa łódzkiego, przyświecała myśl o kontynuowaniu dzieła zakładania w mieście polskich szkół średnich. Odpowiednie środki i poparcie społeczne, niezbędne dla spełnienia tych zamierzeń, miało zapewnić powołanie stowarzyszenia, które pod nazwą Towarzystwo „Uczelnia" rozpoczęło działalność w listopadzie 1907 r.

W zmienionej sytuacji politycznej, gdy rząd carski zdecydował się na drastyczne ograniczenie inicjatyw społecznych w dziedzinie szkolnictwa, Tow. „Uczelnia" nie mogło spełnić swoich zadań w tak szerokim zakresie, jak zostało to określone w jego statucie. W konsekwencji wypełniało swoją misję otaczając szczególną opieką Gimnazjum Polskie, które dzięki temu przetrwało, mimo zakusów carskich władz oświatowych, aby szkołę tę pod byle pretekstem zlikwidować.

Szkoła zawdzięczała działaczom Towarzystwa „Uczelnia", z jego pierwszym prezesem K. Mogilnickim, przeniesinie latem 1910 roku z wynajętych pomieszczeń przy ul. Wólczańskiej 55 do nowej i odtąd stałej siedziby, dobrze znanej licznym pokoleniom wychowanków „Kopernika". Było to wynikiem porozumienia ze znanym przemysłowcem Edwardem Heimanem, który zgodził się ofiarować szkole okazały budynek przy ul. Nowocegielnianej 9 (dzisiaj ul. Więckowskiego 41).

W 1912 r. Gimnazjum Polskie, mające dotychczas status szkoły prywatnej, przeszło na własność Towarzystwa „Uczelnia". Łączyła się z tym zmiana na stanowisku dyrektora którym został Jan Czeraszkiewicz, wybrany spośród kilku kandydatów przez Zarząd „Uczelni". Harmonijna współpraca nowego dyrektora z „Uczelnią" trwała do chwili upaństwowienia szkoły w 1919 r.

Jednym z pierwszych skutków tej współpracy było pomyślne załatwienie sprawy immatrykulacji absolwentów naszego gimnazjum w uczelniach zagranicznych, bowiem carskie uniwersytety nie honorowały świadectw dojrzałości Gimnazjum Polskiego. Uporczywe starania w latach 1912—1913 dały ten wynik, że pierwsi abiturienci, kończący klasę ósmą gimnazjum w 1914 r., mieli zapewnione prawo do studiów uniwersyteckich w Zurichu i Bernie szwajcarskim oraz w Krakowie i Lwowie, a także w lwowskiej Szkole Politechnicznej.

W ciągu 12 lat działalności Towarzystwa „Uczelnia" (1907 — 1919) przewijała się nieustannie troska o zapewnienie warunków dla sprawnego funkcjonwania szkoły. Podstawowe znaczenie miała sprawa funduszów na pokrycie związanych z tym kosztów. Opłaty wpisowe pobierane od uczniów nie mogły wystarczyć, tym bardziej, że przynajmniej część młodzieży niezamożnej korzystała z ulg w opłatach. Poważniejszym przejawem zainteresowania sytuacją uczniów niezamożnych była działalność Towarzystwa Wpisów i Zapomóg, które zostało powołane z inspiracji „Uczelni" w celu udzielania potrzebującym zasiłków pieniężnych.

Fundusze „Uczelni" tworzyły się ze składek członków, z dobrowolnych ofiar, darowizn, zapisów itp. Wobec ogromnych potrzeb były to często środki niewystarczające, co zmuszało do szukania wsparcia ze strony różnych instytucji społecznych oraz firm handlowych i przemysłowych. Niezwykle trudny okres stanowiły lata pierwszej wojny światowej, kiedy wskutek wyniszczenia spowodowanego działaniami wojennymi oraz rabunkową polityką ustępujących zaborców rosyjskich i zajmujących Królestwo Polskie okupantów niemieckich, zmniejszyły się możliwości gromadzenia funduszów. Mimo tak nie sprzyjających warunków Towarzystwo „Uczelnia", którego liczba członków także spadła, zdołało utrzymać szkołę do połowy 1919 r. Niemała była w tym zasługa kolejnego prezesa, mecenasa Kazimierza Rosmana, wokół którego skupiło się grono najbardziej ofiarnych działaczy.

Wkrótce po odzyskaniu niepodległości postanowiono wystąpić do władz odrodzonej Rzeczypospolitej z prośbą o upaństwowienie Gimnazjum Polskiego. Stało się to faktem w początkach roku szkolnego 1919-20. Szkoła znana była odtąd jako Państwowe Gimnazjum Męskie, któremu jednocześnie nadano imię M. Kopernika, przyjmując propozycję dyrektora J. Czeraszkiewicza. W tym też czasie Towarzystwo „Uczelnia" zakończyło swoją działalność. Dzisiaj jego nazwę przypomina mieszkańcom Łodzi tablica upamiętniająca postać Stefana Linkego, który jako uczeń Gimnazjum Polskiego, utrzymywanego przez Towarzystwo „Uczelnia", poległ podczas rozbrajania okupantów niemieckich 11 listopada 1918 r.

HENRYK WŁADYSŁAW SKOREK

Co interesuje czytelnika?

Czytając uważnie artykuł Jerzego Kwiecińskiego, zamieszczony w „Odgłosach" 15 stycznia br. pt. „Adwokaci i literatura", chciałbym podzielić się swoimi refleksjami. Sztuka pisania nieprofesjonalisty niewątpliwie posiada swoje dodatnie i ujemne strony. Nie jest taka gładka, wypolerowana, skondensowana, wręcz przeciwnie jakby nieco chropowata, bezpośrednia, ostra. Pisana niekiedy dosadnie, lecz zrozumiałym, prostym językiem dla każdego czytelnika. W tym tkwi właśnie jej zaleta i wada, wrażliwość obiektywnej oceny faktów i wydarzeń dnia codziennego. Rzeczywiście, formy pisania są różnorodne, jak całe nasze życie, lecz nie są one przez nikogo z góry narzucane, preferowane. Wynikają one z wewnętrznej potrzeby pisania w zależności od tego, z czym się człowiek spotyka, co go absorbuje bez reszty, czym żyje na co dzień w pracy, w domu, otoczeniu.

Najważniejsze, aby nie pisać sobie a muzom. Trafić do przekonania, umysłu przeciętnego czytelnika. Praktyka ostatnich lat wykazała, że rzeczywistość, wzięta z naszego przecież niełatwego życia, o wiele bardziej jest ciekawa, niż niejedna literacka fikcja całkiem nienagannie napisana przez profesjonalistów. Cała literacka twórczość np. Stanisława Grzesiuka oparta została na rzeczywistych faktach, wziętych z własnego przeżycia, które biją na głowę w poczytności inne wydawnictwa, zalegające półki księgarskie. Wydane przez KiW pamiętniki pt. „Jeden miesiąc mojego życia" również nie zalegają.

Coś jednak w tym jest, że popyt na twórczość nieprofesjonalistów nie maleje, a raczej ma tendencję wzrostu. Co innego książkę czytać, czuć ją sobą, a zupełnie co innego tylko przeglądać, czasami dla zabicia czasu. W pewnej mierze dotyczy to również czasopism, z tą różnicą, że czasopismo po przejrzeniu można wyrzucić do kosza, a książkę chce się zachować do własnej biblioteczki, gdzie nie ma miejsca na gromadzenie bubli.

Gdzie leży granica samej twórczości, trudno precyzyjnie określić. Jedno jest pewne. Chcąc zdobyć czytelnika pożyskać jego zaufanie — trzeba dobrze pisać. Najbardziej obiektywną busolą staje się popyt i podaż na dane dzieło. Jednym słowem wydawać to, co ludzie chcą czytać, tak, aby nasycić nasz księgarski rynek, a wówczas umrze śmiercią naturalną tzw. czarny rynek. Na tym rynku, niektórzy zarabiają o wiele więcej, niż pisarze, wydawcy i księgarze. Żadne inne argumenty nie mogą trafić do przekonania wydawcy i czytelnika w dobie powszechnego kryzysu, w tym i kryzysu rynku księgarskiego.

A może warto pokusić się o zorganizowanie ogólnopolskiego stowarzyszenia pisarzy nieprofesjonalistów z własnym wydawnictwem, czasopism i książek. Niech spróbują swych sił na równi z innymi. Gra warta świeczki. Wprawdzie są niektóre wydawnictwa, ale tylko z nazwy. Nie uświadczysz w nich twórczości pisarzy nieprofesjonalistów wręcz przeciwnie. A może się mylę, nie znając poszczególnych nazwisk twórców? Oby tak było naprawdę, za co z góry przepraszam. Są różne oficyny wydawnicze. Dlaczego nie można dać szansy dla wszystkich jednakowej, rzeczywistej, nie pozorowanej. Ocenę ich twórczości pozostawmy samym czytelnikom jako najbardziej miarodajną i obiektywną.

WŁADYSŁAW BISZEWSKI
(Łódź)

Dokończenie ze strony 5

Panowie doktorzy są zdania, że państwowe gospodarstwa rolne odczuwają permanentny brak rąk do pracy. Można by to uzasadnić brakiem mieszkań, stołówek i wciąż niskimi płacami. Ale z drugiej strony, w dobie reformy, PGR w kraju zwolniły 8 tys. osób. Zmieniła się więc polityka kadrowa, odeszli najgorsi, a wielu zbędnych urzędników przeszło do produkcji.

To samo dotyczy zrzeszeń, które nie są wcale dawnymi zjednoczeniami. Przynajmniej nie jest nim zrzeszenie w Łodzi, gdzie ze 100 osób personelu pozostały tylko 23. Natomiast tam, gdzie dawne zjednoczenie obejmowało jedno województwo, zrzeszenie staje się jakby wydziałem urzędu wojewódzkiego. Tam działa kodeks administracyjny, pegeer ma np. pilną sprawę do załatwienia, ale ona musi odleżeć dwa miesiące i już. Tam też pegeerowcy uczestniczą w długich, bezpłodnych naradach wojewódzkich, które psu na budę niepotrzebne.

Z artykułu panów adiunktów dowiadujemy się, iż samodzielne POM-y i Przedsiębiorstwa Budownictwa Rolnego odmawiają usług pegeerom, należałoby więc włączyć je do zrzeszenia.

PGR na luzie

Dyrektor Jan Filas:

— *Jak nie chcemy płacić, to nam nie świadczą usług. Każdy jest samodzielny zrzeszenie nie ma nic do gadania, nie może dyrygować POM-em czy przedsiębiorstwem budowlanym. Co tu zresztą budować? Gdy pogłowie bydła miało być dwukrotnie większe niż możliwości paszowe uzyskane z ziemi pegeerowskiej, robiło się inwestycje, powstawały te cholerne dzieci nie chci ne, czyli wielkie obory i chlewnie. I teraz modlimy się do pana ministra Wojteckiego, żeby nam umorzył kredyty wchłonięte przez te wspaniałe budowle. A jak idzie o nowe kredyty, to ja w banku jestem zabidzonym, pokornym petentem, a nie partnerem. Bank mnie prześwietla na wylot, dyktuje warunki, kontroluje. W banku pegeerowiec nie podskoczy...*

Wydaje się że osiągnięte przez PGR efekty ekonomiczne nie w pełni odzwierciedlają wkład pracy, dzięki któremu je uzyskano. Są potknięcia, niejasności, ale to zawsze chyba towarzyszy działaniom na poligonie doświadczalnym, na który pegeery zostały puszczone jako pierwsze. Wydaje się też, że jest jeszcze kilka spraw do załatwienia, dzięki którym PGR osiągnęłyby lepsze wyniki. Np. podatek gruntowy winien być zróżnicowany, zależnie od warunków glebowo klimatycznych. Należałoby także zwolnić PGR od płacenia na FAZ, gdyż w rolnictwie istnieje sezonowość i zmienność wielkości produkcji.

Przydałoby się trochę więcej samodzielności. Np. własna chlewnia, własna masarnia i sklep, w którym po cenach umownych sprzedaje się masło, śmietanę, sery, twarogi. Gdyby istniały dziesiątki takich przedsiębiorstw, nie byłoby monopolu, stąd ceny różne, umiarkowane.

Pobożne życzenia. Może więc na początek niech PGR hurtowo kupują taniej środki produkcji i otrzymują dopłatę za sprzedane w skupie duże partie swoich produktów. Bo jak dotąd, to bogaci się na tym aparat skupu.

A swoją drogą to ja bym puścił pegeery z ich produktami na wolny rynek. Natychmiast spadłyby tam owe zawrotne, wręcz obłędne ceny zboża, owoców, jaj, kur i kogutów. A co, pomarzyć nie wolno?

RYSZARD BINKOWSKI

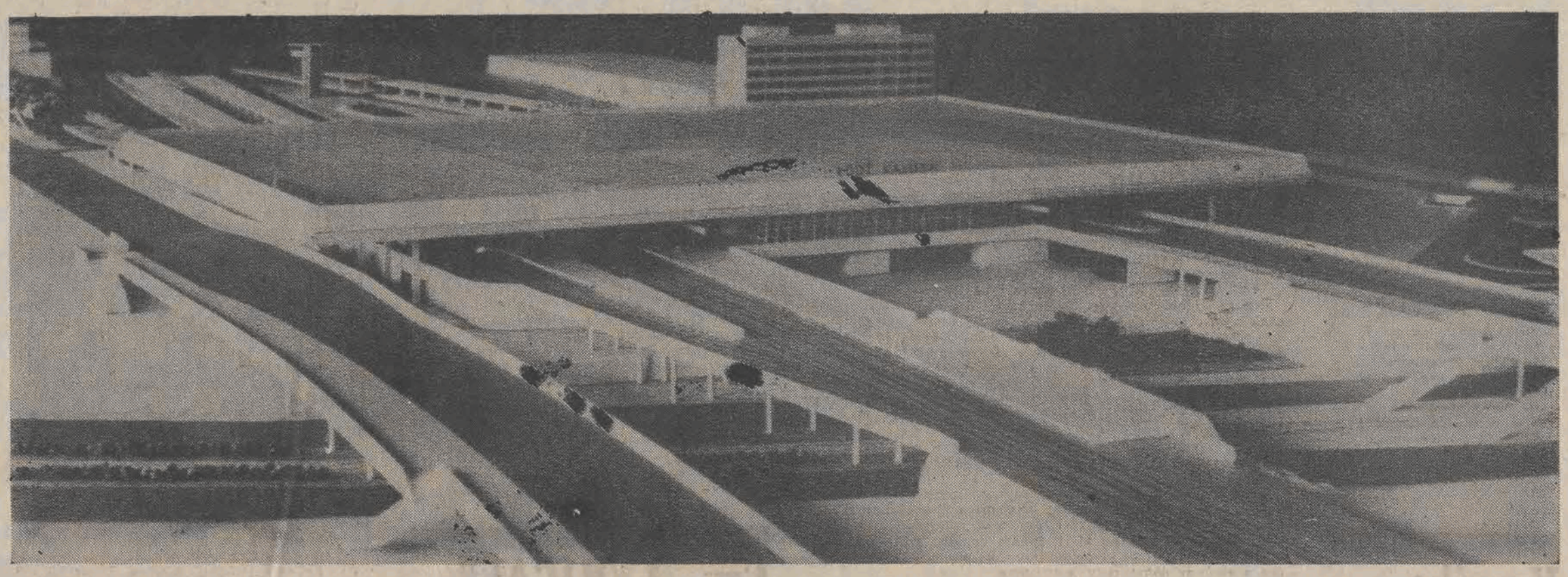

Makieta nowego dworca Łódź—Kaliska.

Widok z dworca zabitego deskami

Rozmowa z naczelnikiem stacji Łódź — Kaliska — STEFANEM PAWŁOWSKIM

Wzrosły ceny biletów. Czy w związku z tym zmienił się ruch pasażerski na kolei?

— Nic się nie zmieniło. Tak, jak do tej pory, w godzinach od 5 do 9 przewija się przez dworzec Łódź-Kaliska przeszło 100 tysięcy osób. Podobnie jest między godziną 14 a 17. Latem będzie jeszcze dwa razy więcej.

— Ludzie jednak spodziewali się, że PKP biorąc od nas więcej, więcej też nam da. Choćby tylko to, że pociągi będą jeździły punktualniej i będzie w nich czyściej. A tu nic z tego. Co wam, na kolei, przeszkadza w tym, abyśmy mogli jeździć czystymi pociągami?

— Kolej, to jest dość skomplikowany organizm. Pasażerowi zdaje się, że jak pociąg odchodzi z dworca Łódź-Kaliska, to już za wszystko winni są ludzie, którzy tu pracują.

— A tak nie jest?

— Niezupełnie. Są przecież pociągi przelotowe, które tu stoją tylko parę minut i nic już nie można w nich zmienić.

— Ale są też pociągi, które swój bieg zaczynają w Łodzi.

— Tak, choć nie wszystkie, które stąd wyruszają, należą do nas. Na przykład wagony z „Włókniarza" należą do Szczecina. My tu mamy wszystkiego 115 wagonów. Chodzą one do Kutna, obiegiem do Jeleniej Góry, Rzeszowa i Szczecina. Są to w większości wagony stare. Mają po 8—10 lat. Mamy tylko jeden skład pulmanowski, który chodzi do Gdyni. I za to wszystko my tutaj w Łodzi odpowiadamy.

— Reszta, to już kolega?

— To nie jest zupełnie tak. Wszystkie naprawy awaryjne musimy robić w każdym wagonie, jak przyjedzie do Łodzi. Natomiast naprawy tych części, które są wymienialne robią tylko stacje macierzyste. Na przykład, jeśli w wagonie pociągu „Włókniarz" zepsuje się akumulator i w wagonie tym nie ma oświetlenia, to ja nie mam obowiązku dokonać wymiany akumulatora w Łodzi. To już należy do stacji macierzystej, czyli do Szczecina.

Ale to jest jedna sprawa. Na kolei jest drobiazgowy podział obowiązków pomiędzy różne służby. O czystość na PKP dba Przedsiębiorstwo Usług Kolejowych. Jest ono na własnym rozrachunku. Ono właśnie dba o czystość w wagonach. Tylko, że ono nie posiada do tego właściwych warunków. Sprząta się głównie szczotką i ścierką.

— A powinno się to robić przy pomocy specjalnego sprzętu.

— Właśnie. Tylko, że w Łodzi dotąd nie ma myjni. I prędko nie będzie. Planuje się, że myjnia będzie gotowa w 1985 roku. Oczywiście, jeżeli wszystko dobrze pójdzie i nie wypadnie z planu. W lipcu powinniśmy mieć gotowe dwa tory przystosowane do mycia składów elektrycznych. Teraz myje się je w Olechowie. Tylko, że jak ruszą w poniedziałek w Polskę, to wracają za tydzień brudne, zaniedbane, podniszczone. Więc jak będą te dwa tory, to można już będzie myć wagony na Kaliskiej.

Ale przebudowa dworca jeszcze bardziej skomplikuje pracę. Kilka torów wypadnie z eksploatacji. Nie będzie gdzie ogrzewać pociągów elektrycznych przed wyjściem na trasę.

— Czy nie utrudni to również obsługi pasażerów?

— Oczywiście, że utrudni. Budowa wiaduktu praktycznie — i to nie na jeden rok — przetnie wylot z Łodzi-Kaliskiej w kierunku Katowic. Wybuduje się wprawdzie tor zapasowy, ale będzie to tylko jeden tor, na którym będzie obowiązywała zasada ruchu wahadłowego, raz w jedną stronę, raz w drugą.

— Czy nie lepiej byłoby przenieść część ruchu na inne dworce? Nie są one wprawdzie luksusowe, a często trudno je nazwać dworcami ale zawsze może to trochę złagodzić sytuację.

— Myśli się i o tym. Część ruchu przejmie stacja Łódź-Chojny. Planuje się wybudowanie dodatkowych przystanków, jak na przykład przy ul. Srebrzyńskiej oraz na Retkini, które przejęłyby część pasażerów wcześniej, a więc jeszcze przed dojazdem pociągu do dworca Kaliskiego.

— Rozumiem, że to, o czym pan mówi, dotyczy przede wszystkim przebudowy torów. Łączy się to też z budową wiaduktu, jako przedłużenia Alei Mickiewicza, czyli tak zwanej trasy W—Z. A co z dworcem? Obejrzałam go sobie dokładnie i chciałabym pana zapytać: czy nie wstydzi się pan być naczelnikiem takiego dworca?

— Szczerze?

— A jak można inaczej?

— Po dworcu chodzę ubrany w cywilne ubranie...

— Więc co z samym dworcem?

— Żeby to była tylko sprawa dworca...

— Może zacznijmy po kolei. Zacznijmy od tego, że pasażer musi najpierw przyjechać na dworzec, a także z niego odjechać. A z tym na dworcu Łódź-Kaliska nie jest najlepiej.

— Jest bardzo źle. Postulowałem, aby zlikwidować parking przed dworcem i przenieść go na gotowy parking od Alei Unii. Samochody prywatne blokują ruch taksówek. Pasażer do postoju taksówek ma kawałek drogi. MPK zlikwidowało pętlę tramwajową. Do tramwaju też jest spory kawałek drogi. Poza tym nie ma teraz bezpośredniego połączenia między dworcami Kaliskim i Fabrycznym.

Ani Wydział Komunikacji Urzędu Miasta Łodzi, ani MPK nie mogą zrozumieć, że dworce należy traktować na tej samej zasadzie, co fabryki i inne zakłady pracy. Przecież ludzie najpierw dojeżdżają z miejsca zamieszkania na dworzec Kaliski, a z dworca do miejsca pracy. Podróżnym, którzy przyjeżdżają do Łodzi w innych celach, też się należą jakieś podstawowe wygody. Ale jakoś nikt tego nie chce zrozumieć.

— No, dobrze. Pierwsze trudności pokonaliśmy i jakoś dostaliśmy się na dworzec. Teraz czeka nas kolejna przeprawa, trzeba kupić bilet. Wie pan dobrze, że nie jest to taka prosta sprawa.

— Wiem. Ani pomieszczenie, gdzie kupuje się bilety, ani sposób obsługi pasażera przy kasie nie jest najsprawniejszy. Pracujemy jednak na drukarkach do biletów, które pamiętają czasy sprzed 1939 roku. Nie ma już do nich części zamiennych. To szczęście, że mamy jeszcze kilku fachowców, których potocznie nazywa się „złotymi rączkami", a którzy potrafią te części dorobić. Czasem robią ją od nowa. To wymaga czasu. Nie mówię już o kosztach. Ale wtedy drukarka stoi. A kasjerka bilety wypisuje długopisem. To musi potrwać.

W sezonie mechanicy od drukarek dyżurują na okrągło całą dobę. Tylko, że jest ich 7, a obsługują nie tylko Łódź-Kaliską, ale też Fabryczną, Chojny, Pabianice, Radomsko, Piotrków Trybunalski, Kutno. Zamierzamy w sezonie włączyć do pracy tzw. kasę konduktorską, aby nie tylko realizowała bilety wystawione przez konduktorów, ale sprzedawała bilety wycieczkowe, zbiorowe, w czasie wyjazdów na kolonie i zimowiska.

Próbowaliśmy inaczej pomóc podróżnym. Kiedy studenci wyjeżdżali na święta do domów, wysyłaliśmy kasjerów do domów studenckich, aby ułatwić wyjeżdżającym kupno biletów. Ale to się zupełnie nie udało. Cały utarg wyniósł... 47 złotych 50 groszy. Na takie eksperymenty już więcej nie pójdziemy.

— Główny budynek dworca jest cały zabity deskami.

— To nie jest całe nieszczęście. Pasażer oczywiście nie musi wszystkiego wiedzieć. Jego to nie musi obchodzić. Ale wracając jeszcze do kas, które są po prawej stronie schodów, w drewnianym baraku. Ten barak stoi pod peronami i woda z peronów spływa do baraków. Jakie to są warunki pracy, lepiej nie mówić.

Główny budynek nie jest cały zabity deskami. Jest tam jeszcze fryzjer, informacja i sanitariaty. Kiedy przychodzę do pracy, idę najpierw tam zobaczyć, czy nie było jakiegoś wypadku.

Najbardziej boję się mrozu. Jak chwyci mróz, to będę musiał zamknąć peron I i peron IV, te przy budynku dworca, bo tynk odpada i może być jakiś wypadek.

Zegar z głównego budynku kazałem wstawić za szybę w oknie.

— Bo mógłby wypaść.

— Już wypadł, ale na szczęście nikomu nic się nie stało.

— Z jednej strony dworca wyjście na perony jest przez tunel. Z drugiej bezpośrednio na tory.

— Z tych torów odchodzą pociągi na Katowice, Kraków, Zakopane. Wybudowano je w 1904 roku. Istotnie jest tam przejście przez tory. Nie jest to bezpieczne.

— I tak ma zostać?

— Nic podobnego. W projektach są przewidziane ruchome schody, którymi będzie się wjeżdżać na perony.

— To w projekcie. A co teraz zrobicie dla podróżnych, aby mogli odpocząć przed czy po podróży. Napić się ciepłej herbaty i zjeść choćby suchą bułkę.

— Był projekt postawienia pawilonu — baraku na skwerze przed głównym budynkiem dworca i tam obsługi pasażerów.

— Ale pewnie upadł.

— Upadł.

— To pewnie był drugi projekt.

— Miał być budowany pawilon gastronomiczny u zbiegu ul. Karolewskiej i Alei Włókniarzy.

— I ten projekt upadł?

— Tak, bo trzeba przedtem rozwiązać inne sprawy.

— Pięknie. Ale przez Łódź-Kaliską przejeżdżają dwa — jeśli się nie mylę — pociągi międzynarodowe.

— Nie myli się pani. Przejeżdżają one przez najdalsze perony, aby ich pasażerowie nie mogli z bliska przyjrzeć się naszemu dworcowi.

— Niektórzy z nich jednak w Łodzi wysiadają i idą przez tunel, który od razu orientuje ich, że nie jest to pewnie najpiękniejsze miasto, skoro ma taką wizytówkę.

— Tunel wybudowano w 1949 roku i już się sypie. Teraz nie ma sensu cokolwiek zmieniać, bo w końcu musi zapaść decyzja co do dalszego losu Łodzi Kaliskiej.

Z tym, że z pociągami międzynarodowymi jest jeszcze inny kłopot. Mają one po 15 wagonów i nie mieszczą się przy peronie. Młodym to zbytnio nie przeszkadza, ale starsi ludzie mają sporo kłopotu z wsiadaniem i wysiadaniem.

— Jaka jest rada na to?

— Wydłużyć perony. W tym roku wydłużymy peron II i może zmieścimy się z tymi pociągami przy tym peronie.

— Ciągle opowiada mi pan o projektach, planach i koncepcjach. A co wiadomo na pewno?

— Pewna jest budowa wiaduktu. Najdalej w kwietniu zamykamy stronę od ulicy Karolewskiej i przechodzimy na drugą, czyli od Alei Włókniarzy.

— Kiedy to się może skończyć?

— Za 8 lat.

— Długo. Ale coś przynajmniej wiadomo. A dworzec? Jakie pan ma jeszcze koncepcje i projekty w zanadrzu?

— To nie ja mam. Ja też się o pewnych sprawach dowiaduję od ludzi. Teraz na przykład „pocztą pantoflową" dowiedziałem się o nowej koncepcji. Ale boję się powiedzieć.

— Śmiało. Pewnie coś rewelacyjnego.

— Raczej tak. Jest to pomysł... modernizacji dworca. Czyli coś takiego, jak swego czasu zrobiono z dworcem Fabrycznym. Rzekomo odbudowano „antyk", ale że tam grzyb sięga już sufitu, o tym się nie mówi.

— Rozumiem, że jest pan temu przeciwny?

— To nie jest kwestia moich upodobań, to jest sprawa realiów. Boję się nawet o tym myśleć, ale będę chyba musiał zamknąć... sanitariaty. Są tam stare przewody, które zapychają się i całe podziemie jest zanieczyszczone. Byli tu już różni specjaliści i ich opinia jest jednoznaczna. Trzeba to wszystko rozebrać i kłaść od nowa kanalizację. Czy w takich warunkach można myśleć nawet o modernizacji?

— Dlaczego tak się stało? Jak pan sądzi? Rozumiem, że mamy obecnie kryzys, brakuje materiałów budowlanych, budownictwo mieszkaniowe nie jest w stanie sprostać ogromnym potrzebom społecznym. Nie jest to więc najlepszy czas dla przebudowy dworca. Ale zawsze tak nie było. O modernizacji, a później przebudowie, czy wręcz budowie od nowa Łodzi Kaliskiej mówiło się od bardzo dawna. Dlaczego nie doszło do realizacji?

— Jestem łodzianinem i nie lubię o swoim mieście mówić źle. W moim przekonaniu zawiniło tu niezdecydowanie władz miejskich. Widziano tylko metry tkanin produkowanych przez przemysł, nie potrafiono dostrzegać ludzi którzy te metry tkanin produkują i ich potrzeb. Te potrzeby były znane od lat, wtedy przede wszystkim, kiedy były warunki dla budowy dworca. Wówczas jednak kolej chciała wybudować w Łodzi dworzec jak najtaniej, miasto nie chciało i nie mogło się na to zgodzić. I dziś mamy skutki takiego podejścia.

— Musimy czekać lepszych czasów, a dworzec się sypie. Nie jest więc łatwo być dziś naczelnikiem stacji Łódź-Kaliska. A dlaczego pan został kolejarzem?

— Pod koniec lat czterdziestych był to piękny zawód. Od tego czasu wiele się zmieniło. Dawniej ten zawód szanowano. Dziś już nie. Jest w tym i nasza wina. Jest to sprawa wyglądu zewnętrznego kolejarzy, czystości w wagonach, kradzieży na kolejach.

— Chamstwa.

— Za chamskie odnoszenie się do pasażerów karzemy. W drugim półroczu 1982 roku nałożyliśmy 250 kar pieniężnych na kwotę 20 tysięcy złotych.

— Pasażerowie też nie są aniołami.

— Bez wątpienia. Podrażnieni, złośliwi, kłótliwi. Strasznie śmiecą. Biorę pracowników z biur, aby w czynie społecznym czyścić perony. U nas też, jak wszędzie, brakuje ludzi do prac i to tych najmniej wdzięcznych, na przykład do sprzątania.

Na kolei nie płacono najlepiej, więc przychodzili różni ludzie. A u nas służba, to coś więcej niż praca. Tu muszą pracować ludzie odpowiedzialni, solidni. Nasza służba wymaga wielu wyrzeczeń i musi to być należycie wynagradzane. Wtedy można zrobić weryfikację pracowników, zostawić tych najlepszych, przyjąć nowych, którzy odpowiadaliby warunkom pracy na kolei.

— Gdybyśmy chcieli porównać naszą kolej do innych w Europie, na którym bylibyśmy miejscu?

— Pod względem wielkości usług na drugim. Pod względem jakości — trudno porównać. W żadnym innym kraju nie ma takich masowych przewozów jak u nas — kolonie, obozy, zimowiska.

— A jeśli chodzi o punktualność?

— Gdzieś w środku. Natomiast pod względem bezpieczeństwa — na pierwszym miejscu.

— Gdybyśmy teraz spróbowali umiejscowić Łódź-Kaliską w skali kraju.

— Biorąc pod uwagę włożoną tu pracę i takie warunki, jakie są, to uplasowalibyśmy się gdzieś w pierwszej dziesiątce. Natomiast pod względem jakości usług — w ostatniej dziesiątce.

— Jest pan optymistą, nie pozbawionym jednak krytycznego spojrzenia. Wobec tego jeszcze pytanie: kiedy doczekamy się nowej stacji i dworca Kaliskiego?

— Przed odejściem na emeryturę — już niewiele zostało — zobaczę jeszcze przebudowane tory i chciałbym wejść do nowej nastawni i ponaciskać sobie różne guziczki. Nowego dworca to ja już na służbie nie doczekam. Może jako emeryt, bardzo zresztą już stary, przyjdę obejrzeć sobie jego uroczyste otwarcie. Jeśli będą o mnie pamiętać i zaproszą.

Rozmawiała:
BOGDA MADEJ

Kronika kulturalna

5 STYCZNIA br. **Tadeusz Kantor** z rąk ambasadora Francji w Polsce, Jeane Bernard Raimonda otrzymał francuskie odznaczenie Oficerski Order Sztuk Pięknych i Literatury za wybitne osiągnięcia i wkład do światowej sztuki teatralnej.

DO PARYŻA, na zaproszenie nowo powstałego francuskiego centrum kulturalnego „La Maison des Cultures du Monde" udał się kameralny zespół Teatru Wielkiego z Warszawy, pod dyrekcją Roberta Satanowskiego. W środę zespół pokazał tam **„Manekiny" Zbigniewa Rudzińskiego**, według prozy **Brunona Schulza**, w inscenizacji **Marka Grzesińskiego** i scenografii **Janusza Wiśniewskiego**. Orkiestrą kameralną Teatru Wielkiego dyrygował **Robert Satanowski**.

ZNANY pisarz, **Mirosław Żuławski**, otrzymał 18 bm. z rąk ministra kultury i sztuki, prof. Kazimierza Żygulskiego, Krzyż Komandorski Orderu Odrodzenia Polski, przyznany mu przez Radę Państwa za wybitne zasługi w twórczości literackiej.

PRZYZNANO doroczne nagrody muzyczne Związku Kompozytorów Polskich na rok 1982. Laureatami są: **Marek Stachowski** — za twórczość kompozytorską i **Michał Bristiger** — za twórczość muzykologiczną oraz powołanie do życia i redagowanie serii „Res Facta".

30 STYCZNIA, „Teatr 77" wystąpił z nową premierą. Jest to realizacja **„Clownów"**, widowiska przygotowanego wg scenariusza i w reżyserii **Andrzeja Strzeleckiego**, z oprawą plastyczną **Ewy Czernieckiej-Strzałeckiej**. „Clowni" — jak pisze autor — są widowiskiem teatralnym z pogranicza teatru, cyrku i kabaretu, odwołującym się w rozwiązaniach scenicznych do clownady, błazenady, teatru ludowego i dell'arte. W rolach głównych wystąpili: **Tomasz Bieszczad, Teresa Grenda, Jerzy Koleczko, Andrzej Podgórski, Krzysztof Rynkiewicz i Janusz Wiśniioch.**

W PARYŻU istnieje Towarzystwo Juliusza Verne'a. Posiada ono swoich członków na całym świecie. Jedynym w Polsce członkiem tego Towarzystwa jest pabianiczanin, **Winicjusz Łachciński.**

W INSTYTUCIE Kultury Polskiej w Paryżu czynna była ostatnio wystawa malarstwa **Konstantego Mackiewicza**. Wystawa obejmowała obrazy z dwóch cyklów: „Tu byli ludzie" i „Termitiery".

Dzielnicowy Dom Kultury Łódź-Bałuty z siedzibą dyrekcji przy ul. Limanowskiego 166 prowadzi działalność w trzech filiach: DK „Lutnia", DK „Rondo" oraz DK „Na Żubardzkiej". I tak:

W DK „Na Żubardzkiej", ul. Żubardzka 3 w dn. 3.II. br. o godz. 17.00 **„Czwartki rockowe"** — prezentacja młodych, nieprofesjonalnych zespołów rockowych.

DK „Rondo", ul. Limanowskiego 166 w ramach „Sceny Rozrywki „Rondo" zaprasza na recital **Elżbiety Mielczarek** w dn. 5.II. br. o godz. 17.30.

DK „Lutnia", ul. Łanowa 14 w ramach „Ośrodka Działań Teatralnych" prezentuje widowisko teatralne dla dzieci wg tekstów R. Kiplinga pt. **„Wyprawa z przygodami w bardzo odległych czasach"** w wykonaniu aktorów scen łódzkich — w dn. 9.II. o godz. 15.00.

Kto nie chce kultury

Dokończenie ze strony 1

domy kultury to dzisiaj tylko wolno stojące budynki.

Jest czwartek, dzień jak każdy inny. Zupełnie przypadkowy. Z książki telefonicznej wynotowałem kilka numerów telefonów do kilku domów kultury. Postanowiłem spędzić wieczór wybierając jedną z kilkudziesięciu propozycji naszych łódzkich ośrodków kulturalnych.

Telefon I: Dzielnicowy Dom Kultury na Polesiu:

— Dzień dobry, proszę pani mam dzisiaj wolny wieczór, chciałbym przyjść do domu kultury, co mi proponujecie?

— *Dzisiaj u nas, niestety nic nie ma. Chociaż w klubie na Kasprzaka może pan obejrzeć film „Dzieje grzechu" za darmo...*

Telefon II: — Dom Kultury przy RSM „Lokator":

— *Dzisiaj, proszę pana, niech spojrzę w terminarz. Dzisiaj akurat nie mamy żadnej imprezy. Ale może pan pograć w szachy.*

— Kiedy ja nie umiem?

— *Nic trudnego przyjść i popatrzeć. Może pan też obejrzeć telewizję albo wypić kawę w klubowej kawiarence. Natomiast w poniedziałek będzie spotkanie...*

Telefon III: Spółdzielczy Dom Kultury „Lutnia":

— *Dzisiaj niestety nie mamy wieczorem żadnej imprezy. Rano była impreza dla dzieci...*

Dzwoniłem jeszcze do kilku takich domów, gdzie na czwartkowy wieczór nic nie przewidziano. Cóż, pechowy czwartek. Spędzę wieczór w domu, przy telewizorze.

Nie jestem jednak przekonany, czy propozycja obejrzenia telewizji w klubowej salce, wypicia kawy w klubowej kawiarence albo pogrania w szachy kogokolwiek zachęci. Jeżeli telewizor mamy w domu, kawę w kawiarni dwa przystanki dalej, a szachy u kumpla w bloku obok?

Nie dziwię się więc licealistom, że omijają przybytki kultury z daleka. Bo i po co wchodzić. W domu kultury wszystko powinno być lepsze i bardziej atrakcyjne. Mając więc kolorowy telewizor, wysokiej jakości sprzęt muzyczny, dobre karty, szachy i kawę z zagranicznej paczki będziemy się tylko ironicznie uśmiechać na propozycje na wieczór.

LUDZIE OCZEKUJĄ SENSACJI

mówi dyr. Zofia Kozłowska z Dzielnicowego Domu Kultury na Polesiu.

— *Dzisiaj typowe prelekcje ludzi nie przyciągną, trzeba w jakiś sposób „gonić modę". W naszym domu kultury największą popularnością cieszą się kluby radiestetów, naturystów, seanse hipnotyczne dla palaczy. Kiedy był u nas „pan z różdżką" do budynku waliły tłumy, ludzie stali na dziedzińcu, na ulicy. Nie sposób było wytłumaczyć, że sala jest mała i wszyscy się nie zmieszczą.*

Tak samo klub naturystów — ciągle są zapisy. Powstał też jedyny w Łodzi klub UFO — również mnóstwo chętnych.

Dużą popularnością cieszą się też niedzielne giełdy hobbistów. Z całej Polski ludzie przyjeżdżają.

— *Zdecydowaliśmy się „postawić" na kluby zrzeszające ludzi zainteresowanych różnymi dziedzinami. Tak powinno być. Niekoniecznie dom kultury musi być miejscem, gdzie przychodzi się tylko na koncert, jakąś imprezę typowo kulturalną. Przede wszystkim zależy nam na tym, żeby można było spędzić przyjemnie wolny czas. Imprezy masowe, otwarte — to tylko część naszej działalności.*

Mało imprez otwartych. Przechodzący obok domu kultury, który postanowi tam spędzić wolny wieczór najczęściej zostanie odesłany z przysłowiowym kwitkiem. Przypadkowy przechodzień nie będzie usatysfakcjonowany, niestety. Poza tym lokalizacja. Domy kultury (przynajmniej na Polesiu, którym się zajmowałem) znajdują się w miejscach najbardziej nieodpowiednich. Trudno sobie, na ten przykład, wyobrazić mieszkańca Retkini jadącego prawie w drugi koniec miasta na partyjkę szachów lub filiżankę kawy.

W ogóle Polesie jest najbardziej upośledzoną dzielnicą w tym względzie. Na Polesiu mieszka ponad 180 tys. ludzi. Do ich dyspozycji jest w miarę duży Dzielnicowy Dom Kultury, trzy mniejsze oraz kilka klubów i świetlic. Gdyby tak spróbować zastanowić się — co by było, gdyby któregoś wieczora nagle wszyscy zapragnęli spędzić wolny czas w domu kultury (biorąc poprawkę na atrakcyjne propozycje) — najwyżej co piętnasty mógłby dostąpić tego zaszczytu. Trochę kiepsko.

Zostaje jeszcze kino „Przedwiośnie" (słownie jedno), ponieważ „Polesie" w najbliższym czasie zostanie przeznaczone na obiekt dydaktyczny przy szpitalu im. Madurowicza.

W porównaniu, na przykład, z Bałutami, gdzie domów kultury jest dziewięć — Polesie jest ubogie. Fakt jest faktem. Można to wytłumaczyć bardzo krótko: na Bałutach rozwijał się kiedyś przemysł, a przy zakładach obiekty kulturalne. Na Polesiu fabryk jest mało, mniej więc ośrodków kultury. Czy można jednak tłumaczyć takie zaniedbanie li tylko słabym rozwojem przemysłu. Nie dbano na Polesiu o kulturę i tyle.

W Urzędzie Dzielnicowym nie ma odrębnego Inspektoratu zajmującego się sprawami kultury. Jest Inspektorat Oświaty i Kultury zatrudniający 14 pracowników — w tym jedną osobę odpowiedzialną za kulturę. Trzynaście osób opiekuje się 80 placówkami oświatowymi na terenie dzielnicy, natomiast ta jedna 36 różnymi placówkami kulturalnymi. W takiej sytuacji przeforsowanie propozycji dotyczących spraw kultury jest znacznie utrudnione. Stąd, sądzę, zaniedbania.

NA PRZYKŁAD NA RETKINI

gdzie mieszka sto tysięcy mieszkańców, nie ma *żadnego*, z prawdziwego zdarzenia, domu kultury. Nie można przecież liczyć malutkich klubików — żali się Maria Kałużyńska — Zastępca Inspektora d/s Oświaty i Kultury UD Polesie.

— *Był oczywiście plan budowy takiego obiektu na Retkini. Do dzisiaj jest nawet wolne miejsce...*

Na Polesiu są 4 domy kultury, kilka osiedlowych klubików, adaptowanych zresztą dla tych potrzeb oraz 7 świetlic na osiedlach. W tych świetlicach odbywają się najczęściej raz w miesiącu odczyty albo imprezy na zamówienie rencistów.

— *Jak na razie nie ma mowy o żadnej budowie nowego domu kultury z prawdziwego zdarzenia. Czasami udaje nam się adaptować jakieś pomieszczenie w blokach mieszkalnych. W ten sposób powstała większość bibliotek w poleskiej dzielnicy. Dzisiaj wiadomo — każde mieszkanie na wagę złota, nie ma szans na otrzymanie parteru z przeznaczeniem na ten cel.*

Samorządy mieszkańców, które o tym decydują mają podzielone zdania. Jedni chcą, żeby budować sklepy, przedszkola, inni chcą tylko mieszkań. Zwolenników budowania domów kultury i bibliotek jest coraz mniej. Ci nieliczni zazwyczaj przegrywają. Perspektywy nie są więc najweselsze.

Z jednej strony placówek kulturalnych jest mało i animatorzy kultury się żalą, z drugiej strony nawet w tych istniejących, nielicznych domach kultury nie ma co robić wieczorem.

Będąc jednak optymistą, uważam, że dyrektorzy istniejących domów kultury zadbają o imprezy dla wszystkich i uatrakcyjnią swoje propozycje. Może w kolejny czwartek, kiedy wykonam kilka telefonów, będę musiał długo wybierać gdzie i w jaki sposób spędzę wolne popołudnie — niekoniecznie grając w szachy lub pijąc kawę.

A swoją drogą na Retkini taki obiekt bardzo by się przydał, zapewniam jako mieszkaniec tej dzielnicy.

Chyba, że taka kultura przestała nas bawić.

JACEK BINKOWSKI

Czy „LYRICAL" to jest to ?

Dokończenie ze strony 1

oceny zarówno dzieła, jak i scenicznej jego realizacji pozwolę sobie pogratulować Henrykowi Czyżowi nie tylko wszechstronności zainteresowań twórczych, ale i znakomitego, wybornego wręcz poczucia humoru, które dodatkowo wzbogaca jego sylwetkę artystyczną o nową, nie znaną jeszcze barwę.

Henrykowi Czyżowi najzupełniej już serio gratuluję też wyboru tematu i tworzywa literackiego, po które sięgnął, jak pisze, w poszukiwaniu „nowej formy dla poetyckiego, ale popularnego utworu przeznaczonego dla współczesnego teatru muzycznego". Wiersz Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego zatytułowany „Inge Bartsch" jest nie tylko wspaniałym utworem lirycznym, lecz także małym arcydziełem dramaturgii o bogatym rysunku postaci, dynamicznym rytmie zdarzeń dramatycznych, a nawet świetnie, rzec by się chciało: z wyczuciem sceny skomponowanych dialogach. Jest w tym wierszu „tekst główny", są „didaskalia", jest także coś na kształt sugestii inscenizacyjnych i dyskretnych wskazówek dotyczących konwencji scenicznej (ze słynnym „mówieniem na stronie" włącznie). Jest w tym wierszu dramaturgiczna ekspresja, a przede wszystkim godny każdej sceny i największych wzruszeń emocjonalnych problem. W wierszu tym tkwi jednak coś, co nazwałabym w tym przypadku (tzn. w przypadku nadania mu funkcji najpierw źródła inspiracji, a później leitmotivu zrodzonego z tej inspiracji przedstawienia) niebezpieczeństwem czy też raczej „pułapką doskonałości", doskonałości nie pozwalającej na jakąkolwiek ingerencję w organiczną i jednorodną całość artystycznej materii czy też najbardziej choćby szlachetne próby twórczego jej przekształcania lub wzbogacania. Wszystko co zawiera się w kategorycznym niestety określeniu „nic dodać, nic ująć" odnosi się do tego wiersza. Nie wydaje się by Henryk Czyż zawarte w doskonałości tekstu Gałczyńskiego zakazy i nakazy lekceważył. Skomponowany przez niego wspólnie z Leonem Janowiczem scenariusz widowiska świadczy o fascynacji utworem Gałczyńskiego i wielkim dla poety szacunku, ale równocześnie dowodzi też jednak sposób komponowania tekstu „Księżycowego poematu" nazbyt wielkiej w stosunku do dzieła Gałczyńskiego odwagi i bezceremonialności twórców „lyricalu". Tną oni teksty różnych wierszy Gałczyńskiego w sposób niemal niemiłosierny, przykrawają je do potrzeb fabuły widowiska nader drastycznie, a nawet znacząco zmieniają autorski wyraz emocjonalny, czyli jednoznacznie wkomponowaną w tekst, stanowiącą jeden z elementów jego lirycznej konstrukcji interpretację tak jednoznacznie określonego przez Gałczyńskiego w sensie uczuciowym wiersza jak piękna „Wizyta".

Zabiegi te nie wychodzą na zdrowie poezji Gałczyńskiego, ani też nie przydają rumieńców „lyricalowi" Czyża. Narzucona przez niego niektórym tekstom zupełnie nowa interpretacja (obraz z „piżamami" budzącymi, chyba zgodnie z wolą kompozytora, obozowe skojarzenia) z zamierzonego „subtelnego dania dla smakoszy, ostryg i żabich udek" czyni w sensie smaku artystycznego nawet nie siermiężnego „schaboszczaka", ale „blutwurst", którym to porównaniem pozwalam sobie zwrócić uwagę na niezręczność graniczącą z grubym nietaktem popełnionym w stosunku nie do całości własnego dzieła, lecz do tak nieumiejętnie, niezręcznie wprowadzonego tematu, za którym kryją się miliony nie istniejących istnień. Podobnych błędów, potknięć i niezręczności nie ma w tekście wiele, ale te są szczególnie przykre i tym bardziej rzucające się w oczy, że poza tym jest on skonstruowany nader poprawnie, z troską o dramaturgię, dynamiczny rozwój zdarzeń, wzrost napięcia i jego kulminację. Tekst przynosi interesujący materiał aktorski i stawia przed wykonawcami ciekawe zadania. W naturalny sposób łączy się on z muzyką, tekst dyktuje jej brzmienie, ona zaś stara się odsłaniać przed nami urodę słowa. Podporządkowana dramatowi funkcjonalnie, wzbrania się przed oceną jej własnych samoistnych wartości. Nie bacząc jednak na jej opór stwierdzić muszę, iż ta „warstwa" Henryka Czyża „snu muzykalnego" (bo i tak nazywa on swój „lyrical") zaskoczyła mnie najbardziej i uczyniła nieco bezradną, miast oceny pozwolę sobie zatem przekazać tutaj swoje wrażenia: otóż muzyka ta, acz zwyczajnie i po prostu ładna zaskoczyła mnie brakiem „piętna osobowego" twórcy. Nie wydaje mi się ona podobna ani do Gershwina ani do Legranda, a już najmniej do Szymanowskiego (a tak właśnie, między nimi widzi ją, czy raczej słyszy recenzent „Polityki"). Urokliwie brzmią w niej niektóre motywy i tematy, orkiestra łódzkiego Teatru Muzycznego pod batutą kompozytora gra ją tak świetnie, jak nigdy dotąd nie grała niczego innego, ale konkretny, charakterystyczny jedynie dla siebie i określony artystycznie Czyż jest tylko za pulpitem dyrygenckim, partytura wydaje mi się bezosobowa, niczyja, ładna lecz nijaka.

Mimo wyraźnej ambicji twórców uczynienia z „Księżycowego poematu" dzieła we wszystkich swych warstwach organicznie spójnego i jednorodnego pozostaje on zdominowany przez poezję Gałczyńskiego, nader szczęśliwie umieszczony przez Czyża w finale całej „Inge Bartsch" obroni go przed narzucającym się przez dwa akty wrażeniem, że jest „Księżycowy poemat" jedynie zręczną dosyć próbą skomponowania muzyki do poezji Gałczyńskiego (bo chwyt, dopiero ten chwyt ujawnia znaczącą dramaturgicznie konstrukcję libretta), ale, też nie zmieni faktu, że ta „nowa forma dla poetyckiego", ale popularnego utworu przeznaczonego dla współczesnego teatru muzycznego nie spełnia wszystkich naszych oczekiwań. Formułując rzecz najkrócej, twierdzę, że „lyrical" Czyża jest dziełem nie pozbawionym wartości i urody, ale jest też utworem bardzo kontrowersyjnym, Niełatwym, niespójnym, choć chwilami urzekająco pięknym.

Sepktakl przygotowany przez Teatr Muzyczny reżyserował (nazbyt dyskretnie) Włodzimierz Traczewski, a interesującą scenografię stworzył Wojciech Zieleziński.

Przed trudnymi wokalnie i skomplikowanymi aktorsko zadaniami scenicznymi stanęli wykonawcy głównych ról w łódzkim przedstawieniu „Księżycowego poematu", spośród których zasłużenie największe brawa otrzymała Grażyna Krajewska znakomicie operująca zarówno czystym, ładnie brzmiącym głosem, jak i bogatymi środkami wyrazu aktorskiego. Jej kulturalna, a przecież nie pozbawiona ekspresji i dramatyzmu interpretacja postaci Inge Bartsch sprawia, iż postać ta na długo pozostaje w pamięci widzów. Niemal równie dobrze poradził sobie z niełatwą rolą Poety Adam Koziołek. Z niewiadomych jednak powodów mniej ufając tekstowi, tak bardzo pragnął szerokim gestem i siłą głosu skupić nań uwagę widza, że przez to właśnie uszło jej wiele subtelności wymagających nieco bardziej ściszonych działań aktorskich. Interesującą kreację męża Ingi, emerytowanego lejtnanta stworzył rzadko dotychczas obsadzany w rolach tak charakterystycznych Zbigniew Waloch. Mniej ciekawie zarysował swą postać Andrzej Orachwo w roli zakochanego w Indze reżysera Finka. Z wielkim aplauzem przyjmowała publiczność aktorskie propozycje Tadeusza Lewandowskiego, który jednak z niejaką stratą dla siebie pragnął wyróżnić się i wybić ponad innych tak dalece i usilnie, że łamało to zespołowość scen z jego udziałem. Oszczędniej, a z dobrym skutkiem zagrał swą rolę Jerzy Czapliński. Dyskretnym, bardzo szlachetnym aktorstwem i rzadką umiejętnością kreowania znaczącej dramaturgicznie roli z pozornie niewiele znaczącego epizodu ujmował widzów Jan Padkowski tworząc charakterystyczną i wyrazistą, choć przecież bardzo cienką kreską zarysowaną rolę Anglika. Wyrazy szczególnego uznania za pełne maestrii, błyskotliwe wręcz wykonanie solowej partii fortepianowej należą się Rajmundowi Ambroziakowi.

„Liryka, liryka, tkliwa dynamika..." mawiał mistrz Konstanty Ildefons Gałczyński. Lyrical...? Obejrzyjcie państwo sami. Teatr Muzyczny zaprasza.

EWA PANKIEWICZ

„Księżycowy poemat". Na zdjęciu: Grażyna Krajewska (Inga) i Jerzy Czapliński (Gość ze skrzypcami). *Foto: Chwalisław Zieliński*

Jan Huszcza

Notatki

1

Brzozy nad stawem zamyślonej
nie spotkasz w kraju tym.
Do malw, u płotu zostawionych,
step piaskiem zawiał rym.

2

Ten wiatr zaszumiałby gęsto w klonach,
lecz klonów tu nie ma.
Stąd obłoków, nad siołem spędzonych,
deszcze nie chcą przemyć.

3

Koń wiatru stepami: piasku jak śniegu
izbie po okien oczy nawiało.
W gałęziach nie znajdzie księżyc noclegu,
mnie i srebrnemu snu noc nie dała.

4

A komu zasnąć już na wieki,
to nie poniosą w deskach z klonu
jak w tamtym mglistym, jak w dalekim
pod zmierzch lipcowy, pod szmer dzwonów...

5

Drogo piaszczysta, śniegiem przysypana,
biegnąca na Zachód wśród ostów czy burzanów,
drogo, gęsto znaczona sosnami,
wyprowadź nas, zmiłuj się nad nami!

Kazachstan, 1940—43.

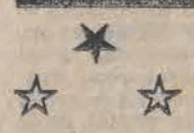

Chwieją sosny dno błękitu.
Wiatr nad Oką, dni wiośnieją,
śnieg na wzgórzach leży płytki.
Wiosno piąta, ziść nadzieje!

Wierzb kikuty, błyski kałuż.
Człapie gęsto krok piechoty.
Łka w piosence: „Wróć... ucałuj..."
Nad piosenką — samoloty.

Z tych ziemianek, snów i kopciu
na spotkanie polskiej ziemi
będzie wymarsz zbrojnych chłopców.
Boże, trzymaj straż nad niemi.

Nad Oką, 7.III.1944.

Szkic

Zabłądziłeś
Na pewno zabłądziłeś
To nie te regiony
nie te wieże
nikt nie uderzy w dzwony

Najwyżej trombita
zmarłych pastuchów wita

Drżący rysunek wierzchowiny
na lazurze
by się napatrzeć
oczy mrużę
W tym miejscu
brakuje jakiegoś słowa
a może zdania
z czyjegoś zaklinania

Szukaj szukaj
pukaj pukaj

Ślad po gałązce
zakładka z imienia
w zapomnianej książce

Nawet w atlasie szumi Dźwina

Ta antonówka
ostatnia wśród ostatnich liści

Spadnie
i cała jesień się ziści

Pusty więcierz wiersza

12—19.IX.1982.

Foto: Mirosław Ostoja-Ochocki

Jan Huszcza

24 grudnia minęła 65 rocznica urodzin Jana Huszczy. Przypominając tę datę muszę już na wstępie zaznaczyć, że moja impresja krytycznoliteracka — poświęcona przede wszystkim twórczości poetyckiej autora „Od starorzecza" — nie jest władna unieść wszystkich zobowiązań, jakie ciążą na typowym „jubileuszowym" opracowaniu. Są to po prostu wrażenia nie „problematyzowane" jeszcze, wrażenia czytelnika urzeczonego swoistym wdziękiem tych wierszy i dla zachowania tych doznań rezygnującego świadomie z całego mechanizmu analitycznego, historycznoliterackiego, bądź metodologicznego sprawiającego, że często zamieniamy się w krytyków — zoilów, z którymi Jan Huszcza miał niekiedy — jak to się mówi — na pieńku. Potyczki z krytyką, której ślady znajdziemy w kilku wierszach, mają nie tyle na celu wprowadzenie odwiecznego sporu: krytyk — twórca, ile podkreślenie prawa do własnego tonu poetyckiego, odrębnej artykulacji, której — zagłuszeni przez autokratyczny zgiełk współczesnych mód, czy szkół metodologicznych — nie potrafimy (my — krytycy) rozpoznać i właściwie ocenić. Nie mógłby przecież uskarżać się Jan Huszcza na całkowite przeoczenie krytycznoliterackie. Wśród osób piszących o jego poezji spotkamy bowiem nazwiska S. Lichańskiego, K. Wyki, A. Kamieńskiej, J. Kwiatkowskiego. Dodajmy, że pełniejszą analizę jego twórczości (poezja, proza, satyra) znajdziemy w szkicu F. Fornalczyka pomieszczonym w książce „Z rodu poetów" (Łódź, 1969). Nie zapomnieli też o J. Huszczy łodzianie: M. Ochocki i J. Tynecki (szkic tego ostatniego drukowany był w „Rzeczy poetyckiej. Środowisko").

Pozwoliłem sobie na ten przydługi wstęp nie pozbawiony szczypty asekuranctwa. Nie chciałbym bowiem znaleźć się w sytuacji, iżby i do mnie mogły być adresowane słowa poety:

Kici kici szyfrujący
krówka dla was spoza mleka
w śnie drewnianym siedmiu
dojnic
a przy dójkach egzegeta
(z tomu „Od starorzecza", Łódź, 1978, s. 20).

Co prawda jest to w intencjach poety negacja „niezrozumiałości" w poezji, ale łatwo mogłaby też zyskać nowy adres: współczesną krytykę literacką. Ponieważ — jak się rzekło — ten krótki szkic poświęcony jest informacji o poetyckiej twórczości Jana Huszczy, należałoby bodaj przywołać najważniejsze fakty z życia pisarza tudzież przypomnieć tytuły wydanych książek. Między poezją i twórczością prozatorską autora „Starej pijalni" zachodzi ścisła więź przejawiająca się zarówno w sferze „tematycznej", jak i w pewnej tonacji stylistycznej, charakteryzującej te dwa rodzaje literackie uprawiane przez J. Huszczę. Dodajmy, że podobne powinowactwa stylistyczne odnajdziemy i w satyrze łódzkiego twórcy, nie bez znaczenia pozostaje twórczość translatorska Huszczy; można by doszukać się między nią a poezją autora „Starej pijalni" wzajemnych oddziaływań. Mam nadzieję, że godniejsze niż moje pióro podejmie wysiłek określenia całej twórczości Jana Huszczy.

Jan Huszcza urodził się 24 grudnia 1917 roku na Wileńszczyźnie — w Zagościniu. Studiuje w Wilnie (prawo oraz nauki polityczne). Losy wojenne pisarza są dość burzliwe, dostarczają mu też materiału „życiowego" transponowanego następnie w literaturę. Początkowo przebywa poeta w Kazachstanie, później w Moskwie (redaguje tygodnik „Nowe widnokręgi"). Oficer III Dywizji Wojska Polskiego dzieli trudy żołnierskiego życia, wcześniej zaś — jak sam pisze — „robi satyrę" w Sielcach nad Oką, gdzie został oddelegowany, z chwilą formowania się Wojska Polskiego. Po powrocie do kraju rozpoczyna pracę w redakcji „Rzeczypospolitej" (w Lublinie). W 1945 r., przyjeżdża do Łodzi i z tym miastem wiąże się na stałe. Był członkiem zespołu redakcyjnego „Kroniki" (1955—57), następnie zaś „Osnowy" (1970—71 redaktor naczelny).

Jan Huszcza debiutował w 1938 r., zbiorem poezji „Ballady o podróżnych". Wydał następujące tomy poetyckie: „Pamiętnik liryczny" (1945), „Wiersze" (1951), „Miłości dzień powszedni" (1957), „W kwileniu czajek" (1959), „Wiersze wybrane" (1959), „Stara pijalnia" (1968), „Rozmowy i zaklęcia" (1973), „Od starorzecza" (1978).

Przypomnijmy powieści: „Miasteczko nad Olszanką" (1948), „Telefon więcej nie zadzwoni" (1961), „Kołokwiarz" (1972), „Obrączki z kajdan" (1974), „Sęp Sybiru" (dwa opowiadania 1968).

Zbiory opowiadań: „Z dalekich dróg" (1957), „Kręgi" (1964), „Odzyskiwanie przeszłości" (1967), „Pan Gracjan i inni" (1970), „Matylda i inne opowiadania" (1974), „Piękne życie dorosłych" (1976).

Satyry: „Impertynencje" (1947), „Dożynki w Adamowie" (1953), „O ludziach i z ludźmi" (1954), „Różne nasze sprawy" (1956), „Noc przed walnym zebraniem" (1958), „Zaczarowany banknot" (1963).

Ma w swym dorobku także J. Huszcza tomy wspomnień: „Wspominki nie zawsze frasobliwe" (1960), „Opowieści w czarnych ramkach" (1979), „Zdarzenia i zwierzenia" (reportaże 1965).

Twórczość przekładowa J. Huszczy poświadczona jest takimi antologiami, jak „Moje niedźwiedzie i inne opowiadania białoruskie" (1975), „Antologia poezji białoruskiej" (1978).

Piszący o poezji Jana Huszczy zwykli podkreślać takie jej cechy, jak nastrojowość, swoisty humor z niej emanujący, humor pełen życzliwego uśmiechu wobec niedoskonałości naszej natury, umiejętne transponowanie pejzażu w poetycki obraz. Wydaje się wszakże, iż przyczyna sprawcza tych wszystkich zjawisk tkwi w zjawisku „zakorzenienia" poety w wartościach, które on sam nazywa „domem" i pojęcie to przywołuje niejednokrotnie w wierszach. „Dom" jest zaaprobowaną i przeżytą sferą wartości najbliższych, związanych nierozłącznie ze wspomnieniami młodości, białoruskich chutorów, olch i sennego uroku prowincji.

To piętno wcześniejszych doświadczeń ciąży nad poetyką Huszczy. Zdarza się, że kiedy poeta próbuje opisać krajobrazy, w których mu przyszło mieszkać lub przebywać, zawsze szuka odniesień do wcześniejszych doznań:

Choć to nie świerki, ale smreki,
Nie nad ruczajem — nad
potokiem,
Chutory budzą się dalekie,
Pąsowy w mrozie dym wysoki
(...)

Ja gór nie umiem, ani morza —
Wstawał krajobraz mój
z olszyny
I zimna nad nim lśniła zorza
W niej wczesne trwogi,
pierwsze winy.

Tak się zasłuchać w potok,
w smreki
I w lodu bryłki pod nogami —
Żeby, wróciło pod powieki
Wszystko, co w głębi kryje
pamięć
(...)
W dolinie Czarnego Potoku, tom „Od starorzecza" s. 9).

W innym wierszu to przywiązanie do „domu" zyskuje jeszcze dodatkowe motywacje:

Używam słowa dom
choć od lat mieszkam
na trzecim piętrze
w dużej kamienicy

Wyprowadzam bzy i jaśminy
zapamiętane przed wielu laty
(...)

A nie jest to przyzwyczajenie
a nie jest to stylistyka
ale potrzeba
słów świecących
śpiewu siostrzyczek
gwiazdy zarannej
(Z tomu „Od starorzecza" s. 18).

Dom, wierność miłość — to słowa przywołujące doznanie autentyczne, scalające ludzi, z poezji zaś tworzące akt międzyludzkiego dialogu: przekazywania wzajemnego nie tyle pojęć ile wartości. Ta wyraźna orientacja na odbiorcę (drugiego człowieka) jest jedną z dominant poetyki Huszczy.

Parafrazując tytuł jednego ze zbiorów: „O ludziach i z ludźmi" można by powiedzieć, że J. Huszcza pisze zawsze o ludziach i dla ludzi. Wartości wyniesione z domu rodzinnego, trochę naiwna, a przecież urokliwa wiara w to, że i w naszych niełatwych czasach słowa „siostro", „bracie" mogą zachować swoją wartość dyktują niekiedy moralizatorski ton tej poezji. Przed zbytnim mentorstwem ratuje jednak poetę „poetyckie" zdziwienie nieczułym światem, nieautentycznymi gestami i słowami „Chochołowych ludzi". Ów ton odnajdziemy w tym choćby fragmencie:

Powiedziałem do przechodzącego:
Bracie
trzeba czasem spojrzeć do góry
tam bywa księżyc
tam bywają gwiazdy
Spojrzał na mnie spode łba:
Idź pan swoją drogą
Czy ja pana zaczepiam (...)

A przecież mówi się:
Bracie
Mówi się:
Siostro

Sam to kiedyś słyszałem
(Z tomu „Od starorzecza" s. 14).

Tropi też poeta nieautentyczne zachowania, konwencjonalne i pozbawione uczuć; zachowania, których nie brakuje w naszym życiu:

Porozumieli się w kawiarni
Jestem podrywaczem
Czuję się poderwana
(...)
Między jedną a drugą
szklanką krajowego wina
doszli do wniosku, że się
kochają
Tej nocy podarowali sobie
nagość

Ale bez nie zakwitł
róże nie zerknęły ku nim
sejsmografy nie drgnęły
(Modlitwa do róż, z tomu „Stara pijalnia" s. 43).

Oczywiście ta sfera wartości warunkująca „tematologię" poezji J. Huszczy nie tłumaczy do końca specyfiki całej jego twórczości poetyckiej. Żadna twórczość bowiem nie wyrasta w kulturowej próżni i musi się w jakiś sposób orientować wobec powszechniejszych trendów współcześnie panujących w literaturze. Debiut Huszczy („Ballady o podróżnych") przypada na rok 1938, kiedy ukształtowały się już wszystkie istotniejsze stylistyczne tendencje charakteryzujące dwudziestolecie międzywojenne. Miejsce debiutu — Wilno — narzucało w sposób naturalny najbliższy układ odniesienia, jakim była katastroficzna twórczość żagarystów. W tym debiutanckim tomiku można odnaleźć ślady eschatologicznych przewidywań oraz nutę radykalizmu społecznego. Przytoczmy fragment wiersza „O ojczyźnie":

A przecież nad brukiem twoich
nieczułych miast
w zbożu smutnym pochodów
brzeczą jak baki mauzery,
nad ogniem czarnych kaszt
gasną oczy tęskniącym zecerom
wilcze oczy wśród śnieżnych
zasp —
więzieniom twoim nigdy nie
braknie żeru.

Niemniej jednak cechuje ów tom przede wszystkim „prywatność" bądź okazjonalność przyjmująca postać reportażowej niemal notacji zdarzeń z bliskiego poecie otoczenia. Okazjonalność owa jest dodatkowo podkreślona przez fakt, że wiele z wierszy opatrzył poeta dedykacjami adresowanymi do znanych mu osób.

Od początku zatem chadzał Jan Huszcza własnymi drogami. Był to outsiderym z wyboru i przezeń aprobowany, równoznaczny z obroną odrębnego sposobu poetyckiej artykulacji, celowego odcięcia się od panujących mód literackich. W tomach późniejszych określi Huszcza bliżej typ poetyki najmilszej jego sercu:

Uciekniemy w stare wiersze
w dobre wiersze z lat odległych
gdzie brzóz wiele gdzie rymami
dzwoni czas jak podkowami
a podkowy te ze złota
(„Od starorzecza", s. 20)

Odnajdujemy w tym cytowanym fragmencie charakterystyczny ton, który pobrzmiewa i w innych wierszach Huszczy. To zafascynowanie urodą świata, konkretem, barwą słowa. W innym utworze podkreśla poeta wyraźnie więź z naturą:

Co ukończyłem
Pobieżnie kilka przedmiotów
i rzekę z łachami
o brzegach w łozinie

Z języków nieobcych
znam wróbli i słowiczy
może trochę brzozowy
(...)
(Odpowiedź na ankietę, z tomu „Od starorzecza" s. 39).

Tak też należałoby odczytywać poezję Jana Huszczy: jest ona przekazem ze świata natury, niechętnie poddaje ów świat dalszym transformacjom charakteryzującym poetyki awangardowe. Obdarzony rzadkim słuchem poetyckim, umiejętnością wychwycenia „ptasich" tonów w języku poetyckim wiąże przecież Huszcza zawsze słowo z rzeczą wedle zasady wyrażonej w jednym z najpiękniejszych wierszy:

Nie opukując młotkiem słów,
gdy słowa liczą się jak rzeczy,
toczyć przez ciemne trawy snów
nie symbol, ale stal obręczy.
(Z tomu „Stara pijalnia", s. 42).

HENRYK PUSTKOWSKI

Z półki recenzenta

HŁASKO

Na tę książkę czekano z niecierpliwością. Nie tak dawno matka Marka Hłaski w wywiadzie telewizyjnym wspominała o przechowywanym u siebie rękopisie powieści noszącym tytuł „Sonata marymoncka". Powieść została napisana w czasie, kiedy Hłasko dopiero wchodził do świadomości czytelników, kiedy stawiał własny „pierwszy krok" w literaturze. Jeśli jednak opowiadania, drukowane w tygodnikach, znajdowały uznanie u krytyków, o tyle „Sonata" budziła ich poważne zastrzeżenia. Jeśli wierzyć nie sprawdzonym opiniom, powieść posiadała (niektórzy twierdzą z całą powagą, że posiadał) aż trzy wersje. Dotąd udało się odnaleźć jedną, przechowywaną przez Marię Hłasko, matkę pisarza.

Nie jest to najlepsza z książek napisanych przez Hłaskę. Mimo to nosi już znamiona tego wszystkiego, co później tak wspaniale rozwinął w powieściach wydanych za granicą. Jest w niej i smutny urok knajp, i życie kierowców: tych wspaniałych, twardych, lecz poskręcanych wewnętrznie chłopaków, są dziewczyny bez życiorysów, cwaniacy, półświatek z obrzeża wielkiego miasta. Ale tak naprawdę to jest to opowieść o Warszawie z pierwszych powojennych lat, o mieście, które ukochał ponad wszystko, i które tylekroć opisywał.

„Sonata marymoncka" jest drugą książką Hłaski wydaną w kraju od czasu wyjazdu autora za granicę. „Czytelnik" w 1976 r. opublikował jego „Opowiadania". Należy zatem sądzić, że „Sonata" jest pierwszym tomem zapowiedzianych dzieł Hłaski.

Marek Hłasko: „Sonata marymoncka", PIW 1982, Stron 174. Cena 80 zł.

WSPOMNIENIA O AKTORZE

Osiem lat temu zmarł Kazimierz Rudzki. Nie ma potrzeby przypominać w tym miejscu jego życiorysu aktorskiego ani obecności w naszej kulturze. Jak wielu twórców i odtwórców i ta śmierć pozostawiła po sobie niemożliwą do wypełnienia lukę. Każdy z następców może być nawet lepszy, ale nie będzie nigdy Kazimierzem Rudzkim.

„Czytelnik" opublikował właśnie „Wspomnienia o Kazimierzu Rudzkim" — wspomnienia jego najbliższych, przyjaciół i tych, którzy zetknęli się z tą niezwykłą indywidualnością. Jest tu także sporo listów zmarłego aktora skierowanych do znajomych, do różnych instytucji, są także jego monologi, felietony, fragmenty konferansjerek. Znalazły się też i osobiste wspomnienia-refleksje Rudzkiego związane z jego pracą w teatrach, współpracą ze „Szpilkami" itp.

Z lektury „Wspomnień" wyłania się niezwykła i witalna postać człowieka przepojonego miłością do życia, do nielekkiej pracy na scenie, do tego wszystkiego, co zwykliśmy nazywać „polskością". I choć jest to wyłącznie książka o aktorze, przecież jest to także kronika, może fragmentaryczna, zawężona, ale kronika polskiego życia teatralnego po wojnie.

„Wspomnienia o Kazimierzu Rudzkim", Czytelnik 1982, Stron 416. Cena 150 zł.

LEŚMIAN

Bohdan Zadura z ogromną starannością opracował, a Wydawnictwo Lubelskie wydało, „Poezje" Bolesława Leśmiana. Rzecz szczególna: wydawałoby się, że twórczość tego wybitnego poety winna być nieustannie w obiegu naszej kultury poprzez swoją obecność w formie książkowej. A tu, o ile dobrze sobie przypominam, dopiero w połowie lat sześćdziesiątych ukazał się zbiór jego wierszy w serii „Z pism Bolesława Leśmiana" w opracowaniu Jacka Trznadla. Na kolejny tomik (właściwie wybór) trzeba było czekać aż czternaście lat. Obecnie czytelnik otrzymuje trzeci tom (także wybór), obszerny, choć bez przypisów, za to z rozbudowanym wstępem poświęconym twórczości Leśmiana, a właściwie z refleksyjnym wyznaniem Bohdana Zadury, czym jest dla niego i jego pokolenia poezja notariusza z Hrubieszowa.

„Leśmian jest, jak na razie, poetą dla niewielu wybranych" — napisał w 1967 r. Artur Sandauer w szkicu „Poezja twórczych potęg przyrody". Otóż miał o tyle rację, że czytelnik polski nie ma dostatecznego kontaktu z tą fenomenalną lub, jak chcą inni, genialną poezją. Przypominanie jego wierszy co dziesięć lub czternaście lat nie spowoduje iż „księgi zabładzą pod strzechy". Mimo to należy z uznaniem powitać wybór zaprezentowany przez Wydawnictwo Lubelskie, tym bardziej, że nakład, jak na poezję i na nasze warunki, jest spory.

Bolesław Leśmian: „Poezje", Wyd. Lubelskie 1982, Stron 318. Cena 125 zł.

Ludzie, zwierzęta i ziemia

Dokończenie ze strony 1

gają meteorolodzy, zima przyjdzie szybko. I trzeba się śpieszyć ze zbiorami.

— *Oczywiście, zdążymy* — uzupełnia później sekretarz — *ale to niełatwa sprawa. Zobaczycie, pomagają nam robotnicy i studenci z Kijowa, bo pracy przy zbiorach warzyw nie da się zmechanizować, jak przy zbożach czy ziemniakach.*

Sowchoz „Piaskiwskij" specjalizuje się w uprawie warzyw i produkcji mleka. Sąsiedztwo wielkiego miasta i warunki glebowe niejako naturalnie określiły zadania w stosunku do możliwości i potrzeb. Przyjrzyjmy się więc wewnętrznemu mechanizmowi tego dwoistego, mleczno-warzywnego kompleksu. Niestety, bez choćby uproszczonej buchalterii się nie obejdzie.

2 **Sowchoz „Piaskiwskij" gospodaruje na około 3 tys. hektarów, zatrudnia około 650 osób i — jak na radzieckie warunki — należy do gospodarstw średnich czy wręcz małych. Jest jednak kombinatem produkcji intensywnej i wysokowydajnej. W produkcji mleka zajmuje I miejsce na Ukrainie, a w skali Związku Radzieckiego plasuje się na 3—4 miejscu. To mówi wiele, ale od tego stwierdzenia daleko do rozszyfrowania przyczyn rekordowych wyników. Odnoszę wrażenie, że czują zrozumiałą satysfakcję z tych osiągnięć, ale nie traktują ich jako coś nadzwyczajnego; planują dalszy wzrost. Stanowczo zaś oponują przeciwko sugestii, że władze są dla nich wyjątkowo hojne i ładują w ich gospodarstwo środki bez ograniczeń. W domyśle: nie jesteśmy żadnym gospodarstwem do pokazywania cudzoziemcom. Wiele jest bardzo spraw do załatwienia, na które przyjdzie im latami czekać w kolejce po środki. Nie, nie pieniądze, ale materiały i „moce przerobowe" specjalistycznych przedsiębiorstw.**

Dlaczego tak wysforował się przed innych? 34-letni Piotr Trofimowicz Mieleszko, główny zootechnik, woli jednak mówić o pracy swoich ludzi, operować faktami niż silić się na ogólne sądy. Fakt jest faktem, że prawie trzy tysiące krów rasy czarno-białej dają średnio w roku około 5,5 tys. litrów mleka, a w rejonie browarskim ich sąsiadom daleko jeszcze do czterech tysięcy. Prawdą też jest, że 16 lat temu startowali z poziomu 2 tys. litrów, aby w bieżącym roku — porównując szerzej — osiągnąć poziom produkcji mleka w Danii.

Powoli dochodzimy do sedna sprawy. W rolnictwie, zwłaszcza w hodowli, nie można liczyć na szybki postęp, ale czasu nie wolno zmarnować. A więc przede wszystkim musi następować systematyczna selekcja stada, bo sens jest wyłącznie w utrzymaniu w oborze sztuk najbardziej wydajnych. Po wtóre — liczy się jakość i odpowiednie przygotowanie paszy wzbogaconej w białko i mikroelementy, nie wspominając już o pełnej obfitości zielonek. I wreszcie, a może należało to postawić na pierwszym miejscu, *„trzeba umieć chodzić koło krowy"*. Te same krowy w rękach dobrej i złej dojarki, to różnica kilkuset litrów mleka rocznie.

Jedną z tych najwyżej ocenianych pracownic sowchozu proszę o dłuższą rozmowę. Halina Antonowna Strakacz ma 25-letni staż pracy i spracowane dłonie, które ze wzruszającą wstydliwością próbuje ukryć przed moim wzrokiem. Przeszłość wspomina niechętnie. *„Nie ma żadnego porównania"* — mówi. Do 60 roku, podobnie jak jej koleżanki, doiła ręcznie, w dziesięć lat później wprowadzono zmechanizowane zadawanie paszy. Zaczynała od wspomnianych 2 tys. litrów, by osiągnąć w 1982 roku prawie 6 tysięcy. Jej zarobki też wzrosły dokładnie trzy razy, do 350 rubli obecnie. Praca jest teraz mniej uciążliwa fizycznie, ale wymaga całkowitego zaangażowania przez cały dzień, zgodnie z cyklem dojenia i karmienia zwierząt. Ale jest to praca szanowana i honorowana. Halina Antonowna za swoje rekordowe wyniki i aktywną działalność społeczną otrzymała Order Lenina i wiele innych odznaczeń. Jest także laureatką nagrody państwowej USRR.

Wraz z mężem, Iwanem Iwanowiczem, technikiem inseminacji powodzi im się naprawdę dobrze. Cztery lata temu ukończyli budowę domu, w którym mieszkają z dziećmi. Starszy syn jest kierowcą, jego młoda żona jest także dojarką. Młodszy syn kończy służbę wojskową i na pewno wróci pracować do sowchozu. Dom kosztował ich prawie 20 tys. rubli, ale nie był to nadzwyczajny wysiłek finansowy, starczyło na wszystko: pralkę, lodówkę, telewizor, dywany. Mąż jako technik zarabia ponad 200 rubli, a z działki przyzagrodowej — jak większość sowchozników — mają dochód około 2,5 tys. rubli rocznie. Rodzina Strakaczów jest ponadto w tej dobrej sytuacji, że dobytek powiększył się o nowego „Moskwicza" bez wydatku, jako nagroda rzeczowa za kolejny rekord Haliny Antonowny. Jeśli więc mierzyć ludzkie życie skalą społecznego szacunku i osobistej pomyślności, trudno nie ucałować tych spracowanych rąk skromnej i zażenowanej mówieniem o sobie kobiety.

3 **Anatol Timofiejewicz Tarasienko jest głównym agronomem, a zarazem pierwszym wśród zastępców dyrektora sowchozu. Twarz ma ogorzałą od słońca i wiatru, żelazną kondycję fizyczną.** (Oj, dał nam w kość podczas wielogodzinnego zwiedzania swoich włości). Wysokie kwalifikacje łączy z wieloletnim doświadczeniem. O sobie, jak wszyscy, mówi z oporami.

Po studiach przechodził kolejne etapy edukacji praktycznej i dopiero osiągnięcia pchały go wyżej. Anatolij Timofiejewicz był więc kolejno brygadzistą po technikum, a następnie po ukończeniu instytutu rolnego w Białej Cerkwi agronomem, inspektorem w zarządzie dużego kombinatu rolnego (to jeszcze za N.S. Chruszczowa), a potem, to jest prawie od dwudziestu lat, trzymają się razem z dyrektorem Wołochą. Żona również pracuje w sowchozie, jest dyspozytorem, córka po technikum farmaceutycznym pracuje w pobliskich Browarach, ale myśli o dalszej nauce. I ewentualnym powrocie, bo w osadzie przewiduje się budowę apteki.

W biurze z głównym agronomem długo nie posiedzisz. Jego samochód połyka kilometry dróg i drożyn. Docieramy tam, gdzie na oko nawet na gąsiennicowym transporterze dotarcie wydaje się niemożliwe. Z samochodem trzeba jednak po ludzku, przystajemy, kiedy woda zaczyna gotować się w chłodnicy, palimy papierosy i patrzymy na tutejsze uprawy warzyw. Już jestem oswojony z sowchozowymi wielkościami, ale widok w jednym kawałku 30 (trzydziestu!) hektarów czerwonych buraczków, to dość niesamowite. Jak się porówna to z naszymi zagonkami, można usiąść z wrażenia. Ale są to zwyczajne realia wielkotowarowej, racjonalnej gospodarki. Takie są tu warunki i możliwości, i trzeba je wykorzystać.

Pod warzywa w „Piaskiwskim" przeznaczono 275 ha, w tym na owe buraczki i ogórki po 90, na pomidory 30, a resztę — czyli 75 ha — na innego rodzaju warzywa, których doliczamy się 20 rodzajów. No cóż, jak warzywnicza specjalizacja, to na serio. Tym bardziej, że na warzywa czeka Kijów. Może nie na Ukrainie, ale średnio w całym Związku Radzieckim od lat zapotrzebowanie na warzywa znacznie przekracza ich produkcję.

Warzywa to po mleku, drugi główny atut sowchozu, ale dla Anatola Timofiejewicza to tylko część zadań. Wytrzęsie z nas duszę, wszędzie jednak dowiezie, pokaże, wytłumaczy. Pod jego nadzorem są uprawy pszenicy, kukurydzy, buraków pastewnych, wszystko to, co stanowi własne, niezbędne zaplecze paszowe do wyżywienia stada.

Twarde realia radzieckiego rolnictwa nauczyły ich przede wszystkim liczenia na własne siły. Fakt, ziemia jest tu dobra, należy do strefy czarnoziemu. Jednak najlepsza ziemia sama nie rodzi i łatwo ją wyjałowić przy nieudolnej gospodarce. Na wsparcie chemii mogą liczyć częściowo, podobnie jak inne gospodarstwa: około 320 kg w czystym składniku NPK na jeden hektar. Resztę muszą uzupełnić nawożeniem naturalnym obornikiem, którego dają pod każdy hektar orki ponad 20 ton. Stąd wziął się zasadniczy przełom w wydajności zbóż. Porównajmy tylko: w 1966 roku około 16 kwintali z hektara, w 1981 roku odpowiednio 37!

4 **Walentin Ziniewicz, główny inżynier od spraw mechanizacji, najmłodszy z sowchozowego kierownictwa, pokazuje nam swoje gospodarstwo. Mechanizacja i zaplecze remontowe to nerw każdego gospodarstwa rolnego. Bez właściwej opieki nad sprzętem, bez sprawnych maszyn zawali się każdy, najlepszy nawet plan. Rzecz w tym, aby owe gospodarstwo było ruchome, na kółkach, a nie na kołkach.** Przesiedziałem w tej branży parę ładnych lat i wiem doskonale, jaka to zabawa. Na przykładzie tego wycinka działalności sowchozu widać, że jest to nadal gospodarstwo w rozwoju. Plac pod maszyny dopiero co utwardzony, skromne zaplecze warsztatowe w adaptacji. Zasadą, podobnie jak u nas, jest ścisła współpraca z rejonowym, specjalistycznym przedsiębiorstwem remontowym. Tam wykonuje się remonty kapitalne i poważniejsze naprawy, również ekipy tego przedsiębiorstwa sprawują opiekę gwarancyjną. Rzecz dziwna, ale narzekań na współpracę nie słyszę. W sumie jednak musi to być opieka skuteczna, bo jak z prostych wyliczeń wynika, sprzętu (m. in. 8 kombajnów i 50 traktorów) nie jest za wiele, nie ma nadwyżek i możliwości, żeby jakaś maszyna nie zrobiła swego i mogła sezon przestać w pokrzywach. O tym świadczą już ogólne wyniki, po prostu inaczej nie udałoby się ich osiągnąć.

W gospodarstwie Ziniewicza zauważamy też akcenty współpracy gospodarczej państw RWPG. Jest mianowicie kilka maszyn NRD, chwalono polskie kosiarki do sprzętu zbóż i mówiono o pomyłce z kombajnem ziemniaczanym, który nie nadaje się do eksploatacji w tutejszych warunkach glebowych. Natomiast bardzo dobrze spisuje się, działająca bez awarii od 6 lat, polska wytwórnia granulatu o wydajności 10 ton na dobę doskonałej, wygodnej w przechowywaniu paszy. Ta mała fabryczka typu SB15 z napisem „Made in Poland" sprawiła mi jakby osobistą satysfakcję.

5 **Najokazalszą budowlą z białej cegły jest szkoła. 10-latka powstała w roku 1970. Sam fakt, że wybudowano ją ze środków sowchozu od razu wprowadza w temat: szkoła i jej związki z przedsiębiorstwem.**

Przedstawia nas dyrektor Nikołaj Sawwicz Buźnik. Dzieci recytują ukraińskie i rosyjskie wiersze, popisują się swoimi świeżo zdobytymi umiejętnościami w kółku muzycznym.

Musimy dokładnie obejrzeć wszystko: salkę pamięci, bibliotekę z 10 tys. książek, gabinety specjalistyczne, klasy do nauki wyposażone w pomoce naukowe i miejsce rekreacji. Wszędzie wzorowy porządek i należyte wyposażenie.

Większość absolwentów pozostaje na miejscu i stanowi podstawowe zaplecze kadrowe sowchozu, powodując, że kombinat rolny staje się coraz bardziej gospodarstwem „rodzinnym".

Taka funkcja szkoły w znacznym stopniu została z góry zaprogramowana. Młodzież zdobywa tu ogólną wiedzę, łącznie z podstawami języka niemieckiego i angielskiego, może rozwijać swe zainteresowania muzyczne dzięki istnieniu filii browarskiej szkoły muzycznej, ale także w dwóch ostatnich klasach przygotowuje się do rolniczego zawodu. Chłopcy uczą się na mechaników i traktorzystów, dziewczęta zdobywają kwalifikacje pracownic ferm hodowlanych. Zajęcia praktyczne odbywają się, rzecz jasna, w sowchozie pod nadzorem nauczycieli i specjalistów. W okresie zbiorów i pielęgnacji roślin w polu pracują także młodsze klasy i jest to pomoc całkiem niebagatelna (np. brygady młodzieżowe w 1982 roku objęły dwukrotną pielęgnacją 50 ha buraków). Zasada łączenia nauki, wychowania poprzez pracę jest więc potraktowana poważnie i przynosi wszechstronne korzyści. Sowchoz dba o szkołę, np. corocznie z wybudowanych mieszkań jedno—dwa przeznacza dla nauczycieli, wspomaga w każdy inny sposób finansowo i rzeczowo, ale szkoła jest tak ukierunkowana, aby służyć bezpośrednio lub pośrednio kombinatowi. Taki układ wydaje się i naturalny, i najbardziej racjonalny w istniejących warunkach.

6 **W Kijowie jest wszystko: opera, teatry, kina, muzea, wystawy i nie ma absolutnie żadnego problemu, by z tej obfitości dóbr kultury korzystać. Są pieniądze, autokary, własne samochody, a odległość w tutejszym pojęciu znikoma.**

Życie kulturalne sowchozu ma jednak swój własny, codzienny wymiar, niezależnie od położenia i odległości od metropolii. Jest więc na miejscu dom kultury. Kieruje nim Borys Gorbaczenko, chłopięcy z wyglądu, ale już z siedmioletnim stażem.

Cztery razy w tygodniu kino, zabawy, konkursy, organizacje zwyczajowych uroczystości (np. pożegnanie poborowych), sekcje zainteresowań, spotkania z artystami i pisarzami. Nic tu na wyrost ani na pokaz, robią to wszystko, co potrzebne i co im sprawia przyjemność.

W bocznych salkach domu kultury znajduje się biblioteka, którą od 25 lat kieruje sympatyczna Swietłana Pietrowna Fesenko. Księgozbiór nie jest wielki, kilkanaście tysięcy woluminów, ale około 700 stałych czytelników i 17 tys. wypożyczeń w roku, co, uwzględniając indywidualne zakupy książek, daje stary i znany już obraz rozczytania, a nawet kultu książki ludzi Kraju Rad.

Tropię w tym księgozbiorze polskie ślady i z przyjemnością oglądam zaczytane książki Orzeszkowej, Reymonta, Iwaszkiewicza, Parandowskiego, Paukszty. Zawsze to człowiekowi miło, że gdzieś tam w świecie ta mała cząstka naszej literatury jest obecna i żywa.

Swietłana Pietrowna nie podziela jednak naszego zadowolenia. Ma za mało miejsca na nowe książki, ale liczy, że sytuacja się zmieni po wybudowaniu całkiem nowego kompleksu kulturalnego.

Nie zasklepia się wśród swego skromnego gospodarstwa, jest radną wiejską, ławnikiem sądowym, udziela także ślubów. W tym roku dała ich już 23 i śmiejąc się mówi, że ma „dobra rękę". Łączy w pary młodych ludzi, ale rozwodów swoich nowożeńców nie pamięta.

7 **Wybieramy się z wizytą do Lidii Stiepanowej i Piotra Iwanowicza Topichów. Po drodze sekretarz Pogoriełyj namawia nas, by zajrzeć na budowę domu Filipa Ignaczenki. Może go akurat zastaniemy? Jest. Młody chłopak, którego poznaliśmy w sowchozowym biurze jako przewodniczącego związku zawodowego. Częstuje arbuzami z przyzagrodowej działki. Siedzimy na deskach we wnętrzu domu, który jest jeszcze w stanie surowym.**

Filip jest technikiem. Wraz z teściem każdą wolną chwilę spędzają na budowie. Dzięki temu koszt budowy nie powinien przekroczyć 10 tys. rubli, a więc daleko mniej niż w innych, relacjonowanych mi przypadkach. Widzę gdzieś w kącie żeliwne kaloryfery, ale i już gotową „budowlę" typowego ukraińskiego pieca. Dziwię się temu, a wszyscy się śmieją. Tradycja — pytam — przyzwyczajenie, asekuracja, względy praktyczne? — *Wszystko po trochu* — z udaną powagą wyjaśnia nasz kierowca Filon — *ale tradycyjny piec jest najlepszą gwarancją życia uczuciowego małżonków i powiększania się rodziny.*

Dom Topichów jest typowy, obszerny, zadbany i urządzony w każdym szczególe. Gospodarz jest brygadzistą w sowchozie, żona pracuje w księgowości. Nie bez dumy pokazują swój dobytek, meble z importu, ściany obwieszone dywanami. Tylko pokoje na piętrze są jeszcze urządzone prowizorycznie. Przyjdzie i na nie kolej, gdy dzieci dorosną i pożenią się. W takich warunkach można realizować model rodziny wielopokoleniowej: dziadkowie, dzieci, wnuczęta. Nic tu nie stoi na przeszkodzie, włącznie z powszechną praktyką, by nie szukać szczęścia w świecie, a stawać do pracy obok dziadka, ojca, brata, gdzie jest najbliżej, swojsko i bezpiecznie.

Mieszkanie w bloku wielorodzinnym nie jest tu problemem. Na własny dom nie wszyscy piszą się od razu, niektórzy wolą wpierw dorobić się samochodu i to u młodszych jest zrozumiałe. Inni mierzą na własne mieszkanie i nie jest to tylko marzenie. Trzeba jednak wpierw wykazać się pracą, zawodową solidnością i postawą w życiu. Wtedy nie ma problemu z działką, z pomocą sowchozu w materiałach i kredytach, a nawet fachowym wykonawstwie. Bez pomocy sowchozu, w warunkach ograniczonych możliwości zakupu materiałów, budowa jest praktycznie niemożliwa.

8 **Piotr Fiedosiejewicz Wołocha pochodzi z tych okolic. Nosi popularne tu nazwisko.** — *Co trzeci to Wołocha* — żartuje. Wywodzi się z chłopskiej rodziny. Ojciec był traktorzystą, zginął w 1942, w czołgu. Piotr był jedynakiem, matka, robotnica w kołchozie, wcześniej przeszła na rentę inwalidzką. Po 16-latce musiał iść do pracy. Zaczepił się w budownictwie, ale szybko podjął zaoczne studia. Oczywiście rolnicze, wydział mechanizacji i elektryfikacji. Przeszedł do bliższej mu zawodowo pracy, w stacji maszynowo-traktorowej, zaczynając od pomocnika brygadzisty, a potem mechanika. Po ukończeniu drugiego fakultetu, ekonomii rolnictwa, został głównym inżynierem w „Zorii", a w 1966 roku najmłodszym dyrektorem naczelnym w kijowskiej obłasti. Miał wtedy 27 lat i zaczynał tworzyć sowchoz najdosłowniej od zera, od budowy dróg, stołówki i hotelu dla pracowników, od pierwszych pomieszczeń dla inwentarza, gdyż obecna wieś po zniszczeniach wojennych długo była tylko punktem na mapie. Z pożogi ocalała drewniana cerkiew i jedna zagroda, gdzie zakwaterowało się na kilka lat kierownictwo sowchozu. Teraz, to wszystko co widzimy, w 90 proc. powstało po 1966 roku.

Jak wygląda przeciętny dzień dyrektora? Latem od 7 do 21, zimą od 8 do 20 (z przerwą obiadową) szczelnie wypełniony harmonogramem zajęć. Piotr uważa, że inaczej nie można, nie wyobraża sobie innego życia. To już nie praca w sowchozie, lecz jakby życie dla pracy, życie pracą, co jest już moim komentarzem. Ale to wszystko przynosi zawodowy sukces, pozycję społeczną i odpowiednio wysoki standard życiowy. Dom, samochód, zarobki w granicach 600 rubli miesięcznie, z dodatkiem za stopień kandydata nauk. No i, oprócz wielu innych odznaczeń, dwa Ordery Lenina. Życie osobiste, siłą rzeczy, schodzi na drugi plan, ale i tak można pozazdrościć. W domu i zagrodzie (jak wszyscy ma działkę przyzagrodową i swój inwentarz) gospodarują matka i żona-nauczycielka; córki obecnie studiują medycynę na I i VI roku. Obie są prawdziwą dumą ojca, średnie szkoły ukończyły ze złotymi medalami, na studiach też radzą sobie świetnie. Czy tutaj wrócą z lekarskimi dyplomami? Może chociaż jedna?

9 **Wyjeżdżam z żalem, jaki zawsze towarzyszy pożegnaniom z ludźmi, których się polubiło, których ceni się za godną postawę i twórczą pracę. I z nadzieją, że może będzie okazja do powrotu za kilka lat.**

JERZY WAWRZAK

Niszczą bez powodu

Jest to najbardziej tajemnicza ze wszystkich plag współczesnego świata. Bardziej ślepy niż terroryzm, bardziej uniwersalny niż inflacja, bardziej dotkliwy niż deficyt ubezpieczeń społecznych, bardziej kosztowny niż import magnetowidów (do wyświetlania w warunkach domowych wideokaset w odbiornikach telewizyjnych — red.), bardziej bezużyteczny niż jogging (bieganie, odpowiednik naszej ścieżki zdrowia — red.), wandalizm trapi bez powodu społeczeństwa zachodnie, które nie rozumieją nic z tego wszystkiego. Był już najwyższy czas, żeby specjaliści międzynarodowi — nie sami wandale, lecz psycholodzy i socjolodzy — zebrali się na uczonym kolokwium i zbadali ten fenomen oraz porównali jego przejawy w różnych krajach. Międzynarodowe kolokwium na temat wandalizmu odbyło się pod koniec października 1982 r. na Uniwersytecie René Descartes w Paryżu, z udziałem 80 wybitnych osobistości i przy pomocy Fundacji Forda. Od tej pory wandalizm, najdobitniejszy przejaw niezdyscyplinowania, stał się dyscypliną uniwersytecką i zdefiniowano go następująco: „Szkody wyrządzone świadomie dobrom, bez motywacji ekonomicznej".

Do diabła: Bezsensowny akt! Zjawisko nie poddaje się logice kupieckiej. Trzeba było wykląć to zjawisko, postawić znowu z głowy na nogi zachodni kartezjanizm, a tymczasem, dzięki naukowcom zgromadzonym w Paryżu, wandalizm został suto wyposażony w racjonalne wyjaśnienia. Co za czasy! Tak więc dr Howard Phillips z Ohio State University przypomina częsty wpływ alkoholu bądź narkotyków na winnych aktów wandalizmu.

Claude Levy-Leboyer z Uniwersytetu René Descartes zauważa, że niszczy się przede wszystkim nowe elementy wprowadzone do krajobrazu, zanim ludzie przyzwyczają się do nich, mówi o „oporze wobec zmian" Charlotte Nilsson, socjolog z Uniwersytetu z Lund (Szwecja), odkrywa u młodych wandali — niemal wyłącznie mężczyzn — potrzebę potwierdzenia swojej męskości. Ocenia ona, że ich akty stanowią rekompensatę za brak innych rozrywek, wyciągają oni wniosek, że społeczeństwo byłoby znacznie bardziej zainteresowane zapłaceniem biletów do kina dla młodych próżniaków, niż naprawianiem wyrządzonych przez nich szkód.

KONCERT NA PŁYTY CHODNIKOWE

Vernon L. Allen z Uniwersytetu Wisconsin idzie znacznie dalej i wyraża otwarcie pogląd, że wandalizm jest „doświadczeniem estetycznym", które dostarcza „pleasure and enjoyment" (zadowolenia i radości — red.). Żeby zrozumieć ten „hedonistyczny wymiar wandalizmu" prof. Allen, oprócz ankietowania wandali, uciekł się do doświadczeń: umożliwiając demolowanie i demolując własnoręcznie wiele rzeczy w swoim laboratorium mógł dojść do prawdy, że „szczątki rozbitego przedmiotu dostarczają tym więcej radości, im obiekt jest bardziej złożony, nowy, bardziej niepojęty, bardziej symetryczny", itd. Potwierdza to, że prawa, doświadczenia zmysłowe i czynniki psychologiczne estetyki mają jako takie zastosowanie w przypadku wandalizmu. Vernon L. Allen kładzie nacisk na stronę muzyczną: wandale, bardzo wrażliwi na „aspekty słuchowe niszczenia", są — nie wiedząc o tym — Mozartami, którzy improwizują za pomocą klucza francuskiego symfonie na automatycznych dystrybutorach (urządzenia sprzedające, po włożeniu odpowiedniej monety, wiele towarów — red.), wykonują potężne koncerty na płyty chodnikowe i witryny, albo też tworzą delikatne wariacje ze szmerów, jakie wywołują ich noże tnące obicia siedzeń w metrze.

Oczywiście, nie wszyscy wandale są takimi samymi purystami. Gabriel Moser z Laboratorium Psychologii Społecznej Uniwersytetu Paris-V, który długo obserwował użytkowników kabin telefonicznych, stwierdza, że w przypadku uszkodzenia „czas poświęcony przez klienta na demolowanie aparatu jest średnio trzy razy dłuższy, kiedy uszkodzony telefon nie chce na dodatek zwrócić wrzuconych monet". Miłość do sztuki nie tłumaczy więc wszystkiego i istnieje swojego rodzaju logika eskalacji w zachowaniu sfrustrowanego wandala. Przynajmniej w Paryżu, gdzie „prawie wszyscy obywatele — niezależnie od wieku, płci, wyglądu zewnętrznego, itd. — walą gwałtownie w aparat, kiedy połyka on pieniądze", podczas gdy na prowincji „zachowanie (gwałtowne czy nie) nie jest funkcją typu uszkodzenia (połknął bądź nie połknął monety)".

SPOSÓB BYCIA MĘŻCZYZN

Jak z tego wynika, wandalizm telefoniczny jest najlepiej zbadany, bez wątpienia dlatego, że chodzi o najpowszechniejszy przejaw plagi i jedynie kraje pozbawione publicznych kabin telefonicznych mogłyby uważać, że jej uniknęły. Ponosi się więc straty wszędzie, nawet w Szwajcarii, gdzie — jak mówi Kaj Noschis, na Politechnice w Lozannie „co druga kabina telefoniczna jest niszczona każdego roku, co powoduje średni wydatek 40 franków szwajcarskich na każdy istniejący aparat". Rekord należy jednak do Wielkiej Brytanii, gdzie — jak przyznaje sam British Telecom — częstotliwość wandalizmu jest cztery razy większa niż we Francji.

Inna specjalność brytyjska to „football hooliganism", czyli zniszczenia spowodowane na stadionach i w ich otoczeniu przez hordy niezadowolonych kibiców — „agresywny sposób bycia mężczyzn", który — mówi szczypiąc się w nos prof. Dunning z Uniwersytetu w Leicester — charakteryzuje przede wszystkim „pewną część klasy panującej", może więc być złożony na karb „składu społecznego tłumów przychodzących na stadiony".

Faktem jest, że typowemu wandalowi — prawie zawsze młody mężczyzna, ubogi i działający w grupie — brakuje ciepła rodzinnego i mieszka on najczęściej w budynkach HLM (francuskie określenie mieszkań spółdzielczych w blokach — red.), toteż wandalizm kieruje się przede wszystkim przeciwko otoczeniu zamieszkanemu przez zbiorowiska w wielkich kompleksach mieszkalnych. Świadczy to o negatywnej postawie wobec narzuconego otoczenia, z którym nie następuje integracja, więc chce się na nim odcisnąć negatywne piętno, gdyż nie ma możliwości ukształtowania go w inny sposób.

Foto: M. Zajdler

Wiliem Van Vliet z Uniwersytetu Pensylwania następująco zdefiniował, opierając się na konkretnych badaniach w terenie — miejsca najbardziej narażone, prawdziwy raj wandalizmu: „Przestrzeń o charakterze półpublicznym, jak wspólne części wielkich kompleksów mieszkalnych, które nie należą do nikogo, gdzie natomiast obcy przechodzień trafia się rzadko, co daje względny spokój niszczycielom". Środek zaradczy wypływa z następującej konstatacji: żeby zapobiec wandalizmowi trzeba zlikwidować to nieludzkie środowisko, gdzie nikt nie czuje się u siebie. Czyż więc największym wandalizmem nie jest tworzenie tego środowiska?

FABIEN GRUHIER
(„Le Nouvel Observateur")

Zwrócić tam, skąd zabrano

W czerwcu 1982 roku młody meksykański prawnik opuścił Bibliotheque Nationale w Paryżu z ukrytym pod swym poncho rękopisem azteckim z okresu prekolumbijskiego. Jakiś czas potem zatrzymany w swym ojczystym kraju, oświadczył, że chciał po prostu, aby przedmiot zaliczający się do dziedzictwa narodowego znalazł się z powrotem na właściwym miejscu, po wiekach przetrzymywania go bezprawnie przez obcych.

Ten szczególny akt przywrócenia posiadania, który przyciągnął uwagę prasy francuskiej i meksykańskiej, jest jedynie jedną z coraz liczniejszych prób odzyskania przez kraje Trzeciego Świata niezliczonych skarbów sztuki i zabytków archeologicznych rozsianych po muzeach i kolekcjach w krajach rozwiniętych, które zagarnęły je w ciągu wieków panowania kolonialnego lub w drodze przemytu w najnowszych czasach.

Zdaniem niektórych ekspertów, British Museum w Londynie, Luwr w Paryżu i wiele innych tego rodzaju placówek w Stanach Zjednoczonych, Niemczech, Japonii i innych bogatych krajach znajduje się w coraz bardziej kłopotliwej sytuacji, gdyż nagromadziły większą ilość przedmiotów należących do spuścizny kulturalnej krajów Trzeciego Świata, niż posiadają one same.

Obecnie, kiedykolwiek dochodzi do spotkania między szefami państw uprzemysłowionych i rozwijających się można z dużym prawdopodobieństwem powiedzieć, że rozmowy dotyczą w równym stopniu odzyskania dzieł sztuki i zabytków kultury co handlu i problemów geopolitycznych. Jednym z takich przykładów jest wizyta byłego premiera Francji, Raymonda Barre'a w Iraku, w czasie której omawiał kwestię dostaw i cen ropy naftowej, ale też został powiadomiony przez prezydenta Saddama Husajna, że Bagdad równie chętnie chciałby rozmawiać na temat zwrotu liczącego 3 tysiące lat Kodeksu Hammurabiego.

Krucjata na rzecz powrotu dzieł sztuki do krajów ich pochodzenia przybrała na sile dzięki staraniom Organizacji NZ do Spraw Oświaty, Nauki i Kultury (UNESCO) w Paryżu. Organizacja patronuje międzynarodowemu traktatowi w sprawie zwrotu „własności kulturalnych". Jednakże traktat ratyfikowała zaledwie garstka krajów. Przypuszczalnie bardziej skutecznie działają komitety, które stały się grupami nacisku popierającymi wysiłki poszczególnych krajów, zmierzające do odzyskania zrabowanych skarbów.

Prawdopodobnie jednym z głównych obiektów tej piekącej urazy na linii Północ-Południe jest Muzeum Brytyjskie w Londynie dosłownie zapchane dziełami sztuki z krajów Trzeciego Świata. Ocenia się, że znajduje się tam około 90 tys. wytworów ludzkiej ręki. Niedawno otwarta wystawa pt. „Skarby starożytnej Nigerii" zawiera rzeźby z brązu będące przedmiotem roszczeń Beninu. Przedmioty te zostały wywiezione w 1897 roku przez brytyjską ekspedycję karną, która dokonała inwazji na Nigerię, częściowo dlatego, by Anglicy mogli pokryć koszty wojny. Nigeria zwróciła się z prośbą o przekazanie niektórych rzeźb, lecz spotkała się z odmową. Były prezydent Pakistanu, Ali Bhutto, wystąpił ze swej strony z żądaniem zwrotu słynego diamentu Kohinoor, obecnie najcenniejszego kamienia szlachetnego zdobiącego koronę brytyjskiej królowej Marii. Również bez powodzenia. Do sporu między Północą a Południem przyłączyła się też grecka gwiazda filmowa, Melina Mercouri, pełniąca w swym kraju urząd ministra kultury, domagając się, aby British Museum zwróciło Grecji starożytne Marmury Elgina.

Marmury Elgina, to zbiór starożytnych rzeźb i inskrypcji greckich wyrwanych w latach 1801—03 z budowli ateńskich na polecenie lorda Bruce'a Elgina, wówczas ambasadora brytyjskiego w Konstantynopolu. W 1816 roku został zakupiony przez British Museum. Do najcenniejszych zabytków w tym zbiorze należą, m.in. posągi, metopy i płyty fryzu Partenonu, posąg Kory z Erechtejonu i fryz ze świątyni Nike. W wywiadzie dla londyńskiego dziennika OBSERVER (z 19 grudnia 1982 r.) dyrektor British Museum, David Wilson, powiedział, że w W. Brytania musi przeciwstawić się tego rodzaju żądaniom greckim. Jego zdaniem, dekompletowanie zbiorów byłoby początkiem końca muzeum, jako międzynarodowej instytucji kulturalnej.

Przedstawiciele różnych muzeów twierdzą, że w krajach Trzeciego Świata nie ma odpowiednich warunków i fachowców, którzy mogliby utrzymywać w należytym stanie odzyskane dzieła sztuki. Ponadto wskazują, że niektóre dzieła zwrócone prawowitym właścicielom zostały sprzedane na międzynarodowym rynku sztuki. W czasie zorganizowanego niedawno w Londynie seminarium poświęconego temu zagadnieniu, przewodniczący jednej z grup UNESCO, Salah Stetie, oświadczył:

„Oczywiście nie twierdzimy, że wszystkie dzieła powinny być zwrócone krajom, z których pochodzą. Byłoby to całkowicie nierealne. Chodzi nam o przekazanie kilku obiektów, które mają zasadnicze znaczenie dla tradycji danego kraju. Kilka obiektów spośród tysięcy, jakie znajdują się w muzeach krajów zachodnich".

Jako przykład podał trzy najstarsze egzemplarze Koranu, przetrzymywane w krajach niemuzułmańskich oraz dzieła sztuki z Beninu.

Chociaż wiele dyskusji na ten temat nie przyniosło żadnych wyników, niektóre dawne mocarstwa kolonialne i inne kraje zwróciły bezcenne przedmioty krajom ich pochodzenia. Na przykład Belgia przekazała swej byłej brytyjskiej kolonii, Zairowi, część bogatych zbiorów sztuki kongijskiej. Holandia zwróciła Indonezji niektóre dzieła sztuki. Jednakże przywódcy krajów Trzeciego Świata, rządy oraz liczne publikacje wskazują, że problem ten jest ważnym elementem dialogu z krajami rozwijającymi się. Zdaniem większości ekspertów, sprawa ta nabierze większego znaczenia w przyszłości.

DAVID FOUQUET
(„The Christian Science Monitor")

W Ugandzie giną słonie

Karabin AK-47, niegdyś symbol afrykańskich walk o niepodległość i rewolucji wyzwoleńczych, służy obecnie jako narzędzie zagłady słoni, grożąc ich całkowitym wyniszczeniem w niektórych krajach Afryki.

Najbardziej jaskrawym tego przykładem jest Uganda, gdzie w wyniku długotrwałej wojny i ogólnego chaosu broń stała się powszechnie dostępna, co sprawiło, że spośród 9 000 słoni, które niegdyś żyły w południowej części Narodowego Parku Murchison Falls nad brzegiem Nilu — pozostało tylko 20.

— W latach sześćdziesiątych i w początkach lat siedemdziesiątych nie przypuszczaliśmy nigdy, że przeciwko słoniom będzie używana broń automatyczna — mówi Ian Douglas-Hamilton, ekspert zajmujący się problemami słoni. — Dla nas to był jedynie scenariusz jakiegoś horroru.

Jak twierdzi Hamilton, amatorzy kości słoniowej zabijają co roku 50 tys. do 150 tys. słoni. Jego zdaniem, obecnie jest już tylko milion tych zwierząt na kontynencie afrykańskim.

Największe spustoszenie wśród słoni poczyniono w Ugandzie, jakkolwiek w Zairze, Zambii i Kenii też notuje się znaczne straty. W okresie od 1970 do 1980 roku zniszczono 90 proc. słoni ugandyjskich, co zmniejszyło pogłowie w tym kraju z 30 000 do 2.000. Frank Poppleton, konserwator brytyjski, który kieruje programem ONZ do walki z odstrzałem słoni w Ugandzie, mówi, że zgodnie ze spisem przeprowadzonym w okresie od czerwca do września 1982 roku, stan pogłowia słoni „ustabilizował" się na poziomie 2.000 sztuk.

Ian Douglas-Hamilton, który w roku 1980 sporządzał spisy twierdzi, że widział wówczas więcej słoni martwych niż żywych. W tym roku nie widział żadnych szkieletów, co wskazywałoby, że istotnie odstrzał się zmniejszył. Jak mówi Frank Poppleton, sprawiły to dwa czynniki: działalność rządu, który pragnie rozwijać turystykę, i w tym celu stara się ochraniać słonie oraz realizacja programu ONZ, dzięki któremu w każdym z trzech ugandyjskich parków stacjonują obecnie 100-osobowe grupy strażników leśnych. Na program ten przeznaczono jeden milion dolarów.

W Ugandzie problem zagłady słoni występuje ze szczególną ostrością, bowiem za każdy funt kości słoniowej można dostać za granicą ponad 30 dolarów, a kły wielkich słoni ważą niekiedy 200 funtów. W przeszłości stada słoni były dwukrotnie przetrzebione przez armię Idi Amina, początkowo przez wyższych oficerów, którzy zorganizowali sobie lukratywny handel kością słoniową, a następnie przez żołnierzy, którzy uciekli do Sudanu i Zairu, po obaleniu Amina w 1979 roku. Później masowo zabijali słonie żołnierze armii tanzańskiej i ugandyjskiej Armii Wyzwolenia Narodowego.

Park Narodowy w Kidepo, którego północna część graniczy z Sudanem, jest jedynym parkiem, gdzie pobieranie kości słoniowej nie podlega kontroli. Obecnie jednak sytuacja nieco się polepszyła, gdyż ustały walki między ugandyjskimi strażnikami leśnymi a wojskiem sudańskim. Aż do grudnia 1981 roku patrole żołnierzy sudańskich systematycznie penetrowały park w poszukiwaniu kości słoniowej. Gdy wezwano na pomoc armię ugandyjską, Sudańczycy zabili dwóch żołnierzy ugandyjskich i jednego strażnika. Później, z kolei żołnierz sudański zginął w zasadzce zorganizowanej przez strażników. Na początku 1982 roku incydenty ustały dzięki dyplomatycznym wysiłkom Stanów Zjednoczonych, które są głównym dostawcą broni do Sudanu. Jak poinformował Ian Douglas-Hamilton, strażnicy i żołnierze sudańscy organizują regularne spotkania, aby uregulować sporne problemy.

Zanim Idi Amin objął władzę w Ugandzie, parki tego kraju były samowystarczalne dzięki dochodom z turystyki. W 1970 roku park Murchison Falls odwiedziło ok. 60 000 turystów zagranicznych. W 1981 roku było tylko niespełna 8 tys. zwiedzających, przy czym większość stanowili Ugandyjczycy. Jak powiedział Fred Kayanja, przewodniczący Urzędu Parków Narodowych, turyści zagraniczni powrócą, gdy całemu krajowi — w tym także słoniom — zapewnione będzie bezpieczeństwo. — Moim zdaniem — twierdzi Kayanja — najgorsze mamy za sobą. Odwiedziłem wszystkie trzy parki i widziałem małe słoniątka. Przedtem nigdy się ich nie spotykało.

Straty są jednak ogromne. W kalendarzu ugandyjskiego towarzystwa lotniczego Uganda Airlines na rok 1982 można było zobaczyć wizerunek dwóch potężnych słoni o kłach ważących ponad 100 funtów. Taki obrazek byłby aktualny w 1972 roku. Dzisiaj bowiem w Ugandzie takich słoni już nie ma.

JAY ROSS
(„The International Herald Tribune")

W kręgu fantastyki

STAR CLUB

Moje przygody ze zwierzętami

ZBIGNIEW BAJERLEJN

Poniższe opowiadanie jest właściwie debiutem prasowym Zbigniewa Bajerlejna, miniaturki „Rozwiązanie" tego autora, możemy właściwie nie liczyć. Nie dysponujemy niestety danymi biograficznymi autora, dlatego też notkę o nim zamieścimy przy okazji publikowania kolejnych opowiadań.

„Moje przygody..." trudno zaliczyć do SF. Jeśli już, to do Fantasy, i to niezupełnie. Jest to coś, co znajduje się na pograniczu fantastyki i baśni. Typowy motyw katastrofy atomowej, bardzo często w fantastyce spotykany oraz powstające na jego skutek mutacje wśród zwierząt — są tu pretekstem do rozwoju czysto bajkowego wątku. Bardzo ciekawe, pozostawiające wiele możliwości interpretacji jest zakończenie opowiadania. Jeśli autorowi nie zabraknie pomysłów i będzie dalej doskonalił swój warsztat, to sądzę, że będzie często gościł na naszych łamach.

MD.

Wcale nie przypadkiem trzy miesiące po ostatniej katastrofie atomowej były dla mnie okresem rozpaczy i — co tu ukrywać — kompletnego zagubienia. Zostałem sam, opuszczony, nie bardzo wiedząc, czym się zająć. Włóczyłem się po świecie, po wyludnionych całkowicie drogach i miastach szukając środków do przeżycia. I oczywiście kogoś podobnego do mnie. Nie powiodło mi się z tym ostatnim. Zrezygnowany, osiadłem w starej, podupadłej chacie w lesie. Tak rozpoczęło się moje nowe życie.

Stary las. Drzewa liściaste i iglaste, mocno przemieszane. Mimo jednak dużych nieregularności ponad wszelką wątpliwość w powstanie mego obecnego otoczenia wmieszał się kiedyś człowiek. Żaden z twórców tego lasu dawno już nie istniał.

Chałupka na polanie, nowe mieszkanie, zaskoczyło mnie. Znalazłem tu ogromne zapasy żywności i wszelkiego dobra. Pozostawił je ktoś być może w przewidywaniu klęski. Było nie było, miałem zaopatrzenie przynajmniej na kilka najgorszych miesięcy. Ale pozostałem sam. Szkoda.

Po roku, któregoś jesiennego popołudnia na progu obejścia przykucnął wyjątkowej okazałości zając. Stałem właśnie przy studni, kiedy go dostrzegłem. Przełknąłem ślinę. Szykował się dobry obiad złożony ze świeżego mięsa! Gdyby tak tylko przybyły zdecydował się przekroczyć skromne progi mojego domostwa. Zniknęłyby problemy z ujęciem go. Stałem spokojnie nie wykonując najmniejszego ruchu. Wiatr mi sprzyjał — bezpośredni zapach człowieka nie dotarł do zwierzęcia.

Długo i cierpliwie czekałem. Zając postawił wysoko słuchy, rozejrzał się i niespiesznie wkicał przez otwarte drzwi do środka. Nie myślałem wiele. Z wolna starając się stąpać jak najciszej, ruszyłem w kierunku chałupy.

A więc jesteś mój, kochanie — pomyślałem. Ostatnie dwa metry przebyłem błyskawicznie. Zatrząsnąłem drzwi i przebadałem uważnie przedsionek: gościa tu nie było. Musiał wejść dalej.

— Jeszcze lepiej — szepnąłem.

Był w kuchni. Jednak to, co ujrzałem, wydało mi się nieprzyjemnym snem. Siedział na stołku, olbrzymi, dwumetrowy i z ciekawością w spojrzeniu badał pomieszczenie. Przestałem myśleć o jedzeniu. W miejsce sygnału głodu w mózgu pojawiła się chęć ucieczki. Lecz jak tu uciec skoro przeciwnik wygląda na znacznie szybszego? Zamarłszy z przerażenia czekałem, co będzie.

Tymczasem zając dojrzał mnie.

— Cześć, stary. Jestem Szarak — odezwał się niespodziewanie jak najbardziej po człowieczemu. — Nie masz tu gdzieś główki kapusty?

Zdębiałem dokładnie. Wydobycie z siebie głosu było niemożliwością. Skinąłem tylko głową.

— Wspaniale — stwierdził Szarak. — Nie masz pojęcia jak dawno nie jadłem kapusty. Jeśli możesz, poczęstuj.

Otrzeźwiło mnie to „poczęstuj"! Jak nakręcony uniosłem klapę w podłodze i zszedłem po drabinie do piwnicy. Pozostało jeszcze parę główek z tegorocznych zbiorów w ogródku przydomowym, nie licząc tego, co poszatkowałem i ukisiłem w małej beczułce. Chwyciłem pierwszą lepszą i wspiąłem się z powrotem.

— Proszę — wyjąkałem i położyłem warzywo przed zającem.

— Dziękuję — mruknął i z namaszczeniem zabrał się do jedzenia. Zafascynowany, spojrzałem szeroko otwartymi oczyma. Strach w jakiś niepojęty sposób opadł ze mnie, choć zając wydawał się potwornie wielki i okazałością przypominał niedźwiedzia.

Skończywszy posiłek najnormalniej w świecie zmniejszył rozmiary do połowy, oblizał się i podziękował kilkakrotnie. Potem powiedział:

— Skoro już jestem, winienem przedstawić ci prawa i obowiązki lasu. To ważne, abyś nie popadł w konflikt z sąsiadami...

— A więc i ja będę miał jakieś obowiązki? — spytałem naiwnie.

Zając roześmiał się szeroko.

— Ależ oczywiście — rzekł, — A cóż ty myślałeś? Nie jesteś udzielnym księciem, a co najwyżej wolną istotą, jak ja, jak lis, niedźwiedź i każde inne stworzenie. Abyś tę wolność zachował, musisz przestrzegać trzech przykazań natury.

— Jakie to przykazania? — zapytałem zaciekawiony.

— Po pierwsze: nie zabijaj dla przyjemności — podjął zając — po drugie: żyj w zgodzie ze wszystkimi i nie przeszkadzaj!

— A po trzecie?...

— Pomagaj wtedy tylko, gdy cię o to poproszą!

— Tak? — wyraziłem powątpiewanie. — Tylko tyle?

— Bardzo dużo jak na wolną istotę, ale to konieczne.

Zamilkł, ja także nie otworzyłem ust. Trwało to dłuższą chwilę. Później wyciągnął mnie na przechadzkę. Powinienem zaraz na początku poznać koniec tych, co to nie przestrzegają przykazań lasu. Wycieczka miała być jedynym i najważniejszym ostrzeżeniem.

Poszliśmy lasem. Drzewa rosły stósunkowo rzadko, brakowało zarośli. Czułem zadowolenie, błogostan niemal, bo poruszanie się nie wymagało większego wysiłku. Suche igliwie trzeszczało pod nogami. Wiatr cierpliwie poruszał pniami sosen, te zaś nuciły śpiewnie pod jego brzmieniem. Niekonwencjonalny koncert na gitarę i skrzypce! Westchnąłem: wspaniale, bardzo to lubię!

Finał wyprawy bynajmniej nie był tak przyjemny jak mogłem się spodziewać po boskiej muzyce drzewostanu. Po mniej więcej dwóch godzinach wyszliśmy na szeroką polanę. Z początku nie dojrzałem niczego konkretnego. Dopiero po paru sekundach zorientowałem się, w jakim jestem towarzystwie. Otaczały mnie dziesiątki, setki szkieletów rozmaitych stworzeń. Zauważyłem nawet jeden ludzki. Kości były białe, ogryzione przez pracowite mrówki. Spojrzałem pytająco na towarzysza.

— To cmentarzysko przestępców leśnych — rzekł Szarak patrząc na mnie z uśmiechem. — Ale myślę, że tu nie trafisz. Byłeś dosyć gościnny i nie uczyniłeś mi krzywdy, choć być może miałeś z początku taki zamiar... Tak, nic się nie stało, to dobrze. Bo musisz wiedzieć, jestem parlamentariuszem, a tych należy szanować!

Zagadnąłem go o ludzki szkielet. Coś o nim na pewno wiedział.

— To szczątki twojego poprzednika — stwierdził. — Jak ci się to podoba?

— Owszem, niczego sobie — mruknąłem nieszczerze. — Ale co takiego zrobił?

— Odrzucił naszą przyjaźń. Kilkakrotnie próbowano go wypędzić, ale nie skutkowało. Zmuszeni byliśmy chwycić się środków ostatecznych.

— Doprawdy, mówisz to z takim spokojem? — zauważyłem.

— I mówiłbym w ten sam sposób nawet, gdyby leżały tu szczątki dziesiątków zajęcy.

Wpadłem w melancholię. Zaprawdę, dziwny to las, różny od wszystkich, które dawniej znałem. I dziwni są też mieszkańcy. A może?... Może to najzwyklejsi mutanci? Normalne: katastrofa, promieniowanie?... Olśniony tą myślą zapytałem:

— Czy zawsze tak było, że znaliście mowę ludzką? I czy od dawna rządzicie się takimi prawami?!

Potwierdził.

— Nikt nie korzystał ze swoich możliwości, a to z najzwyklejszego strachu — wyjaśnił. — Człowiek był i tak niebezpieczny ze swoim przekonaniem, iż jest królem stworzenia. Nie chcę nawet przypuszczać, co by się stało, gdyby pozbawiono go tych złudzeń.

Na tym zakończyła się nasza rozmowa. Zanim się rozeszliśmy, zając zapowiedział następną wizytę.

— Przyjdę za trzy dni z moim przyjacielem lisem. Nazywaj go Ogon. Ma wspaniałą rudą kitę. Przygotuj coś dla niego. Co do mnie, to wiesz, czym się zadowolę?...

Tak, wiedziałem. Główką kapusty, a czymże by innym?

I rzeczywiście: w trzy dni później miałem dwóch gości. Lis prezentował się jeszcze lepiej, niż Szarak. Nie mogłem tylko znieść widoku jego gęby. Nie robiłem jednak żadnych komentarzy.

Ogonowi przygotowałem kawał wieprzowej szynki. Nie bardzo wiedziałem, czy utrafię w gust chytrusa, ale nie miałem wyboru. Spryciarz przyglądał mi się z uwagą. Trawił go chyba pewien niepokój, lecz po jakimś czasie udało mi się przełamać jego opory.

— Czym chata bogata, tym rada — powiedziałem.

Lis spojrzał z niesmakiem na kapuściany wikt zająca, po czym wziął się za pożeranie własnego, na co z kolei niezadowolony zając odwrócił głowę. Mięso zniknęło w zastraszającym tempie. Lis mlaskał mrucząc coś z rozkoszy jedzenia. Pochłonąwszy jedną trzecią podniósł głowę w zachwyceniu.

— Masz jeszcze więcej tego? — spytał zwróciwszy ku mnie pysk.

Skinąłem.

— W takim razie zachowaj na przyszłość. Będę ci bardzo wdzięczny.

— W porządku — powiedziałem. — Zostało jeszcze na kilka razy.

Lis podziękował już z góry za przyszłe u mnie wyżerki.

— Nie częstuj tym nigdy dzika — ostrzegał. — Poczułby się obrażony widząc szynkę swojego krewniaka na talerzu.

Przyjąłem to do wiadomości. Później dziwiłem się, dlaczego przyszło mu to w ogóle do głowy. Dziki chyba nie jedzą mięsa?

Siedzieliśmy tak niemal do wieczora spędzając czas na pogawędce. Dowiedziałem się wiele o lesie. Coś niecoś napomknięto o niegdyś tu zamieszkującym właścicielu mego domostwa. Jak się zorientowałem, zwierzęta błogosławiły katastrofę, wyzbyły się strachu przed człowiekiem i dlatego właśnie w pełni się ujawniły. Samotna, jedyna w promieniu tysięcy kilometrów istota ludzka nie jest groźna. W razie kłopotów można ją łatwo usunąć.

Na dwie godziny przed zachodem Słońca zaproponowałem wypicie symbolicznego kieliszka wina. Beczka takiego napoju była w piwnicy. Przyniosłem z dołu cały dzbanek. Dla siebie wyciągnąłem kubek, gościom dałem bardziej dla nich wygodne miseczki. Wzniosłem toast za pokojowe współżycie w lesie, powtórny za zdrowie przyjaciół.

Ogon okazał się nie lada pijakiem. Chłonął więcej niż my obaj z Szarakiem. Reakcję na alkohol miał przy tym taką samą jak ja. Szczęście, że płynu w odpowiedniej chwili brakło, bo spodziewałem się poważnej awantury. Już widziałem się na sądzie ostatecznym lasu.

Lis nie był jeszcze na tyle pijany, aby rozrabiać. Stwierdziłem to w końcu z niekłamanym zadowoleniem. Z ochotą natomiast opowiedział nam prawdziwą, jak rzekł, historyjkę z ubiegłych lat. Dotyczyła jego samego oraz pośrednio osoby Gospodarza. Zając słuchał z równym jak ja zainteresowaniem. Podobno nie słyszał jeszcze tej opowiastki.

— Na długo przed katastrofą — rozpoczął Ogon — były mieszkaniec tego domu trzymał stadko kur. Znałem tę gromadkę dość dobrze. Nieraz zdarzało mi się polować na te ptaki. Kręciły się po okolicy nieostrożnie, zwykle wbrew staraniom właściciela. Ten ogrodził podwórze, czasami nawet używał komórki. Nic nie pomagało — w jakiś tam sposób wydostawały się na zewnątrz i dalejże w las! Czasami potrafiłem złapać jedną lub dwie. Chodziłem dość często w pobliże obejścia. Pewnego dnia bardzo się jednak przeraziłem i odtąd brakowało mi odwagi na podobne polowanie. Spostrzegłem, że kura może być niebezpieczna dla człowieka, a co za tym idzie i dla przedstawiciela mojego gatunku...

— Niemożliwe! — wtrąciłem z niedowierzaniem.

— Nie przerywaj — upominał zając — dopiero rozpoczął.

Nie odezwałem się więcej. Tymczasem lis kontynuował nawet nie spojrzawszy na mnie.

— Stało się to tak — mówił — że któregoś ranka wybrałem się tutaj wyszukać sobie coś do jedzenia. Przebiegłem całą przestrzeń od mojej nory do jednego takiego zagajnika i tam przystanąłem, by rozejrzeć się w sytuacji. Wyjrzałem zza krzaka i osłupiałem: dość daleko od płotu, stał nieruchomo, w przedziwnej pozycji, zupełnie obcy, nieznany mi osobnik ludzki męskiego rodzaju. Trochę podobny do Gospodarza, ale niższy, dużo niższy. Wyglądało to, jakoby bardzo się czymś przeraził i pragnął pozostać nie zauważony. W pobliżu nie było żadnego innego zwierzęcia, prócz jednego z tych pierzastych potworków. W niewielkiej odległości od nieznajomego dziobał coś spokojnie, nie zwracając uwagi na nic. Obcy trzymał w rękach dość długi kij tak, jak to czynią ludzie gotujący się do obrony. Trwał w tym ustawieniu, bezustannie obserwując sąsiadkę. Ta bynajmniej nie wykazała większego nim zainteresowania.

Przyjrzałem się uważnie drążkowi. Na końcu przywiązany był sznurek, dość długi. Jego koniec leżał w pobliżu kury, coś tam jeszcze na nim było. Coś, czego nie mogłem zidentyfikować. Zastanowiłem się, co może oznaczać tak dziwny przyrząd. Pewnie nowa broń, pomyślałem. Zdaje się słusznie, bo w momencie, gdy ptaszysko nagle zagdakało i nastroszyło pióra, nieznajomy niespodziewanie zaczął wywijać przyrządem. To musiała być obrona. Skrzydlate straszydło podniosło większy jeszcze jazgot. I wtedy z chaty wybiegł Gospodarz i rozejrzał się zdziwiony. Rozpoczynała się ucieczka nieznajomego. Ptak pędził za nim w pościgu, wrzeszcząc groźniej niż poprzednio. Słyszałem słowa Gospodarza, potem zwiałem...

Przerwał. Zdziwiłem się bardzo. Czemu nie dokończył?

— Jakie to były słowa? Co mówił? — spytałem.

— Mówił? — lis spojrzał z wyrzutem. — On krzyczał! Tak mniej więcej: „Panie, panie, niech się pan nie boi! Ona nic złego nie zrobi!" Nieznajomy nie posłuchał i dalej umykał ptakowi, tak przynajmniej wywnioskowałem z głosów dochodzących do moich uszu.

Lis skończył. Roześmiałem się, czego nie mógł pojąć. Powiedziałem, że ot, tak sobie, mimowolnie. Większa ochota na wybuch śmiechu przyszła w chwili, kiedy stało się dla mnie jasne, jak bardzo przestraszony jest samym wspomnieniem tego wydarzenia. Zdusiłem w sobie to pragnienie. No bo cóż, czy miałem wyjaśnić mu istotę jego pomyłki? Mówić, że obcy to zwykły złodziej łowiący ptaka na wędkę?

Wczoraj przeszedłem na dania jarskie. Przecież nie będę zjadał moich przyjaciół. Mówi się trudno, trzeba coś poświęcić. Ciężko jednak myśleć, co będzie jeśli i drzewa, albo inne rośliny przemówią? Co ja wtedy zrobię, czym się będę żywił? Przed godziną zapytałem o to zająca.

— Nie potrzebujesz się obawiać — powiedział. — Rośliny na szczęście są nieme.

Przerwał na chwilę, potem przerażony chwycił się za głowę.

— O rany, ale też masz pomysły! Co by to było, gdybym obgryzając zimą korę drzewa musiał wysłuchiwać jego narzekań. Brr!

— No tak — stwierdziłem — masz rację!

Zając zastanawiał się nad czymś.

— Oj co to ja miałem powiedzieć... Aha, dostrzegłem w pewnym miejscu moc jagód. Na pewno je lubisz. Zaprowadzę cię. No co, pójdziemy?

Roześmiałem się. Tak, to było coś dla mnie.

— Idziesz? — powtórzył zając.

— Tak — powiedziałem szybko.

Ruszyłem za nim. Jestem już w połowie drogi. Jutro pewnie też pójdę.

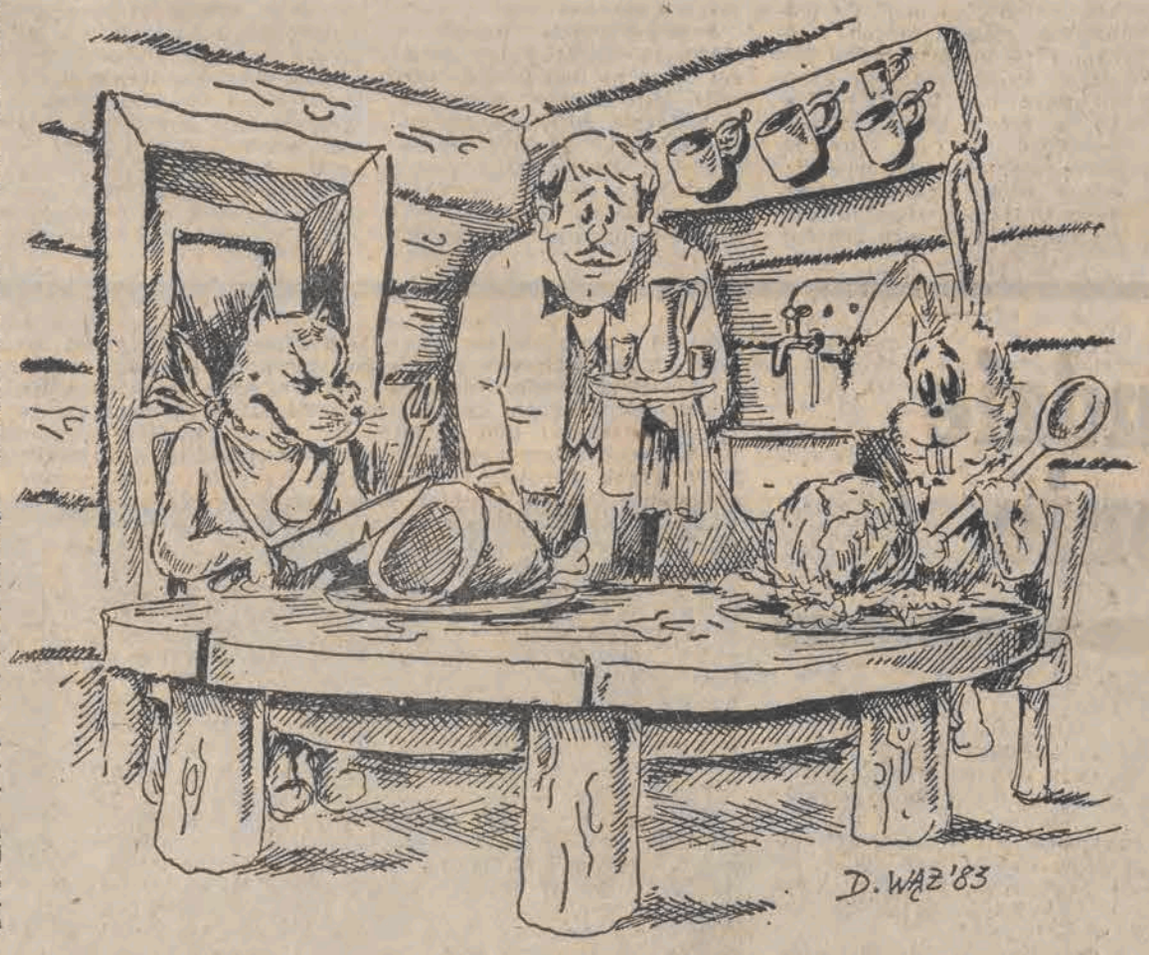

Rys. Dariusz Wąż

WSPÓŁREDAGUJE WARSZAWSKI SFAN-CLUB,
ALEJE JEROZOLIMSKIE 2, GROTEKA, 00-375 WARSZAWA

W kręgu fantastyki

Wyjaśnienie i sprostowanie

Parę tygodni temu prezentowałem na tych kolumnach recenzje ze „Spotkania w przestworzach", antologii młodych za rok 1979, a wydanej przez KAW. W pierwszej z tych recenzji, dotyczącej pierwszego tomu antologii pozwoliłem sobie ocenić pozytywnie, i to nawet bardzo pozytywnie, opowiadanie Zbigniewa Dworaka pt.: „Antybajka". Długo się tym jednak nie cieszyłem. Zgłosił się do mnie kolega znajomej, niejaki Adam Łoskiewicz, dosyć znany tłumacz ballad Włodzimierza Wysockiego, który wyjaśnił mi dosyć dobitnie jak bardzo zbłądziłem, pisząc o tym „utworze" pozytywnie. Utwór okazał się być, mówiąc bardzo delikatnie, „mało oryginalny". Dlatego też, poczuwając się do winy wobec czytelników, a jednocześnie nie czując się upoważnionym do ponownej oceny utworu, zaproponowałem Adamowi napisanie własnej recenzji z „Antybajki", co też dosyć szybko uczynił. Przy okazji otrzymałem też recenzję z całej antologii, i to od nie byle kogo, bo napisała ją koleżanka podpisana pod artykułem „Przestrzeń zamknięta" — doktorant, polonista, literaturoznawca. Z taką opinią, sympatycznej skądinąd osoby, należy się chyba liczyć.

Obydwie recenzje, a na dodatek tłumaczenie piosenki Wysockiego, piosenki astronomiczno-astrologicznej, tak ją chyba można określić, zamieszczamy poniżej.

Przy okazji dowiedziałem się, że W. Wysocki napisał kilkanaście ballad o tematyce pasującej do naszej kolumny. W jednym z następnych numerów przedstawimy je czytelnikom.

DAREK M.

Antybajka czy antyprzekład?

Nie kosmos
— mietry grunta podo mnoj
Władimir Wysocki

W wydanym przez KAW pierwszym tomie antologii „Spotkanie w przestworzach" nieoczekiwanie znajdujemy taką oto dedykację: „Łukomoria bolsze niet — Władimir Wysocki". Tytuł opowiadania, którego ta dedykacja dotyczy — „Antybajka". A hasło antologii to science-fiction. Wszystko jasne — to Wysocki, piszący wiersze o Gagarinie, śpiewający o antyświatach

Ścieżek ku antyświatom nie wydeptano jeszcze...

o gwiazdolotach:

Nie uwierzycie mi, po prostu nie zrozumiecie,
W kosmosie straszniej jest niż w piekle dantejskim...

o mieszkańcach innych planet:

...Dziwną właściwość tę mają
— To nikną to znów się zjawiają...

o ludzkości zapatrzonej w gwiazdy:

Nieprawda, to nie pustka, nie ciemność nad nami
Oczy ku górze — tam cisza, nieznane i wieczność...

to Wysocki inspiruje młode pokolenie autorów SF tak licznie reprezentowane w antologii.

Czy rzeczywiście? I tak, i nie.

Tak — bo Wysocki jest bez wątpienia w „Antybajce" obecny.

Nie — przecież w przypadku próby przekładu trudno mówić o inspiracji.

Poza tym, w opowiadaniu nie ma atrybutów science-fiction. Ale nie to jest najważniejsze — żaden gatunek literacki nie ma pełnej definicji, niech więc sami autorzy określają granice SF.

Czym w takim razie jest „Antybajka" Dworaka?

„*Łukomoria bolsze niet...*" to pierwsze słowa ballady Wysockiego znanej pod tytułem... „Antybajka". Piosenka ta jest parafrazą znanych strof Puszkina. Wysocki z humorem dementuje wiadomości dotyczące nie istniejącej krainy Łękomorze, a podane przez Aleksandra Siergiejewicza. Łękomorza dawno już nie ma, zielony dąb został porąbany na trumny, złoty łańcuch, po którym w lewo i w prawo chodził uczony kot, został przez tegoż kota zamieniony na alkohol i tak dalej, a refren bez przerwy przypomina, że cała ta historia to tylko wstęp do bajki, bajki, która nie może być w końcu opowiedziana. Z prostego powodu — wszystkie postaci w niej występujące zeszły, tak jak kot, na złą drogę. Czytamy:

Łukomoria bolsze niet, tiech dubow prostył i slied...

(Nie ma już Łękomorza, a po tamtych dębach wystygł i ślad...)

a dalej:

Tak i wprawdu chodit kot, kak naprawo, tak pojot,
Kak naliewo, tak sogniot aniekdot,
No uczonyj sukinsyn cep' złatuju snios w torgsin
I na wyruczku odin w magazin
...W Łukomorie pieriegar na giegtar...

(I rzeczywiście chodzi tam kot, gdy w prawo — śpiewa,
Gdy w lewo — rzuca anegdotę.
Lecz ten uczony sukinsyn opylił złoty łańcuch w komisie
I — dawaj z forsą do sklepu
...W Łękomorzu na milę zionie od niego wódą...)

W swojej antybajce Dworak przekłada to prozą: „...*Nie ma już Łękomorza, nie ma wspaniałego boru dębowego... przechadzał się Kot już to nucąc piosenki, już to zabawiając gawiedź anegdotami... pewnego razu zdobywszy z niewiadomego źródła nieco środków płatniczych w brzęczącej monecie, przepił je natychmiast w karczmie i taki urządził skandal na całe Łękomorze...*"

Ktoś, kto podpisuje się sam pod kiepskim przekładem ma chyba cichą nadzieję, że nikt oryginału nie czytał — jak ostatnio pewien płodny twórca kopiujący „Żółtą stronicę" Marszaka w... „Misiu". Im młodszy czytelnik tym łatwiej go wykiwać. Ale Dworak czyni z „Antybajką" coś innego, nie pasującego do powielanych często schematów. Bo przecież nie mamy do czynienia z dosłownym tłumaczeniem jednej ballady — bez trudu identyfikujemy w zamieszczonym w „Spotkaniu..." opowiadaniu aż cztery, co prawda nieco okrojone, utwory zmarłego trzy lata temu radzieckiego artysty, uzupełnione drobnymi fragmentami kilku innych, a połączone w całość li tylko przy pomocy kleju i nożyczek.

Dworak tworzy więc antybaśniowy świat techniką kolażu, nie ingerując w zasadniczy sposób w zawartość sklejanych strof. Pomysł interesujący, chociaż znany skądinąd. A jak został wprowadzony w życie i jaki jest ostateczny efekt?

Choć tytuł pozostał, antybajka przestaje być antybajką — stwierdzenie „*Nie ma już Łękomorza...*" przeskoczyło z początku gdzieś znacznie dalej ku końcowi, straciło znaczenie i siłę wyrazu. Anty- nie przeczy więc tutaj Puszkinowi, nie ma też żadnego związku z antyświatem czy antymaterią. Sam tytuł nie jest jednak z pewnością bez znaczenia, skoro będzie również widniał na okładce przygotowywanego do druku tomu opowiadań Dworaka. Zgadujemy w takim razie, że klucz utworu to zaprzeczenie, a może i drwina ze świata tradycyjnej baśni, świata, w którym dobro i piękno skutecznie walczą ze złem i szpetotą — w „Antybajce" nonsens, zło i ironia królują. Ale uważny czytelnik nie zapomina o dedykacji i, podejrzewając, że ktoś tu sobie z niego zakpił, próbuje rozstrzygnąć dylemat: przekład to, czy nie przekład?

Przekład! Przecież połączenie kilku przekładów też nazwiemy przekładem!

Nie przekład: czytamy o zamku przypominającym osiedle mieszkaniowe — w oryginale jest w tym miejscu mowa o drapaczach ONZ — „...*wszystko tam błyszczało jak źrenice po paru głębszych, istna piękność...*" A u Wysockiego: „...*wsio swierkajet kak zarnica, krasota...*", co znaczy mniej więcej „...*wciąż iskrzy się jak błyskawica, coś pięknego...*" Gdybyż to „zarnica" rzeczywiście była źrenicą... A w tej samej opowieści o królu Kościeju czytamy (przekład, a jakże), że „*wysechł i uwiądł, zamienił się w staruszka nieszczęśliwego, lecz i jego smok nie dopuszczał do królewny...*"

Na szczęście o jej losie dowiedział się „*Jaś — na swój sposób nieszczęśliwy głuptas*", co „*kosił swym mieczem tryń-trawę...*" Kosić tryń-trawę mógł, ale nad Wołgą, bo idiom ten na zachód od Bugu nie znaczy nic! A może pasowałaby tu mowa-trawa? Jasiowi „*żal się zrobiło mieszkanek leśnych*", potem jeszcze „*zawrzasnął*" do Kościeja „*Ach, ty gnuśny rozbójnikul*" (król nie może być rozbójnikiem — w oryginale mamy „*Ach, ty gnusnyj fabrikant!*", czyli „*nikczemny fabrykancie*", przecież król to burżuj, przynajmniej w ustach Jasia), „...„*więcej grabić ani babić nie będziesz*". W antybajce oczywiście mógłby obowiązywać antyjęzyk, ale śladów takiej koncepcji trudno się dopatrzyć. Od cytowanych obelg „*dostał Kościej udaru mózgu i skończył się*" (zapewne umarł — przyp. A. Ł.). A Jaś dziwi się, że „*słowa wymykają mu się z ust bezwiednie.*" Zaiste.

Sądzę, że istnieje znaczna rozbieżność między wartością prezentowanego pomysłu na kolaż a jego realizacją. Można było przecież oprzeć się na jakże bogatej twórczości Wysockiego, w której utwory o podobnej tematyce liczą się raczej na dziesiątki niż na sztuki. Niestety — to, co umiał Wysocki uczynić z utworami Puszkina, nie udało się Dworakowi z bajkami Wysockiego — zamiast oryginalnego utworu czy choćby ambitnego kolażu widzimy raczej jak gdyby niedbały brudnopis kilku przekładów prozą, przekładów, w których błędy językowe przeplatają się ze stylistycznymi. A antyopowieść ciągnie się dalej: w ościennym królestwie pojawił się zwierz okrutny, co „*bez przeszkód kogo zjadał na miejscu, kogo do lasu wlókł — na deser niejako*" (co wzięło się z „*koich jeł, koich w lies wołocził*" — niektórych zjadał, niektórych wlókł do lasu). I jeszcze nie bardzo wiemy, co to jest „*kwas siarczany*", którym na plaży raczy się święty Jerzy ze smokiem — może wziął się z alchemii słowa? Nie doszukujmy się tu stylizacji, skoro całość pisana jest językiem współczesnym, choć nie nadającym się na wzór. Podobnie zresztą jak i w następnym opowiadaniu, gdzie z rzadka i bez powodu ktoś na chwilę porzuca dwudziestowieczną polszczyznę („*zaniemówiłeś, pewnie ze strachu, alem ja niegroźny*"). A wracając do „Antybajki" — kto wie, co to jest k i k i m o r a, którą autor żywcem przeniósł z rosyjskich mokradeł w nasze rodzime ostępy? Mogą się nasze poczciwe zmory, poczwary, strzygi, latawce i wilkołaki obrazić. Oj, mogą...

ADAM ŁOSKIEWICZ

Znaki zodiaku

WŁODZIMIERZ WYSOCKI

Nieprawda, nad nami nie ciemność bezdenna,
Lecz los nasz po sąd ostateczny.
Dosięga nas łuna Zodiaku tajemna,
Pląs mgławic porywa odwieczny.

I z głową zadartą patrzymy w odkryte:
Milczenie, Nieznane i Bezkres.
Tam dni i godziny, zdarzenia i byty
Na wieki są w księdze przeznaczeń wyryte,
Co ma nas osłonić i przestrzec.

Na śniegi lutowe, zawieje i chłody
Biel mleczna to środek sprawdzony
— Od lat musi Wodnik śródgwiezdną tę wodę
Lać w pysk Koziorożca wzniesiony.

Mknie strumień spieniony przez gwiezdne parowy,
To rtęcią się skrzy, to posoką.
Mgły idą marcowe, pękają okowy,
Na tarło się pnie stado Ryb zagadkowych
Ku źródłom srebrnego potoku.

Strzelec wycofać się musiał z obławy,
Gdy strzałę ostatnią połamał
— I może się bawić już Byk bez obawy
Na jasnych majowych polanach.

Lew głodny, łakomie aż z sierpnia zerkając,
Barana by w kwietniu chciał złowić.
A rękę czerwcowym Bliźniakom oddają
I Wagę przezornie w kołyskę zmieniają
Urocze dwie Panny wrześniowe.

Choć tak materialne jak nici Ariadny
Promienie przebiły płaszcz nocy,
To Rak tajemniczy i Skorpion szkaradny
Magicznej nie mają już mocy.

A człowiek — na Zodiak swój rzadko narzeka.
Los gwiazd własną dłonią odmienił
— Gościniec w Nieznane wydeptał i przetarł,
A gwiazdy pozbierał, oprawił je w metal...
Tak mało są warte na Ziemi.

Przekład: ADAM ŁOSKIEWICZ

Przestrzeń zamknięta

Pod koniec lat 70-tych, wśród krytyków towarzyszących młodej literaturze science-fiction, do dobrego tonu należało ponarzekać trochę na warunki jej rozwoju i upowszechniania. Skarżono się na milczenie starszej krytyki literackiej, usiłowano zaradzić brakom w teorii gatunku. W 1977 r. Andrzej Wójcik pisał w „Nowym Wyrazie", że chociaż „**w ciągu ostatnich kilku lat zaszedł na niwie twórczości fantastyczno-naukowej znaczny przełom, że zmieniły się konwencje i style, że dyskusje nad najistotniejszymi problemami współczesności podjęło młode (...) pokolenie twórców, to dla przeciętnego czytelnika polska science-fiction tkwi w najlepszym razie na początku lat sześćdziesiątych**". Z czasem utyskiwania tego rodzaju pojawiały się coraz rzadziej. Rozpoczęto intensywną akcję wydawniczą, mającą na celu upowszechnienie dokonań młodej polskiej prozy fantastyczno-naukowej. Wydana obecnie antologia młodych „**Spotkanie w przestworzach**" podsumowuje niejako dokonującą się na naszych oczach emancypację literackiego „kopciuszka", który, zdaniem autora wyboru i wstępu cytowanego wyżej A. Wójcika, siedem lat chudych ma już poza sobą.

„Spotkanie w przestworzach", dwutomowy zbiór opowiadań twórców młodych i najmłodszych, wydany hojnie przez KAW w nakładzie 100 tys. egz., budzi jednak liczne refleksje na temat dróg tego literackiego i społecznego awansu. Pierwsza z tych refleksji narzuca się po przestudiowaniu krótkich biogramów autorów antologii. Wszyscy oni są członkami, często działaczami, OKMFiSF i nierzadko, jak wynika z przedstawionych życiorysów, prezesowanie czy sekretarzowanie w różnych oddziałach klubu poprzedziło ich twórczość literacką. Ze spostrzeżenia tego na pozór nic nie wynika poza wnioskiem o dominującej roli klubów w upowszechnianiu i powstawaniu młodej literatury SF. Fakt ten jednak daje dużo do myślenia w porównaniu z przygnębiającym wrażeniem, jakie narzuca się w trakcie czytania kolejnych opowiadań i po lekturze całości. Obok bowiem utworów rzeczywiście interesujących pomysłem i sposobem jego realizacji (jak np „Miss sektora" i „Robotomachia" Ryszarda Głowackiego), antologia zawiera w większości teksty nieoryginalne, nudne, płaskie, tandetne, nieporadne stylistycznie, czasami wręcz grafomańskie. Lekturze „Spotkania" towarzyszy jak cień fredrowskie zawołanie jowialnego nudziarza: „Znacie? Znamy. No to posłuchajcie!". Autorzy antologii są niewątpliwie gorliwymi czytelnikami literatury SF i aktywnymi uczestnikami klubowych dyskusji. Gorliwymi — co nie znaczy uważnymi. Odnosi się bowiem wrażenie, jakby od poprzedników (a długo by tu ich wymieniać) czerpali tylko rekwizyt, tło, temat, pomijając skwapliwie każdą inspirację dotyczącą stosunku człowieka do siebie i innych, problemów i możliwości homo sapiens w świecie, w którym żyjemy. Nie neguję oczywiście potrzeby literackiego terminowania, próbowania form i stylów już istniejących, nie mogę się jednak zgodzić na nieudolne kopiowanie i przekłady „z polskiego na nasze". Artystyczne fiasko większości autorów antologii, rekomendujących się czytelnikowi jako czynni członkowie klubów SF, potwierdza znaną prawdę, iż instytucjonalizacja rzadko wychodzi na dobre twórczości.

Towarzyszące emancypacji młodej polskiej prozy SF dyskusje na temat teorii gatunku, nie przystają w żaden sposób do utworów zamieszczonych w zbiorze. Z lektury ich wynika bowiem jednoznacznie, że wystarczy zgromadzić pewną ilość określeń (wizor, planetolot, stupor promienisty, dublet predykcji itd.) i po raz kolejny powielić motyw „powrotu z gwiazd" czy „kontaktu z obcą cywilizacją", aby efekt tych zabiegów zaliczyć do literatury fantastyczno-naukowej. Strach pomyśleć, co by było, gdyby futurologiczne obrazy Ziemi i kosmosu, które rysują twórcy antologii, okazały się prawdą! Są to bowiem „przestworza" sztuczne i konwencjonalne, jest to przestrzeń zamknięta, gdzie wszechświat podobny jest do biura rzeczy znalezionych, a każdy z tych niezliczonych statków kosmicznych, które „rżnęły próżnię na ryczące kawałki poszarpanej w strzępy odwiecznej ciszy" („Pościg"), przypomina, w najlepszym razie, kasę ogniotrwałą.

Gdyby „Spotkanie w przestworzach" uznać, zgodnie z intencją wydawców, za reprezentatywne dla młodej polskiej prozy SF, to przerazić mógłby ponury obraz tej twórczości. Twórczości, która rezygnując z najważniejszych problemów naszej rzeczywistości, rezygnuje także w ogóle z „bycia literaturą". A jeśli nie rezygnuje, to wybiera takie sposoby kreacji świata przedstawionego, których nie powstydziłaby się nawet sama Helena Mniszek. I tak w „Kosmicznej balladzie" czytamy „Potężny grzmot rozdarł cisze letniego wieczoru, targnął koronami stuletnich debów i umknął słabnącym echem w bezdroża pól. Jak ramiona znużonej kochanki rozchyliły się kratownice wsporników i smukła rakieta wolno ruszyła ku górze".

Wszystko to razem rodzi niepokojące (także dla niej samej), skojarzenie literatury fantastyczno-naukowej z literaturą lekką, łatwą, lecz nie zawsze przyjemną w odbiorze. Nie przekonanych co do wartości gatunku utwierdzić może w mniemaniu, że SF to tylko komiksowa „sieczka". Nie mogąc żądać od młodych autorów finezyjnej gry z odbiorcą, prosimy tylko o szacunek dla czytelnika, o zrezygnowanie z wpisanego w „Spotkanie" sloganu „ludzie to kupią".

Żywię jednak nadzieję, że antologia młodych 1979 nie odbija w pełni sytuacji młodej literatury science-fiction, że na wyborze nazwisk i tytułów zaważyło głównie kryterium instytucjonalne, o którym pisałam wcześniej. Wierząc zatem w szanse rozwojowe młodej prozy SF, rozważania na temat „Spotkania w przestworzach" chciałabym zamknąć fragmentem „Kalendarza i klepsydry", mojej ulubionej książki o naszej współczesności: „**Tak jak wszyscy marzę o Marsjanach i Wenusjanach, o rozumnych istotach z odległych galaktyk", jednak „czuję nieodparcie, że rozwiązanie jest w nas samych. (...) Przypominamy trochę roztargnionego profesora, który szuka okularów po całym uniwersytecie i nie wie, że okulary są na nosie**".

MARIA BARTUS

Kosmostworki ANDRZEJA BIEDRZYCKIEGO

Olifant domowy — *Elephantis rozenamlus.*

KOLUMNA AJENCYJNA

Pamiętnik intymny 2

5 STYCZNIA

Własne mieszkanie to wspaniała rzecz! Ileż to razy urządzaliśmy je z Małgosią... W dużym pokoju stanie regał — tani, krajowy, byle solidny. Na drugiej ścianie wersalka i dwa fotele, na podłodze — dywan. W drugim pokoju — szafa, tapczan, jakieś półki na książki i bibeloty. Trzeci pokój będzie dla dziecka, a do kuchni kupi się parę szafek i — wystarczy. Żadnych kafelków, boazerii, zmywalnych tapet z „Pewexu". Co najwyżej, jeśli starczy pieniędzy, kupimy od razu pralkę automatyczną, bo jak przyjdą pieluchy... Podobno to wielkie ułatwienie.

Najpierw wykreśliliśmy pralkę, potem fotele potem... Dość, że do naszego nowego mieszkania wprowadziliśmy się z telewizorem, dwoma starymi krzesłami, stołem po babci i czymś w rodzaju komody. Znajomi obiecali nam starą, zepsutą lodówkę, ale nie wzięliśmy, gdyż w żadnym punkcie usługowym nie chciano dokonać naprawy (Skąd ja panu wezmę agregat?!), a poza tym przewiezienie lodówki z jednego końca miasta na drugi taksówką bagażową miało nas kosztować więcej, niż chcieli od nas znajomi. W końcu zdecydowaliśmy się kupić nową, choć to dużo drożej i na początek wystarczyłaby nam używana. — Na razie nie ma — uspokoił nas sprzedawca — ale niedługo powinny nadejść. Państwo zapisali się na listę? Nie? To proszę wpaść za jakieś dwa, trzy lata...

6 STYCZNIA

Aha, nie napisałem jeszcze jak wygląda nasze nowe mieszkanie. Pamiętam dobrze dzień, w którym zobaczyłem je po raz pierwszy. Blok nie był jeszcze wykończony, ale w oknach połyskiwały już szyby (średnio co czwarta potłuczona), a w klatkach schodowych montowano właśnie poręcze. Windy oczywiście jeszcze nie działały, więc na siódme piętro wszedłem piechotą. Kręcący się wewnątrz budynku robotnicy patrzyli podejrzliwie, ale żaden nie zatrzymywał. Dopiero u samych drzwi mojego mieszkania zastąpił mi drogę barczysty dryblas w białym kasku na głowie. — Chciałbym tylko zerknąć — zacząłem — bo to będzie moje mieszkanie, więc gdybym zobaczył, to..., to żona mogłaby już coś... — Nie widzi pan, że tu się pracuje! — Ale mógłby mi pan powiedzieć, co będzie na podłodze, prawda? — Co będzie, to będzie. Jak pan dostanie klucze, to zobaczy — wyjaśnił rzeczowo. — Ale gdybym wiedział, to zasłony, dywan pod kolor... — A po co panu dywan? — zdziwił się. — W tej klatce kładziemy wykładzinę. — W spółdzielni mówili, że płytki — No to co, oni tam nic nie wiedzą. Płytek starczyło tylko na tamtą klatkę schodową. Tu będzie wykładzina — W jakim kolorze, jeśli można? — A które to piętro? — Siódme — To czerwona. — Czerwona?! — byłem przerażony — Przecież do tego nic się nie dobierze, a poza tym to nie jest kolor na podłogę. Wie pan wolałbym, jeśli nie można płytek, żeby ta wykładzina...

— Gówno mnie obchodzi, co by pan wolał. A jak się panu nie podoba to inni wezmą z pocałowaniem ręki. Ja wczoraj miałem ochotę na parówki, a dostałem tylko mortadel, więc dlaczego mam panu zakładać inną wykładzinę? Człowiek tu z siebie flaki wypruwa, a przyjdzie tak i jeszcze mu źle! — Nie, nie, ja się bardzo cieszę... — No to zjeżdżaj pan stąd! Tu się pracuje.

TEMU TO DOBRZE!

Ogłoszenie z „Życia Warszawy":

„Do dobrze prosperującego ogrodnictwa szklarniowego przyjmę udziałowca z dużą gotówką. Cel dalsze inwestycje. Współpraca czynna zbyteczna. Warunki bardzo dobre".

Jeśli udało się komuś zgromadzić nawis, to da go teraz wspólnikowi i może sobie leżeć na dowolnie wybranym boku. A niektórzy mówią, że badylarze ciężko pracują.

WESOŁEK

Tytuł w „Szandarze Młodych": **„Wesoły młynarz".** Z treści notatki natomiast wynika, że ów wesoły młynarz po prostu... kradł, albo — jak to pisze (kas) — **„dzięki nieprawidłowemu dokumentowaniu rozchodów masy towarowej... spowodował tzw. niedobór mienia społecznego o łącznej wartości 282 tys. 811 zł".** Pięknie to napisane, tylko nie po polsku. Wesoły młynarz trafił do zakładu karnego, zwanego niegdyś więzieniem, a teraz pewnie domem rozrywki, gdyż przebywają tam raczej sami wesołkowie.

WYCINANKI

PRZESTĘPSTWO!

„Głos Robotniczy" relacjonując przebieg akcji antyspekulacyjnej na łódzkim „Górniaku", donosi o pewnym zatrzymanym rolniku spod Pabianic, który oferował potencjalnym kupcom adapter, dwie kolumny głośnikowe, gitarę, a **„posiadał ponadto przy sobie ponad 13 tysięcy złotych gotówką".**

To już nie wolno mieć przy sobie pieniędzy?

SZYBKI RYSZARD

W „Perspektywach" Ryszard Świerkowski już załatwił problem ZLP pisząc: **„znany pisarz, ostatni prezes byłego Związku Literatów Polskich, Jan Józef Szczepański"...**

Władzom powinno być teraz wiadomo, co robić dalej z ZLP.

W BYDGOSZCZY PLUJĄ!

„Gazeta Pomorska" skarży się na bydgoskich kibiców, którzy przynoszą wstyd miastu oraz narażają na płacenie kar BKS Bydgoszcz. **„Nagminnym** — pisze „GP" — **niewybrednym sposobem reagowania jest plucie na lód przez niezadowolonych kibiców zajmujących miejsca w pierwszych rzędach trybun".**

Przesada. Przecież nie plują na zawodników i sędziów i nie rzucają butelkami, jak to bywa na stadionach piłkarskich.

DOMATORZY!

Katowicki „Sport" donosi, że **„kolarze są domatorami".** Na czym gazeta opiera ten sąd? Ano na tym, że na kilku młodych kolarzy oczekują w domu małe dzieci, choć kolarze też są bardzo młodzi, na ogół przed 25 rokiem życia. Od kiedy to ma związek z domatorstwem? Żeby mieć dzieci wcale nie trzeba stale siedzieć w domu. Czyżby doświadczeni koledzy ze „Sportu" o tym nie wiedzieli?

OD KIEDY W DOLARACH!

Jeden z działaczy sportowych — jak poinformował o tym „Przegląd Sportowy" — wpadł na pomysł, aby w „Pewexie" sprzedawać trampki i dresy. Doszedł on do wniosku, że lepiej wyjdzie, jak ludzie będą kupowali za dolary sportowe ubiory zamiast wódki. Niedługo w „Pewexie" można będzie kupić wszystko. Chcielibyśmy jednak wiedzieć, od kiedy pensje zacznie się u nas wypłacać w dolarach, markach, funtach i innej walucie wymienialnej.

NA DACHU

Reporter **„Życia Pabianic"** zeznaje, jak nie wszedł na dach nowej „Fabii". Po długich cierpieniach wynikających z zaaferowania dyrektora, braku kooperacji z kalendarzem, terminarzem godzin i minut — udałem się na teren 600-milionowej inwestycji. Ale warto było wejść i dotknąć budowy! Okazało się jednak, iż drzwi na dach są zamknięte, a na dachu stoją dwa maszty na flagi państwowe. To ci wredni Japończycy, co sforsowali szczyt zimna i zamknęli wejście, żeby konkurencję szlag trafił.

NAMACALNOŚĆ

W PGR Kołacin reforma. „Czy jest ona u was namacalna?" — pytają **„Wiadomości Skierniewickie".** A dyrektor Kotarski: „Moim zdaniem, reforma zmusza nas do myślenia", po czym daje przykład, że jak zdechły 22 cielaki, to do cieletnika wpuszczono warchlaki. Myślenie już namacalne, wieprzowina jeszcze nie.

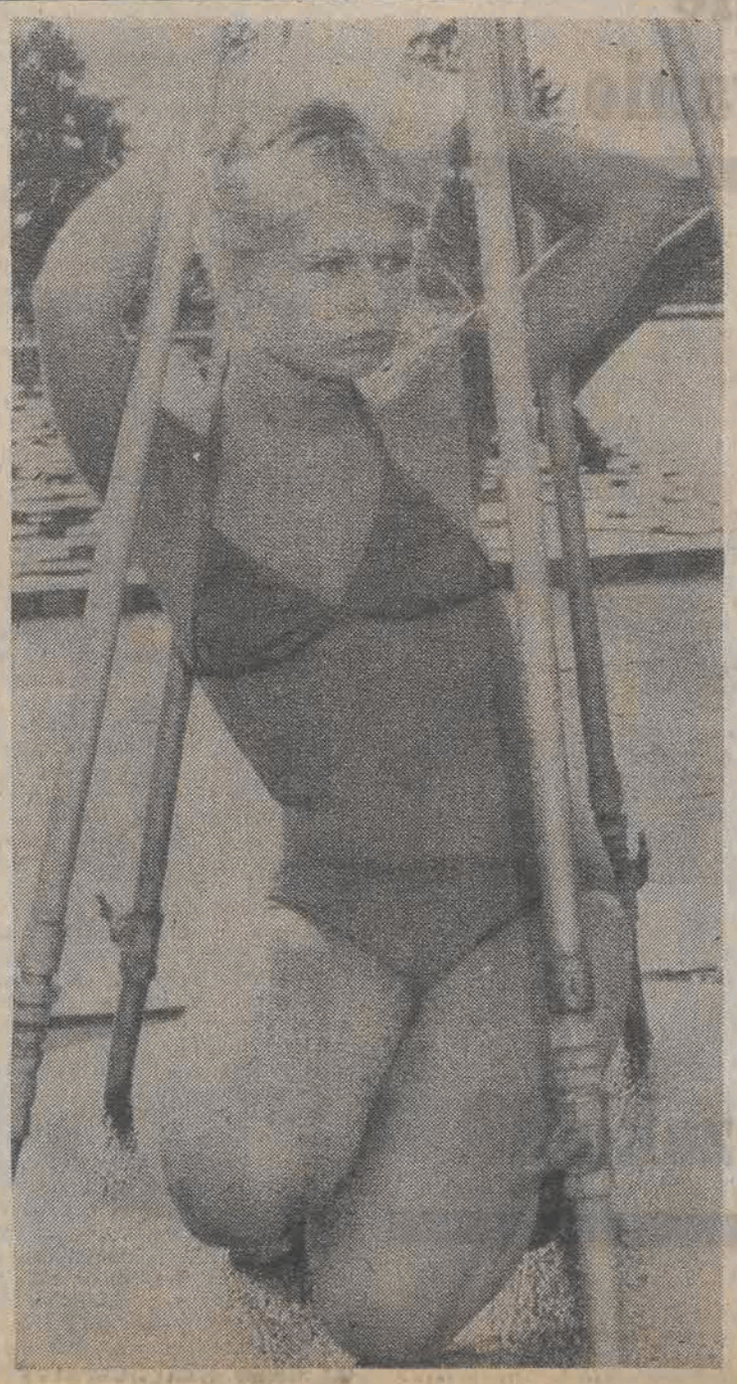

Zdjęcie powyższe trafiło na nasze łamy — jak się pilny Czytelnik sam łatwo domyślił — w wyniku ogłoszonego dwa tygodnie temu apelu do panów o nadsyłanie nam fotek najróżniejszych sympatycznych pań i panienek. W ubiegłym tygodniu zjawiło się w naszej redakcji wielu Czytelników z prośbą o zamieszczenie zdjęć. Tym niemniej pani widoczna na zdjęciu nie jest osobistą znajomą naszego Czytelnika — wręcz przeciwnie! Pan Z. przyszedł do nas ze zdjęciem osobistej narzeczonej, Pani Elżbiety. Ujrzawszy przypadkowo na redakcyjnym biurku zdjęcie CAF wpadł w zachwyt i stwierdził, że wprawdzie widoczna na zdjęciu blondynka ani trochę nie przypomina Pani Elżbiety, to jednak im bardziej jej nie przypomina tym bardziej Pan Z. utwierdza się w przekonaniu, że tak właśnie powinna wyglądać!

Następnie z ogniem w oczach prosił nas o zamieszczenie zdjęcia z podpisem: „Pani Elżbieta — imaginacyjny portret Osobistej Narzeczonej Pana Z.".

Prośbę — jak widać powyżej — spełniamy.

Już za tydzień kolejne zdjęcia pań na specjalne życzenie drogich Czytelników!

Przy okazji odpowiadamy na list, jaki otrzymaliśmy od jednego z drogich Czytelników:

Szanowny Panie!

Wszyscy w redakcji zachwyceni byliśmy zdjęciem uroczej pani I. Jednak podjęliśmy — po długich debatach — decyzję, aby zdjęcia nie publikować ze względów ideologicznych wręcz, sądząc, że nas Pan zrozumie?

Liczymy nadal na Pańską życzliwość oraz dalsze zdjęcia z — jak to pan lirycznie nazwał — „albumu pamiątek z młodości".

Co do honorariów — to mianowicie sprawa jest delikatna nieco. Ogłaszając apel do panów traktowaliśmy zamieszczenie nadesłanych zdjęć jako wyróżnienie i czystą przyjemność zarówno dla nadsyłającego jak i — jeśli można się tak wyrazić — nadesłanej. Wymaganie honorariów jak za — dajmy na to — zdjęcia maszyn włókienniczych w ruchu wydaje nam się niedelikatnością...

Tym niemniej może być mowa o nagrodach, a w wyjątkowych przypadkach nawet skromnych stypendiach dla autorów najlepszych zdjęć (mowa oczywiście o stypendiach krajowych).

Przy okazji — nie wymagamy wcale, żeby zdjęcie było koniecznie autorstwa nadsyłającego. Nie liczy się zdjęcie, liczy się radość naszych Drogich Czytelników z oglądania Tej, co na zdjęciu!

Z poważaniem z-ca b. Nacz. Wydz.

Prosto z głowy

Murzyn warszawski i inni

1

Przed wojną poznałem warszawskiego murzyna. Pracował w jednej z bardziej znanych kawiarni jako szatniarz. Był to prawdziwy murzyn, choć po polsku mówił jak prawdziwy warszawiak. Poza przyjmowaniem i wydawaniem płaszczy nie umiał nic, ale powodziło mu się nieźle. O wiele lepiej niż innym, którzy potrafili to samo albo nawet więcej.

Był jedynym murzynem w Warszawie, a może i w całej Polsce.

2

Warszawski murzyn cieszył się wielką sympatią wszystkich.

W kraju, który nigdy nie miał kolonii, nawet dziesięciu murzynów cieszyłoby się sympatią. Może nawet stu? A może jeszcze więcej?

Ciekawe, ilu murzynów potrzeba, by zaczęli wzbudzać niechęć?

3

Socjologowie zachodni, badający w krajach, które kiedyś miały kolonie a dziś mają problemy, stosunki między białymi a czarnymi, twierdzą, że niechęć zaczyna się gdy:

a) ilość czarnych zbliża się do ilości białych na danym terenie,

b) czarnych jest znacznie mniej niż białych, ale piastują kluczowe stanowiska.

Niechęć, a nawet nienawiść zaczyna występować, zdaniem socjologów, w opisanych przypadkach, niezależnie od kultury i tolerancji danego środowiska.

4

Szczycimy się tradycyjną tolerancją naszego społeczeństwa. Ale przecież na dobrą sprawę nasza tolerancja nigdy nie została wystawiona na próbę.

Czy stać by nas było na tolerancję, gdyby okazało się pewnego dnia, że wszystkie ważniejsze stanowiska w naszym kraju piastują murzyni? Nawet gdyby to byli murzyni bardzo dobrze mówiący po polsku?

XAWERY

POCZTA DO AJENTA

Panie Ajent!

Felietonistyka nie jest sztuką łatwą — trzeba czytać i mieć jaką taką pamięć. Posługując się przykładami trzeba sięgać do źródeł. Powiedz to pan swemu Xaweremu.

Otóż „pogadamy jak obaj będziemy w gaciach" — powiedział Kazimierz Grus, a nie Melchior Wańkowicz. Pisze o tym w pewnym pamiętniku, który Xawery albo czytał dawno i trochę zapomniał, albo w ogóle nie czytał, tylko gdzieś słyszał. Za paczkę „Carmenów" powiem jaka to książka.

Jan Zbigniew Słojewski dawno już wymyślił i wyeksploatował konwencję staruszka-Hamiltona — felietonisty, który pisywał jeszcze w „Biesiadzie Literackiej" (tej XIX-wiecznej, nie tej poznańskiej z dwudziestolecia) — ale przynajmniej miał zawsze pod ręką roczniki „Biesiady", więc wszystko mu się zgadzało. Nawet gacie.

Z poważaniem
JERZY WILMAŃSKI

Szanowny Panie Ajencie II!

Czuję się w obowiązku donieść, że poprzedni ajent, mój były pryncypał, opuszczając redakcję chwiejnym krokiem, wymamrotał coś w tym guście:

— Ale mu bombę zostawiłem w biurku, o rany... Niech się do niej zabierze nie od tej strony, to z całą firmą będzie w powietrzu koziołki fikał!

Oczywiście mogło to być powiedziane ot tak sobie, ex-szef miał dziwaczne poczucie humoru, ale nigdy nic nie wiadomo — proszę Pana — nigdy nic nie wiadomo... Myślę więc, że zdałby się tu ekspert, a że mój stryjeczny dziad był saperem i niekiedy opowiadał różne pouczające kawałki, mógłbym może rozbroić tę bombę. Kłopot wprawdzie w tym, że opowieści stryjecznego dziada przypominają mi się jedynie przy kielichu i to pod zakąskę, szczęśliwie jednak jadam, co podleci: kawior to kawior, łosoś to łosoś, dziczyzna to dziczyzna...

Jednocześnie proszę nie myśleć, że napraszam się o powrót do pracy, zbrzydło mi ustawiczne robienie puree z fraszek i sałatek z aforyzmów. Wypiję, zakąszę, rozbroję i pójdę sobie, a jeżeli robienie purée z fraszek i sałatek z aforyzmów kolację w kulturalnym towarzystwie.

Były SZEF KUCHNI

1 Zdarzenia i zwierzenia

Osnowa

Ukazał się kolejny numer „Osnowy". Piszę „kolejny", bo właściwie trudno obliczyć, ile ukazało się numerów tego periodyku, tak przecież trwale wpisanego w literackie i czasopiśmiennicze dzieje Łodzi.

Pierwszy powojenny numer „Osnowy" ukazał się równo dwadzieścia lat temu i wówczas mówiono, że będzie to kwartalnik. Niestety, bardzo szybko zaczęto o „Osnowie" mówić, że jest to kwartalnik, który ukazuje się co pół roku, raz na dwa lata.

W 1971 roku wydano numer periodyku niejako podsumowujący dotychczasowe publikacje. Bibliografia zawierała dane dotyczące siedemnastu numerów W ciągu tych paru lat czasopismo (które formalnie czasopismem nie było, bo nie uzyskało prawa do tytułu i kolejnej numeracji) kilkakrotnie zmieniało redaktorów, format, kształt graficzny i koncepcję. Niemniej jednak na łamach „Osnowy" zanotowano potężny fragment kulturalnych dziejów Łodzi lat powojennych Bibliografia zawartości periodyku za lata 1963—1971 opracowana przez Michała Kunę i Jerzego Andrzejewskiego jest *nieocenioną kopalnią informacji na temat* wydarzeń i problemów kulturalnych naszego miasta.

Potem nastąpiła dłuższa — prawie dziesięcioletnia — przerwa. „Osnowę" rozpoczął redagować trzeci z kolei naczelny, po Marianie Piechalu i Janie Huszczy — Jerzy Poradecki. Był to nowy, dość krótki etap istnienia periodyku.

Wreszcie, w lipcu 1981 roku, po raz pierwszy od kilkunastu lat „Osnowa" ukazała się już formalnie z podtytułem „Kwartalnik społeczno kulturalny", sygnowana „numer 1" Jak na wonię hasłem wywoławczym pisma było „Trwałość i zmiana". Trwałość okazała się krucha — następny numer ukazał się bowiem dopiero na początku 1983 roku.

I dopiero teraz istnieje nadzieja, że owa „trwałość" okaże się pewniejsza, niż „zmiana". Ale drugi numer „Osnowy" sygnowany jest hasłem „Niepokój". Miejmy jednak i tę nadzieję, że hasło to nie wywróży dla kwartalnika nic niepokojącego.

Napisałem, że „Osnowa" ma już dwadzieścia lat. Nie jest to całkowicie prawda, jeśli uwzględnić „Osnowy Literackie" — pismo wydawane jeszcze przed wojną przez grupę ówczesnej młodzieży literackiej. Szczęśliwie udało mi się skompletować owe zeszyty „Osnowy" (czy „Osnów"?), nie było ich wiele Zaczęto je wydawać w końcu lat trzydziestych, dalsze edycje przerwała wojna.

Przedwojenne „Osnowy" ukazywały się od maja 1938 do czerwca 1939 roku, czyli właściwie rok. Wydano łącznie sześć numerów Redaktorem była Krystyna Chruścielska. Nakładu, niestety, nie znamy; nie było wówczas zwyczaju podawania wysokości nakładu w redakcyjnej „stopce".

Wojna wyrwała z szeregów ówczesnych wydawców i autorów wiele osób. Ze znanych dziś piszących spotykamy tam nazwiska m. in. Mariana Piechala, Antoniego Kasprowicza, Tadeusza Fangrata czy Władysława Strzeleckiego Ale jest też wiersz młodego debiutanta, który później — już po wojnie — był znanym działaczem i z literaturą w swojej późniejszej karierze partyjnej miał niewiele wspólnego.

Tak więc, jeśli liczyć przedwojenną „Osnowę", pismo to ma już w mieście wieloletnią tradycję. Dobrze więc, że po różnych — krótszych i dłuższych przerwach — periodyk znów pojawił się na czasopiśmienniczym rynku. Obecnie kieruje nim Tadeusz Chróścielewski, związany zresztą z „Osnową" od lat sześćdziesiątych, jej stały autor i redaktor. Kultywowanie tradycji i kulturowej ciągłości zawsze cieszy. Podobnie i w tym wypadku dobrze się stało, że periodyk, który tak wiele wniósł do łódzkich tradycji, znów pojawił się w kioskach „Ruchu".

JERZY WILMAŃSKI

2 Lewym okiem

Uczmy się!

Na całym świecie, poza krajami zapóźnionymi w rozwoju, rośnie odsetek ludzi starych. To dobrze, to właśnie spełnia się odwieczne marzenie ludzkości: żyć dłużej. Żyć dłużej, to znaczy być przez jakiś czas starym. Mówi się przecież, że jedyną dobrą stroną starości jest właśnie pewność, że się młodo nie umrze. W moim pokoleniu za młodu większe były możliwości zgonu, niż przeżycia, więc teraz cieszmy się, cieszmy się, że się starości doczekało.

Na demograficzny wyż, czyli na wzmożoną falę narodzin, staramy się na różne sposoby przygotowywać. W ogóle w odniesieniu do dzieciństwa i młodości istnieje ogromnie dużo instytucjonalnych usiłowań, jak najlepszego obsłużenia, setki instytutów zastanawia się nad najwłaściwszymi metodami urodzenia, pielęgnacji, wychowania: żeby nie skrzywić fizycznie i psychicznie, żeby przysposobić do życia, dać wiedzę i charakter.

To się zaczyna już od szkoły rodzenia. Potem uczymy młode matki pielęgnacji niemowląt, uczymy trudnej sztuki pedagogiki, dawania przykładu, sposobów reagowania To bardzo dobrze. Tymczasem jednak rośnie odsetek ludzi starych, co do których nikt nikogo niczego nie uczy. Sprawa pozostawiona na żywioł i jak żywioł — ślepa i niszcząca. Lata starości potrafią zniweczyć, zaprzepaścić minimalną satysfakcję z najpiękniej przeżytego życia i to za sprawą ludzi najbliższych.

Nie chodzi wcale o jojczenie, utyskiwanie na niewdzięczność i prawienie niewczesnych morałów. Liczenie na wdzięczność dzieci w stosunku do rodziców jak w bajeczkach Stanisława Jachowicza jest ewidentnym błędem Nie ma czynnej, praktycznej miłości dzieci do rodziców w całej przyrodzie i nie przeceniajmy jej wśród ludzi. Pani mówi, że to cyniczne, że pani się należy wdzięczność od dzieci? Niech pani sobie z ręką na sercu przypomni, co dała swoim rodzicom. Prawda, że nic?

Ale świat jest taki, jaki jest. Pomiędzy dwudziestym piątym a czterdziestym rokiem życia, przez piętnaście lat, człowiek ma milion kłopotów z dziećmi. Od czterdziestki przez następne dwadzieścia lat lub dłużej — z rodzicami lub jednym z nich. Te drugie kłopoty są większe, bo nie równoważy ich dziecięcy śmiech, radość z byle upominku, pieszczoty, zaspokajanie przez dziecko rodzicielskich ambicji poprzez postępy w nauce itp. Dziecko można skarcić — ono się nie obrazi. Z ludźmi starymi trzeba ważyć każde słowo i gest, a oni sami nie ułatwiają współżycia, są trudni, zgorzkniali i cierpiący. To nie jest cierpienie udawane, to są niestety prawdziwe dolegliwości wieku.

Jedyna rada: musimy się uczyć. Musimy tworzyć szkoły *jak być starym*, co robić, żeby ciężar, jakim się (żeby nie wiem co) jest w rodzinie i społeczeństwie, był jak najmniejszy, żeby nie obrażać się na świat za to, żeśmy się zestarzeli. A w trochę młodszym, a może już od szkolnego poczynając wieku — uczyć się jak postępować ze starymi. Ich będzie coraz więcej i będzie nim *każdy z nas*, każdy z nas *chce nim być*, bo przecież nie chce umrzeć młodo. Uczyć się wielkiej cierpliwości, życzliwości takiej, jakiej sam będę oczekiwał, mądrej ludzkiej tolerancji wobec słabości bez oczekiwania na wylewną wdzięczność.

Może w ogóle dajmy spokój z akcentowaniem wdzięczności jako jedynego motywu w postępowaniu młodych ze starymi? Może przewekslujmy ten motyw na inny tor: tyle mam prawo oczekiwać od swych dzieci, ile sam dałem swym rodzicom. Tego się trzeba nauczyć. Uczmy się! Czekamy na kursy: jak być starym, jak postępować ze starymi.

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

3 Spojrzenie znad szachownicy

Negocjacje pokojowe

Korzystając z „gorącej linii" Warszawa — Łódź odbyłem negocjacje pokojowe z kolegą redaktorem Markiem Kaszem, tym samym, który obsmarował był moje miasto na łamach „Przeglądu Tygodniowego". Jak Łaskawi Czytelnicy pamiętają — a jeżeli nie pamiętają, to im przypomnę — red. Kasz wystąpił z reportażem „Żółta Łódź Fabryczna", któremu dałem odpór w felietonie pod dokładnie tym samym tytułem. no i obie te żółte łodzie zaczęły zbliżać się do siebie zbieżnym kursem, co groziło zderzeniem, a przynajmniej — zgodnie z rzuconym wyzwaniem — partią szachów graną do ostatniego tchu bądź ostatniego pionka.

Początkowo miałem zamiar stawiać warunki i stoczyć bój przynajmniej o honor Polaków, chytry przeciwnik zażył mnie jednak z mańki. Zadzwonił jak gdyby nigdy nic, stwierdzając pogodnie, że miło mu ogromnie, iż poznawszy się na żarcie żartem na żart odpowiedziałem. Zrobiło mi się Głupio i Nieprzyjemnie (tu proszę nie zmieniać dużych liter na małe, jest to cytat z „Chatki Puchatka"), rzecz jasna nie poznałem się bowiem na niczym, któż się jednak zaprze, gdy mówią mu w żywe oczy, że jest miły i do tego inteligentny?! Zacząłem coś bełkotać, że ależ tak, nieprawdaż, rzecz prosta, no i tak dalej, na co piekielny Kasz natychmiast wtrącił, iż w szachy dobrze mu się grywa jedynie na rodzinnym Ursynowie, nadto jest czystej wody amatorem, nie zawodowcem.

Tu mnie miał, nie będąc zawodowcem — nikt nigdy za grę w szachy mi nie płacił — w zamierzchłej młodości uprawiałem wszak szachy wyczynowe, a niepisany kodeks nawet ex-wyczynowcowi zabrania gry z amatorem o jakąkolwiek stawkę. Zwłaszcza o honor, boć ten wyższy jest nad pieniądze.

Co było robić? Wymieniwszy dalszą porcję grzeczności zawarliśmy z kolegą Kaszem pakt o nieagresji, a nawet wstępnie sygnowaliśmy — jeżeli przez telefon w ogóle można coś sygnować — Porozumienie o Powszechnym Prawie do Posiadania Suwerennego Poczucia Humoru. Jeżeli do porozumienia przyłączą się dalsi sygnatariusze, i zostanie ono ratyfikowane, każdy będzie miał prawo śmiać się z własnych tekstów, lecz już nie z cudzych.

2.

Z tego całego zamieszania zapomniałem wszakże udzielić sympatycznemu koledze Kaszowi kolejnej rady; nadrabiam to zaniedbanie. Otóż dobrze jest w dowolnym miejscu — jak właśnie to czynię — wypisać wersalikiem zdanie: TEGO TEKSTU PROSZĘ NIE TRAKTOWAĆ CAŁKIEM SERIO. A potem już można wyplatać, co się chce.

3.

Musiałem tak się zastrzec ponieważ na moje szachowe podwórko wtargnął z kolei redaktor minister Jerzy Urban we własnej osobie. W felietonie „Etyka i realia" („Tu i Teraz" z 12 stycznia) napisał:

„We „Frankfurter Allgemeine Zeitung" ukazał się nowy artykuł Stefana Bratkowskiego po raz kolejny proponujący rokowania Stefan Bratkowski — Związek Radziecki. Jeżeli w RFN prasa tak głodna jest absurdów mogliby obstalować u mnie szkic zawierający propozycję partii szachów Urban — Droga Mleczna".

Jako miłośnik szachów i science fiction chciałbym nieśmiało wtrącić to jedynie, że Urban mógłby sobie wybrać porównanie bardziej absurdalne. Rozmowy ze Stefanem Bratkowskim są wprawdzie mało celowe, lecz możliwe technicznie, wystarczyłoby przecież, aby przyjechał jakikolwiek dziennikarz radziecki i pogadał z ex-prezesem jak Rosjanin z Polakiem. Gdyby zaś dziennikarz był akurat Gruzinem, pogadaliby jak Gruzin z Polakiem, no i temu podobnie.

Partia szachów Urban — Droga Mleczna nastręcza dla odmiany trudności techniczne, trudno jednak zakwestionować jej atrakcyjność, a więc i celowość także. Trzeba wprawdzie, jak to się brzydko mówi, zabezpieczyć wprzódy łączność, a jeszcze wcześniej ustalić, czy cywilizacje rozsiane wśród Drogi Mlecznej grywają w szachy identyczne z ziemskimi, a także, czy istnieją w ogóle, potem wszystko poszłoby jednak jak z płatka.

Już w 1968 wychodzący w Swierdłowsku dziennik „Robotnik Uralski" zorganizował mecz czytelników gazety z maszyną cyfrową; maszyna fuszerowała, więc przegrała człowiek od współczesnego komputera grywa jednak lepiej. Widzę więc jakieś szanse, zwłaszcza że Jerzy Urban mógłby w ramach RWPG poprosić o przydzielnie radzieckiego trenera, a nie ma lepszych na żadnym ze znanych nam światów.

Jedynym prawdziwym problemem pozostaje tedy czas, wątpię bowiem czy spotkanie z Drogą Mleczną da się zorganizować w bieżącym, bądź nawet następnym stuleciu. Reprezentant Ziemi musiałby zdecydować się tedy na głęboką hibernację, zamrożenie w ciekłym helu czy czymś takim, ale po paru wiekach wyskoczywszy żywo z lodówki, miałby okazję stanąć do historycznego pojedynku. I choć wiem, że o protekcje prosiło się jedynie w latach sukcesów i wypaczeń, przedkładam postulat załatwienia mi służbowej lodówki sąsiedniej, diablo chciałbym bowiem pokibicować tej partii, a nawet skomentować ją, czyli fachowo opisać w gazecie.

JERZY P.

posiadacz Srebrnej i Złotej Odznaki PZSzach.

P.S. Gdyby koszty hibernacji aż dwóch osób okazały się zbyt wysokie gotów jestem — acz z żalem — zadowolić się lodówką jako taką.

4 Masz, co chciałaś

W pismach tzw. kobiecych, czytam przeważnie tylko materiały poświęcone modzie, prowadzeniu gospodarstwa domowego, kącik porad dziewiarskich itp. Omijam natomiast starannie wszelkie, pozornie poważniejsze artykuły, a to z tej prostej przyczyny, że zanim ukaże się „Kobieta i Życie" czy „Przyjaciółka" o ważnych wydarzeniach z życia politycznego czy gospodarczego kraju zdążą już obszernie napisać dzienniki, a także inne czasopisma, przeznaczone dla wszystkich ludzi, nie zaś dla kobiet, zamieszczą odpowiednie sprawozdania i komentarze. Od czasu do czasu jednak zdarzy mi się przeczytać w damskiej gazetce także artykuł, który można by zakwalifikować do dziedziny publicystyki społecznej. Kończy się to zwykle irytacją. Bo o czym traktuje większość takich materiałów? Przeważnie o kobietach — biedulkach, srodze przez los pokrzywdzonych, szukających sprawiedliwości i pomocy w różnych instytucjach, w tym także w redakcji „swojej gazety" Przedstawiciele — a ściślej przedstawicielki redakcji (bowiem w tym typie czasopism pracują przeważnie kobiety, z zapałem zajmujące się złym losem wszystkich reprezentantek własnej płci) robią, co mogą, aby sprawę czytelniczki załatwić. Czasem się to udaje — a czasem nie, różnie bowiem bywa ze skutecznością interwencji prasowych. Zawsze jednak podejmuje się przynajmniej próbę udzielenia takiej pomocy Nie zdarza się natomiast, (przynajmniej ja o takim przypadku nie słyszałam) aby skarżąca się usłyszała: masz co chciałaś, to teraz innym głowy nie zawracaj. A wydaje się, że w wielu przypadkach te właśnie słowa byłyby szczególnie na miejscu.

Weźmy przykład pierwszy z brzegu, oparty na bardzo często powtarzającym się schemacie: On pije, bije, nie tylko pieniądze, ale i co lepsze rzeczy z domu wynosi. Wyrzucić go nie można, bo silniejszy. Ona nad swoim ciężkim losem płacze, ale najbardziej nad trójką dzieci (czwarte w drodze), które boją się taty, nerwowe są i stąd kłopoty w szkole, kiepsko odziane i niedożywione bo wszystkie pieniądze na wódkę idą. Pomóc trzeba, choćby z uwagi na dobro dzieci — skoro już są. Ale czy tak być musiało? Można zrozumieć młodą dziewczynę wychodzącą za mąż za chłopca, który lubi zaglądać do kieliszka, ale za to jest niesłychanie przystojny Można również wybaczyć młodej mężatce, łudzącej się nadzieją, że po urodzeniu syna, którego oboje tak bardzo chcą mieć, on ustatkuje się, zajmie domem, a nie koleżkami i pić przestanie. Skoro jednak nie przestał —to skąd trójka następnych, już przed urodzeniem skazanych na domowe piekło? Tego pojąć nie sposób, nie można również wybaczyć kobiecie — dojrzałej już — takiej lekkomyślności. Gdy więc odwiedza instytucje i organizacje społeczne, powinna, obok niewątpliwie potrzebnej na tym etapie pomocy, usłyszeć także słowa, na które zasłużyła: masz, co chciałaś.

Druga, również typowa sytuacja: Nie ma mieszkania ani widoków na nie, nie ma pieniędzy, bo jedno z nich albo oboje uczą się jeszcze. Rodzice go nie lubią uważając, że córka zasłużyła na kogoś znacznie lepszego. Mimo to ślub, nie chciany zięć sprowadza się do ciasnego M-3 teściów, którzy wkrótce zostają dziadkami. W ciasnocie dochodzi do częstych spięć z rodzicami, a także z mężem. Wyprowadzić się nie ma gdzie, a co gorsza — bez finansowego wsparcia owych utrapionych „starych" nie starczyłoby na pieluszki ani na margarynę do chleba. Sytuacja grozi rozwodem. Jak ratować moje małżeństwo? — pisze do redakcji „Zrozpaczona". Dobrych rad udziela redakcyjny psycholog, przedstawiciel poradni życia rodzinnego lub doświadczona kobieta. Nie widać jednak w owej poradzie kilku słów prawdy, która także następnym potencjalnym kandydatkom do stworzenia sobie i paru innym osobom sytuacji przedrozwodowej mogłaby się przydać: myśleć trzeba było wcześniej, to przecież dało się przewidzieć, czyli znowu — masz, co sama stworzyłaś.

I wreszcie trzeci, także często powtarzający się schemat. Sytuacja pozornie dobra. Oboje pracują, kochają dzieci, mają mieszkanie. I to jakie! Czyściutkie, że nigdzie ani pyłka, obiad na stole o odpowiedniej porze, w lodówce, mimo kryzysu, zapasy, na książeczce rosną oszczędności na samochód. Ona ostatkiem sił zrobi wszystko co, jej zdaniem, musi być zrobione, w kolejkach odstoi, ciasto upiecze, a jeszcze pieniędzy zaoszczędzi. A on — choć nie pije i awantur nie robi, coraz częściej znika z domu i w końcu okazuje się, że zdradza Ona wypłakuje się przed przyjaciółkami, szuka pomocy u matki i teściowej. Wreszcie następna „zrozpaczona" pisze do redakcji. W odpowiedzi na jej żale powinno znaleźć się pytanie: a co on biedny ma robić, kiedy zamiast zadbanej, wesołej dziewczyny — przyjaciela, którą prowadził do ołtarza ma w domu znękaną, wiecznie zdenerwowaną gosposię, z którą nawet porozmawiać nie może o niczym, oprócz kolejek i mycia okien? Zasłużyłaś, kobieto, na to, aby do innej uciekał.

Przykłady można mnożyć. Każdy numer kobiecego czasopisma dostarcza ich kilka. Sporo mogliby przytoczyć także działacze wszystkich niemal organizacji społecznych i instytucji powołanych do pomocy innym w trudnych sytuacjach. Biedulki objawiają niespodziewanie wiele energii i pomysłowości, aby z ich ciężkim życiem także inni mieli trochę kłopotów. A jeśli nikt nie chce, czy nie może wypić piwa, którego same nawarzyły — niech im chociaż wszyscy wokół współczują. To ostatnie przeważnie udaje się osiągnąć Niepotrzebnie. Przecież — w większości przypadków — mają tylko to, o co postarały się same.

AGATA

Redaguje zespół: Ryszard Binkowski, Dariusz Dorożyński, Eugeniusz Iwanicki, Teresa Jerzykowska Andrze Karolczak (sekretarz redakcji) Jerzy Kwieciński Bogda Madej Andrzej Makowiecki Grażyna Ol bnowicz (z ca sekretarza redakcji) Igor Sikirycki (kier działu literackiego) Karol J. Stryjski, Janusz Szymański Glane (grafik), Paweł Tomaszewski, Lucjusz Włodkowski (redaktor naczelny), Jolanta Wroń ska, Mirosław Zajdler (fotoreporter).

Stale współpracują: Tadeusz Błażejewski, Krzysztof Drzewiecki, Grzegorz Gazda, Witold Kasperkiewicz, Włodzimierz Krzemiński, Dariusz Milerski, Krystyna Namysłowska, Jerzy Panasewicz, Ewa Pankiewicz, Henryk Sroczyński, Jerzy Wilmański.

Tygodnik społeczno-kulturalny „Odgłosy" al. A. Mickiewicza 11, kod 90-438, Łódź. Telefony, sekretariat i redaktor naczelny 652-44 sekretarz redakcji 680-99 publicyści 677-70 Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca zastrzega sobie również prawo do skrótów Informacji o warunkach prenumeraty udzielają oddziały RSW „Prasa — Książka — Ruch" i urzędy pocztowe Cena prenumeraty rocznej 1040 zł Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa — Książka — Ruch" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw 00-958 Warszawa ul Towarowa 28, konto NBP XV oddział w Warszawie nr 1153 201048 139 Prenumerata ta jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zlecających instytucji i zakładów pracy Wydawca Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza „Prasa — Książka — Ruch", Łódzkie Wydawnictwo Prasowe. Adres: ul. Piotrkowska 96 kod 90-103 Łódź. Druk Prasowe Zakłady Graficzne RSW w Łodzi, ul. Armii Czerwonej 28. Nr indeksu 36762. Zam.: 226. L-2.

Rock and Roll — mity i rzeczywistość

ANDRZEJ JÓŹWIAK

Gdy 29 października 1973 roku w Heathrow ląduje samolot wiozący na swym pokładzie cudowne dzieci telewizyjnej ery Braci Osmonds — na lotnisku oczekuje blisko 20 tysięcy młodych ludzi obojga płci, a przed hotelem wielotysięczny tłum kłębi się do późnych godzin nocnych.

...Wielka podróż Beatlesów z małego liverpoolskiego klubiku do największych hal i stadionów świata staje się wówczas powszechnym wzorem do naśladowania...

Tylko do roku 1972 bracia Osmonds otrzymali aż dziesięć Złotych Płyt, podczas gdy dotychczasowi rekordziści w najlepszych swych latach uzyskali: Elvis Presley (dziewięć), Beatlesi (osiem).

No a teraz porozmawiajmy szczerze... czy ktokolwiek dzisiaj pamięta cukierkowate głosiki braci Osmonds w „Puppy Love" (Donny Osmond), lub też przebojowy album „Long haired lover Liverpool" — dziesięcioletniego wówczas (przypominam: rok 1972) Jimmy'ego Osmonda?

A przecież minęło zaledwie lat dziesięć... Tak, tak, moi drodzy, niestety była to taka sama muzyczna sieczka jak aktualne szmoncesowe nagrania Izy Schuetz-Trojanowskiej i niektórych innych „śpiewających" dziw.

Ale wracajmy do tematu, Czy przypominacie sobie początki rock and rolla? Tommy Steele, Little Richard, Gene Vincent, Chuck Berry, no a przede wszystkim Bill Haley i Elvis Presley. Prawdziwą inwazję i szał popularności rocka powoduje nagranie 14 kwietnia 1954 roku utworu Rock Around the Clock w dynamicznej interpretacji Billa Haleya i jego Comets. Rock'n roll przekracza Atlantyk i trafia do Europy.

Rodzą się nowe gwiazdy. Nowi idole zastępują poprzednich. Muzyka staje się wyzwaniem rzuconym optymistycznemu światu mieszczańskiemu, zaś sama kultura muzyczna znajduje się w centrum jednego z najbardziej radykalnych przewrotów w całej historii muzyki.

Ray Charles, James Brown, Otis Redding, Aretha Franklin, Janis Joplin, Wilson Picket i inni wykonawcy stają się wyznacznikami międzynarodowego zjednoczenia miłośników pop-music dając młodym ludziom ideał kreacyjnego potencjału sztuki i jej spontanicznego tworzenia.

A czy pamiętacie znakomitą muzykę undergroundowych grup, takich jak: Frank Zappa-Mothers of Invention, Jefferson Airplane, czy też okres wielkiego triumfu zespołów będących miernikiem udanego aliansu jazzu z rockiem — Chicago, Blood Sweet and Tears, lub też nowoczesnych bluesmanów — Erica Claptona, Johna Mayalla, Ten Years After, Canned Heat itp. itp.?

Pomyślałem więc, że może warto by było od czasu do czasu sięgnąć do korzeni współczesnej muzyki rozrywkowej. Przypomnieć, niekiedy nieżyjące już gwiazdy rocka lub też grupy muzyczne, które zakończyły swoją działalność. Pozostały po nich nagrania płytowe, czasem filmy muzyczne lub zarejestrowane na taśmie filmowej fragmenty koncertów, festiwali, kasety, recenzje, wspomnienia...

Młodzi sympatycy rocka, a nawet niekiedy i ludzie czynnie uprawiający muzykę rozrywkową, mają mizerne pojęcie o stylach, nagraniach, wykonawcach lat pięćdziesiątych, sześćdziesiątych, a nawet siedemdziesiątych. Przypomina mi się rozmowa z jednym ze znakomitych łódzkich muzyków, który pasjonuje się Billy Prestonem, ma jego wiele teraźniejszych nagrań, ale z pewnym niedowierzaniem przyjął moją informację, że Preston już szesnaście lat temu był uznanym artystą i między innymi nagrywał jako muzyk studyjny z Arethą Franklin Także kilku wokalistów wzorujących się na Rod Stewarcie zdziwiło się, kiedy pokazałem im nagrania z 1967 roku, gdzie Rod Stewart śpiewa w zespole Jeff Beck Group.

Film „Wejście smoka" z Bruce Lee spopularyzował znakomitą muzykę, której twórcą jest Lalo Schifrin Jego metody kompozytorskie i aranżacyjne zrobiły się nagle bardzo modne w środowisku muzyki rozrywkowej. Karierę robi powiedzonko: a teraz pogramy pod Schifrina...

Otóż kochani, Borys Lalo Schifrin argentyński pianista, kompozytor i aranżer już w 1960 roku, a więc 23 lata temu napisał dla Dizzy Gillespiego świetną kompozycję pt. „Gillespiana", a jego muzyka filmowa znana i ceniona jest również od lat kilkunastu. To że w Polsce odkryto go w 1982 roku nie najlepiej świadczy o orientacji naszych środowisk twórczych z kręgu muzycznej rozrywki...

No i co teraz? Wróćmy do niedalekiej przeszłości. Zacznę od najbardziej erotycznego głosu lat sześćdziesiątych — JANIS JOPLIN.

Na patefon kładę czarny krążek „Cheap Thrills". Na tej właśnie płycie znajduje się wstrząsająca interpretacja słynnej kołysanki George'a Gershwina „Summertime", song z opery murzyńskiej „Porgy and Bess". Przy użyciu filtrów, potencjometrów, pogłosowych kamer i tego całego arsenału elektroakustycznego płynie chrapliwy, ekspresyjny głos. Dramatyczna prostota i niepospolity kunszt wokalny.

W mojej kolekcji blisko dwóch tysięcy płyt gramofonowych i kaset jest to doprawdy jedno z kilkudziesięciu nagrań, do których najczęściej i najchętniej wracam. Publicysta amerykańskiego magazynu politycznego U.S. World tak zrelacjonował koncert Janis Joplin: „śpiewała jak rock-and-rollowa zjawa zwiastująca niechybną śmierć. Ciskała się po scenie jak derwisz. Był to najbardziej śmiały, napastliwy śpiew, jaki udało mi się w życiu słyszeć. Nie była piękna — była po prostu erotyczna...

Długowłosa, długonoga, mocno zarysowane brwi, błyszczące, urocze oczy kobiety dziecka i ten elektryzujący, ochrypły, erotyczny głos...

W sierpniu 1977 roku spotkałem w Rzymie Freda Catero działającego w holenderskiej filii Columbii. Catero współpracował przy nagraniu m. in Cheap Thrills Spacerowaliśmy po Piazza di Spagna, a potem na via Condotti piliśmy smołowatą kawę w Caffe Greco, kawiarni, w której bywali Mickiewicz, Słowacki... Catero opowiadał mi o początkach kariery Janis Joplin...

W swoim małym, rodzinnym miasteczku uchodziła za dziwaka. Zresztą Fort Arthur w stanie Teksas nie był miejscem dla ludzi dziwnych. W 1960 roku, kiedy miała 17 lat odkryła bluesa śpiewanego przez Bessie Smith — Cesarzową Bluesa. Po latach Janis powie o Bessie Smith: „ona pokazała mi atmosferę muzyki i nauczyła mnie jak ją czuć. Była bezpośrednią przyczyną, że zaczęłam śpiewać". Teksaski przyjaciel Janis — Chet Helms utworzył zespół pod nazwą Big Brother and Holding Company Solistką grupy została Janis.

Tak się zaczęło — kończył opowiadanie Fred Catero. — A festiwal w Monterey w kwietniu 1967 roku przyniósł jej uznanie i w efekcie pierwszą złotą płytę za „Cheap Thrills" (Tanie emocje) Myślę, że gdyby Janis żyła dłużej, zostałaby największą wykonawczynią bluesa...

Fred Catero miał rację.

Na gramofon kładę longplay „Pearl" (Perła) Był to czwarty album nagrany przez Janis i zarazem ostatni. Znakomity muzyczny pomnik kobiety, dla której muzyka była życiową pasją. Słucham utworu którego nazwa w tłumaczeniu brzmi: Bierz, gdy jeszcze możesz. Jest to moim zdaniem wszystko to, co można było powiedzieć o Janis. A ona sama mówiła rok wcześniej: „Bawię się muzyką. Muzyka to życie. Wyciskam z tej zabawy wszystko to co najlepsze. Gdybym miała męża dożyłabym wspólnie z nim do 70 lat i skończyłoby się na oglądaniu Tv siedząc w bujanym fotelu". Płyta ukazała się kilka miesięcy po śmierci Janis.

Zmarła 3 października 1970 roku po przedawkowaniu heroiny. Jeszcze jedna śmierć wśród tych, którzy występowali na festiwalu w Monterey — Otis Redding, Brian Jones, Al Wilson, Hendrix, Janis...

Jimmy Hendrix i Janis Joplin mieli po 27 lat kiedy odeszli na zawsze. Oboje zdobyli wielką sławę w Monterey. Podobne mieli życie. Podobną śmierć.

Nie tak dawno przeczytałem w jednej z gazet wywiad z czołową polską piosenkarką wykonującą coś, co w przybliżeniu może być rockiem różowych słoni, nadzwyczaj wielkich zresztą, uciekających przed szeptem szczura. No i nie byłoby nic w tym dziwnego, gdyby nie to, że dama polskiego rocka mówi, że była w ruchu hippiesowskim, że coś niecoś „wąchnęła" itd... Trawkę?

Otóż, jest to typowy przykład podłączania się. Zresztą spóźniony o dobrych kilkanaście lat. Hippiesi w połowie lat sześćdziesiątych upowszechniają modę „flower power". Haszysz i marihuana były ich chlebem powszednim, środki halucynogenne świętymi sakramentami, a wykonawcy rocka kapłanami ich religii.

I oto w roku 1982 wzorowa matka i żona, rockowa wokalistka PODŁĄCZA się do tej ideologii ciułając pracowicie na własny mit... Ona tworzy swój obraz dla potomnych. Przeprowadzający wywiad pisze go na kolanach z wypiekami dziewczynki w okresie dojrzewania oglądającej pod kołdrą zdjęcia pornograficzne.

Moi drodzy, minęło już 15 lat od czasu, kiedy to Marc Bolan zaczął posługiwać się makijażem i występować w seksualnie dwuznacznych strojach, minęło 15 lat, kiedy to Alice Cooper zaczął charakteryzować się na kobietę, a androgyniczny, inteligentny David Bowie tworzył coś co nazwać można dekadenckim rockiem... Minęło również wiele lat od triumfów punk-rocka...

Ale dla naszego środowiska rockowego czas stanął w miejscu. Polski rock od czasów epoki Miry Kubasińskiej i Breakout nie posunął się do przodu. Sepleni, bawi się w przebieranki, kokietuje tekstem-potworkiem, jest miejscem dla epigonów, nieudanych plagiatorów żywej ongiś muzyki, jest w tyle — w stosunku do światowej muzyki — o co najmniej 15 lat.

Tak, tak, tak. Tańcz głupia tańcz z sercem jak papier ścierny swój taniec pingwina na szkle w domach z betonu, w których nie ma wolnej miłości.

I czy dziwicie się mi, że siedząc z nogami wyciągniętymi w stronę kominka, huśtając się w bujanym fotelu wolę w tej sytuacji zamiast telewizyjnej listy przebojów posłuchać nagrań dziewcząt o dużych oczach, słodkich głosach i sterczących piersiach w rodzaju Kim Wilde lub Nicole śpiewającej „Flieg nicht so hoch" (Nie lataj tak wysoko).

Myślę, że kiedyś, kiedy kompetencja i fachowość nie będą ścigane — wszystko musi wrócić na swoje miejsce. Koty za płoty. Wół do karety. Azor do budy. Śledzie do sety.

Na gramofonie kręci się płyta. Jest 19 stycznia. Dzień i miesiąc, kiedy to zgodnie ze starym chińskim horoskopem rodzą się ludzie szczególnie utalentowani. 19 stycznia 1943 roku urodziła się Janis Joplin. Co roku tego właśnie dnia grupa przyjaciół Janis wysłuchuje nagrań w jej wykonaniu. Ludzie mówią że była największą białą wykonawczynią bluesa. Niepotrzebnie zneutralizowała swe życie narkotykami. Zresztą wtedy seria tragicznych zgonów wyznaczała koniec pewnej ery... ery buntu... ale o tym już przy innej okazji.

Kto najlepszy?

Wszelkie oceny utworów z zakresu muzyki rozrywkowej mają zawsze charakter subiektywny, jak i oceny dzieł sztuki w ogóle, o czym napisano wiele opasłych tomów. Wartość piosenki jest chyba bardziej niewymierna niż — na przykład — występ łyżwiarki figurowej na lodzie. Stąd też wszystkie ukazujące się na tych łamach moje uwagi na temat poszczególnych utworów mają wydźwięk jedynie osobistego spojrzenia. Z daleko posuniętą rezerwą odnoszę się również do wszelkiego rodzaju klasyfikacji utworów i wykonawców muzyki rozrywkowej, czemu dałem wyraz choćby w nie tak znów dawnym felietonie poświęconym listom przebojów.

Skończył się kolejny rok — o tym też pisałem — rok rockowy. Tradycją tego czasu, z przełomu grudnia roku mijającego i stycznia roku nadchodzącego, jest skłonność do podsumowań i plebiscytów mających na celu statystyczne spojrzenie na minione dwanaście miesięcy. Tak dzieje się w wielu dziedzinach życia. Ot, chociażby w sporcie, gdzie plebiscytów i ankiet rozpisuje się co niemiara. Pół biedy, jeśli są to tylko preteksty pod hasłem: „przeżyjmy to jeszcze raz" albo sporządzanie dla odmiany „listy list" przebojów, które ileś tam razy gościły na radiowej antenie. Gorzej, gdy w głosowaniu obliczonym na kilka czy też kilkadziesiąt tysięcy osób uczestniczących, stara się zasugerować rzeszy melomanów, że później publikowane wyniki są wiernym odbiciem zarówno stanu posiadania, jak i aktualnej sytuacji, układu sił w poszczególnych kategoriach. A niestety takie niebezpieczeństwo istnieje.

Dawniej zainteresowanie organizowaniem tego typu zestawień w odniesieniu do muzyki rozrywkowej (nie tylko zresztą krajowej — i to może mniejsze zło) było ze strony mass-mediów i innych placówek związanych z życiem muzycznym daleko powszechniejsze; praktycznie po nowym roku podawanych było do publicznej wiadomości co najmniej kilkanaście „w pełni autorytatywnych" list klasyfikacyjnych za rok miniony. Pamiętam, że sam brałem chyba dwukrotnie udział w organizowanej przez Klub Publicystów Estradowych istniejący przy ówczesnym łódzkim Stowarzyszeniu Muzyki Estradowej ankiecie dokonującej rozliczeń z poprzednim rokiem. Pamiętam też, iż była tam jedna pozycja już wtedy dla mnie co najmniej dyskusyjna — nazywała się: „Prognoza na rok...". Pozycja o delikatnie mówiąc nieostrym zakresie. Do kogóż bowiem miała się odnosić? Czy do artysty, który zrobi gigantyczne postępy, mimo że ma już ustaloną renomę, czy też do debiutanta, który wypłynie na szersze wody? Co tam trzeba było wpisać? O ile pamięć mnie nie myli, a zdarza się to — jak na razie — rzadko, żadne z nazwisk triumfujących po podliczeniu głosów w tej kategorii nie zrobiło potem furory. Widać, kiepscy z nas byli wróżbici.

Ale to już dawne czasy, sprzed siedmiu, ośmiu lat. Dzisiaj zerka się w kolumny nazwisk i utworów publikowanych na łamach czasopism. Miały one zawsze inklinacje w tym kierunku, aby wciągać czytelników do takich plebiscytowych zabaw. Tym bardziej jeśli chodzi o sprawy tak mało śliskie, jak muzyka rozrywkowa. Jak rozrywka, to rozrywka.

Dobrą sławą cieszyła się przed laty lista — podsumowanie roku — opracowywana przez miesięcznik „Non Stop" będący specjalnym dodatkiem do „Tygodnika Demokratycznego". Inicjatywa ta jest kontynuowana do dziś. Nie udało mi się kupić ostatniego „Non Stopu", ale wiem od znajomego, specjalisty od wywiadów publikowanych tu i tam, że wyniki podano już do wiadomości. Nie mam wprawdzie kompletu rezultatów — jeżeli można użyć takiego sformułowania do konkurencji trudnej do zmierzenia przy pomocy stoperów i ręcznych taśm z podziałką — ale zdaję sobie sprawę z tego, jak mało są autorytatywne.

Inna lista. Jakże odmienna od poprzedniej. Dla porównania przytoczę taki drobiazg: na tej liście najlepszych w 1982 roku w rubryce „Talent roku" znalazła się ponoć na pierwszym miejscu solistka grupy „Pro Rock" — Gayga, której zupełnie nie zauważono w księgowości „Non Stopu" Plebiscyt, o którym mowa, przeprowadziła redakcja śląskiej „Panoramy". I komu tutaj wierzyć?

Nie ma żadnych możliwości przyjęcia wspólnych kryteriów do oceny — na przykład — Józefa Skrzeka, w końcu klasyka pewnego nurtu, i Elżbiety Mielczarek, która jest wprawdzie „nową twarzą" lecz jak nikt u nas od dawna potrafiła zaśpiewać bluesa „Poczekalnia PKP" Podoba mi się to, co robi Urszula (jej nazwisko podałem parę tygodni temu — kto chce, niech sprawdzi) będąca od paru miesięcy solistką „Budki Suflera" piosenki w jej wykonaniu („Fatamorgana", Bogowie i demony", „Luz blues — w niebie same dziury") dają jej przepustkę do czołówki, jednak czy to fair przyrównywać je do siebie z Trojanowską, która ma już swoje fan-cluby, a równocześnie na krajowym rynku pozostaje przez parę miesięcy prawie że niewidoczna? Czy należy rozpatrywać Korę albo Zbigniewa Hołdysa w kontekście pisania przez nich tekstów piosenek, skoro są przede wszystkim wykonawcami, a ich „mała literatura" co najmniej traci grafomanią (nie mniej zresztą niż niektórych „awangardowych" autorów mieniących się profesjonalistami) i stanowi jak gdyby uzupełnienie piosenek?

To tylko kilka refleksji, które nasuwają mi się na marginesie publikowanych w niektórych pismach podsumowań. Mam po prostu wątpliwości, czy słuchacze muzyki rozrywkowej tam właśnie mają szukać odpowiedzi na pytanie: kto jest najlepszy? I szukać tożsamości swego gustu z tym wybitym drukiem sądem „większości". Odnoszę wrażenie, że lepiej zastanowić się nad tym samemu w domowym zaciszu, siedząc w miękkim fotelu i słuchając muzyki płynącej z dwóch dyskretnie ukrytych kolumn głośnikowych. Sąd będzie nie tylko lepszy i tańszy (znaczki pocztowe zdrożały), ale z pewnością sprawiedliwszy. I tylko nasz. Nie wstydźmy się tego, co nam się naprawdę podoba.

KRZYSZTOF DRZEWIECKI